Anarchia literacka w Niemczech.

(Studyum pessymistyczne).

Zdaleka wydaje się to wszystko jakby las pradziewiczy.

Biją upajające i osłabiające zapachy stegnalii i cyklamenów, powietrze jest duszne i przesiąkłe mocnemi aromatami niezliczonego kwiecia. Wężowe liany owijają się żelaznemi pierścieniami koło smukłych niebotycznych palm, koło rozłożystych szerokich mangowców. Olbrzymie bombaxy padają zgniecione ramionami pasożytów, które niespodzianie porosły, ssając ich soki, przygniatały je coraz silniéj i panoszą się. Inny pasożyt cieniutkiemi gałązkami objął kilka korkowców i tak je zakrył swojém listowiem, że z nich ani śladu nie widać, a tylko jego zielono-żółta szata przegląda się w tafli gęstéj od porostów świtezi. Na zwieszających się w nieskończonych wstęgach eukaliptach rozkwitają pysznie z mułu wyrosłe saprofity, w cieniach monarchy baobaba zasnął spokojnie jaguar. Gdzieniegdzie przelekkie, jak pianki stubarwne, kolibry przelecą cicho, żółto-czerwone papugi z leniwą arystokratyczną dystynkcyą zatrzepoczą skrzydłami, gdzieniegdzie potworny wąż, gniotąc dokoła

kobierzec kwiatów, przesunie się, zatrzyma, wpatrzy w przestrzeń głębokiemi oczyma filozofa i zahypnotyzuje zgrabną, figlarną antylopę. U gałęzi mistycznéj, wzbudzającéj podziw agawy, płodzącéj co stulecie wielki dziwny kwiat, wisi przyczepiony, rozłożywszy szeroko czarne skrzydła, wampir — symbol kobiety.

I dopiero podejść trzeba bliżéj tego lasu i w samo jego środowisko, w gęstwę niby najbujniéjszą, przywdziać okulary botanika stać się nie współczesnym, nie współczującym, obojętnym, nieufnym i surowym, aby dostrzedz, że to tylko oranżerya, cieplarnia pośród lasów, nieskończonych lasów, że tu tylko kilka wspaniałych okazów flory piśmienniczéj postawił społeczeństwu inspicyent teatralny, dusza narodu. Na tle bardzo dobrze malowanych kulis, przedstawiających podzwrotnikowe bogactwo lasu piśmiennictwa niemieckiego z końca wieku, stoi kilka prawdziwych żywych roślin i drzew w mnóstwie sztucznych malowanych kwiatków i krzaków. Trzeba każdy szczegół oranżeryi obejrzeć dokładnie i nie dać się złudzić maszyneryi, która dokaże, że któreś z wysokich drzew zaszumi gałęziami świetnie a potężnie, a mała mimoza malowana zwinie listki pod dotknięciem grubéj ręki brutala. Trzeba bacznie patrzyć, aby dojrzyć, gdzie stoi drzewko może i nie tak wielkie i efektowne, ale prawdziwe, żyjące, aby dojrzyć, że wampira doczepiono do sztucznéj gałęzi, bo moda przyszła na wampiry, i widziano orła, któremu wampir krew wysysał ze serca.

Trzeba, jeśli się woli nie zamroczać oczu i nie tracić własnej ścieżki, uzbroić się w nieufność i silnym męzkim krokiem przejść tę wielką scenę kultury niemieckiéj, nie zatrzymując się dłużéj przy żadnéj dekoracyi, przy żadném, choćby imponującém drzewie, nie dać się zwabić ani śpiewnym kolibrom, ani upajającéj woni chryzantem czy orchidei, ani przy Zaratustrze, ani przy tych pstrych po pańsku zblazowanych papugach, ani przy pasorzytach, zakrywających bujną formą potężny konar Nietschego, ani przy tych kameleonkach modernizmu, ani przy sprzedających prawdę tylko, jedyną prawdę, ani przy haszyszach, ani przy tych cyprysach, rozkwitających na cmentarzach heter, ani przed *Etablissement* Nirwana, ani przy tych klownach, którzy skurczami ciał i dreszczami dusz tak chcą śmieszyć i bawić, że rozśmieszony widz z przesytu smutków często ziewnie.

Zdawałoby się, że jest to za wiele powiedziane: wrażenie lasu podzwrotnikowego, przepych, upojenie. Jednakże tak jest bezsprzecznie. Współczesna produkcya literacka Niemiec jest bogatszą, wszechstronniejsza, poważniéjszą jakością dzieł i kulturą talen-

tów i nawet bardziéj związana ze swém społeczeństwem i wpływająca na nie, niż we wszystkich innych nacyach Europy. Jest tak rozkwitłą, jak inne działy produkcyi narodowéj, przemysł, handel, nauka, jest tak wszechstronną, rozlewną i liberalną jak inne działy produkcyi ducha narodu i jest również najlepszym dokumentem rozluźnienia duchowego, anarchii myśli, pojęć, kierunków, wierzeń, programów, idei, zasad, form; anarchii zewnętrznie nie dostrzeganéj, a kładnącéj już piętno na każdym fakcie życia społecznego. Że we Francyi już dawno zaczęły się żniwa na tych polach, że piętno bezrządu wybite jest silniéj, namiętniéj i impulsywniéj na życiu polityczném, społecznem i duchowém, to już rzecz psychiki rasowéj, ustroju społecznego i téj okoliczności, że tam wcześniéj wyszli siać żniwiarze. I w Niemczech kto patrzy na ulicę, widzi czystość, spacerujących, policyę, spokój i maszerujące wojsko, kto patrzy na duszę i w umysły, i to nie maluczkich, widzi nieczystość, bezład, chaos i anarchię. Trzeba już koniecznie odłączyć pojęcie Niemiec oficyalnych z pruskim rządem, i mnogą rzeszą filistrów mieszczańskich od pojęcia Niemiec duchowych, ducha germańskiego, od tych, co rządzą dusz rządem... Trzeba téż, bijąc się w piersi, konstatować fakt takiéj przejrzałości intelektualnéj, kulturalnéj doskonałości, etycznéj i estetycznéj anarchii, które z dzikością już tylko o miedzę graniczą. A podobno *les extrêmes*...

Niemiec był do ostatka jeszcze tym człowiekiem, który względem każdego bliźniego spełniał funkcyę bardzo inteligentnego kamerdynera-przyjaciela. Co gdzieś miano dobrego, co kto przyniósł, co porozrzucano w nieładzie, to on, trochę pedant, a wielki systematyk porządkował, kupował, układał, szufladkował, byle pan jego miał wszystko co potrzeba, a wszystko na swojém miejscu. Tym panem jego było społeczeństwo niemieckie i wszyscy inni pracujący umysłowo. Tu wszystkie kierunki duchowe wyrabiały sobie czystość i stałe linie, tu idee zamykano w pewne stałe formy, tu porządkowano zasady i teorye systemizowano. Dla tego Niemcy wytworzyli wartości socyalne, estetyczne, dali teoretyków najniepochwytniejszym ideom, i w nich odzwierciedlała się i odzwierciedla najlepiéj duchowa fizyognomia całéj Europy. Ponieważ równocześnie w duszy niemieckiéj jest jednak, obok tego porządkującego gospodarczego materyalizmu odpowiednio wiele idealizmu, który im, jak chyba w złośliwéj intencyi powiedział ks. Bismarck, w brzuchach siedzi, dlatego obok teoretyków wydali téż równomiernie idealistówi, roznamiętniających się do każdéj najbardziéj obcéj nie niemieckiéj idei

z takim zapałem i zrzeczeniem się własnego ja, że im może słusznie i słuszniéj jeszcze należałoby powiedzieć: „pawiem narodów jesteś i papugą".

Dlatego Niemcy współczesne są śpichrzem umysłowym całéj Europy, dlatego najdzikszy, najryzykowniejszy kieruneczek z *quartier latin* ma tu swoich seryo reprezentantów, co nie wyklucza aby czasem nie robiły wrażenia tandety, w którą z powagą składano rupiecia literackie, z całéj Europy zbierane, a wśród tandety nie błysnęła czasem przepyszna rzecz, która poszłaby w zapomnienie, gdyby nie skrupulatność zbieraczy.

Kiedy się *à vol d'oiseau* patrzy na obecną produkcyę literacką w Niemczech, widzi się wielką bieganinę, ruch czasem szalony, gorączkowy, słyszy się okrzyki, hasła, programy, nabiéra się pewności, że ci ludzie budują wspaniały gmach, imponujący przyszłym wiekom, że ożywia ich jakaś potężna wszechidea, że maluczko czekać, a świat się zadziwi i stanie przed tą co najmniéj nową wieżą Babelu; tak pomieszane są ich języki, tylu ich jest, a taki zgiełk czynią, i tak wysoko wybiegają ich pomysły. Dopiero z czasem spostrzega się, że jest to ruch, ale jakiś bezwytyczny, bezcelowy, że ilu ludzi, tyle maleńkich idei, pomysłów i kierunków, że co jedni zaczną budować, nachodzą drudzy i wśród szyderstw i śmiechów rozburzą i rozkopią, że co jakaś wieżyca wystrzeli w górę, wnet podminują ją mali karzełkowie, a co jakiś prorok stanie na rynku i zacznie głosić nową wspólną wiarę, wnet go przeszli a wyśmiani i przyszli a niecierpliwi prorocy oplują i kamieniami obrzucą; każda myśl górniejsza rozpływa się w chmurach wśród drwin i krytyk. Imponują jednostki, dekoracyjne pasożyty w pięknych kostiumach.

Mają ci ludzie tyle kazalnic, z których mogą przemawiać; cóż kiedy i wiernych Pięknu co raz mniéj, i owi kapłani Piękna, jedni zbyt często lub zbyt niedołężnie to samo co dawniéj każą, powtarzając to, co już gdzieindziéj we Francyi, Anglii, Rosyi, Szwecyi piękniéj i szczerzéj powiedziano, drudzy wszystkich innych kapłanów zwą heretykami, siebie bogami. I tak ci, co mają głosić ewangelie Piękna, krzyczą ewangelie zamętu. Niektórzy jeszcze mają te zasługi, że do piosnek dorabiają kanony i tabulatury, niektórzy— tą, że w granicach tych kanonów śpiewają swe myśli, ale niektórzy tylko chaos z swych głów zrzucają na papier i dają tłumom, czasem za poważnie biorącym to, co drukowane. Jakiegoś młodego może Goethego urabia obecnie nie szeroki świat, nie twarde życie, nie matka natura, nie kobieta, nie nędza ludzka i przepych słońca, nie sielanki i tragedye, lecz lektura, studya, dysputy, intuicya, estety-

zujące docenty, szablon „indywidualności za wszelką cenę" i wpływy, jeszcze raz wpływy. Całe plejady tych poetów to tylko odlewacze obcych myśli filozoficznych w obcéj poetyckiéj formie, tłomacze w rymowanych artykułach pojęć metafizycznych dziś indyjskich, jutro Mainleindera lub Stirnera, to małe jednostki talentu, doczepione do potężnych indywidualności z innych wieków i narodów, to panowie pracujący dziś w tym ...izmie, jutro we wprost przeciwnym ...azmie, byle handel szedł; to czasem gladyatorzy, bawiący publikę kurczem swym i krwią, częściéj klowny, balansujące przed publiką z wszystkiém co mają najskrytszego, najtajniéjszego, najdroższego, byle stawano tłumem przed jaskrawą ich budą. O wiele za wiele wśród tych artystów poetów, — poetów literatów, a wśród tych literatów przemysłowców. Czasem wydaje się w Niemczech, jak już i wszędzie, że literaturę reprezentują i robią reporterzy berlińscy i wiedeńscy, tym pomagają profesorowie, adwokaci piszący dramaty i wielkie aktorki tragiczne. A jeśli się znajdą poeci, to niejednemu życzyłoby się, aby stracił i tę szczyptę talentu, którą tak rozdmuchuje na błoto, niejednemu nie miło czasem przyznawać iskrę Bożą, bo jako artysta jest tylko mydlarzem, niejednego z filozoficznie myślących nastrojowców chciałoby się może złośliwie prosić, aby lepiéj swe rymy nastrojowe w myślach, niż myśli filozoficzne w nastrojach zostawiał. Na taki dopiero tłum literatów przypadnie jeden talent poetyczny, szczery, wielki, namiętny, doskonały. Dużo téż za wiele wśród pisarzy i pań piszących jest w Niemczech talentów, którym by należało powiedzieć: „bracie, przesiądź się niżéj"; bo lepiéj byłoby gdyby pracowali w ekonomii społecznéj, w stowarzyszeniach antialkoholicznych, w dyplomacyi, w redakcyach pism codziennych, bo ich dusze nie są dostrojone do godności poetów wybrańców, bo ich smak artystyczny nie jest dostrojony do smaku tych, których w zapale polemicznym zwą: *Compactes-Idealkastraten*, *Schönheits-Brahminen*, *Individualitätssnoben*, *Saulumpenpack*.

Ponieważ za wiele dziś ludzi pracuje w literaturach, dlatego za mało jest dzieł, które przetrwają jedno *decennium*; ponieważ za dużo jest talentów, więc za mało indywidualności, a ponieważ za dużo kierunków, ...izmów i etykiet, za mało myśli, któreby zapłodniły przyszłość. Zdaje się czasem, że ile kawiarń w jakiémś mieście, tyle jest plejad poetyckich, nowych światopoglądów; każda nowa kawiarnia znajdzie swego Dantego i swego Zbawiciela. Na każdym rynku krzyczą co innego, każda redakcya wynajduje jakiś neo..., codzień lepią sobie jakiś złoty, czy tekturowy cielec i tańczą koło niego i śpiewają, a Mojżesza, jak nie ma, tak nie ma.

A jeśli się znajdzie Mojżesz, to chyba tylko na to, aby burzyć i tłuc jakie gdziekolwiek pozostały jeszcze tablice z przykazaniami i nie stawiać nic, chyba siebie. A wtedy krzyczą wokoło niego, dmą w surmy, reklamują i jego i siebie przy téj sposobności i trąbią tak, iż zdawałoby się, że mury wszystkich Jerychów literackich dokoła padną w gruz, że wszyscy nawrócą się na wiarę trębaczy, do ich kieruneczku, że całe Niemcy zamistycznią się, że przyszłą większość parlamentarną tworzyć będą sami esteci i prerafaelici, albo że symboliści dostaną wszystkie teki w nowym gabinecie. Zwykle mury sąsiednich twierdz literackich nie padają, Mojżesz po pewnym czasie staje się nudnym i powtarzającym się, zsadzają go więc z tarczy, na jaką go z hałasem postawili, i bóg idzie do graciarni, gdzie już tylu bogów z ostatnich dwudziestu lat w zapruszeniu siedzi i niepamięci, bawiąc się wspomnieniami świetnych dni sławy, kadzideł i artykułów dytyrambicznych.

Wygląda to jak gdyby wracał wiek XVIII niemieckiéj literatury i cały spóźniony renesans z walkami szkół szląskich, lipskiéj, pruskiéj, szwajcarskiéj, czasy bombastu i makaronizmu dekoracyjności z tęsknotami cmentarnemi, wędrującymi cherubinami, czasy Hoffmanswaldaua i Andreasa Gryphiusa. Podobna toczy się walka szkół, podobnie objawia się nieuznawanie jednéj przez drugą, parafiaństwo, bezwzględność w sądach, kładzenie wagi na effektowne wirtuozostwo formy i możliwie pogodzoną ze smakiem sensacyjność treści. Podobne téż widać zamykanie się w ciasnych rynsztunkach koteryjnych kół myśli i odziedziczonych form, podobne stąpanie miarowe w kieracie około jakiejś wielkości współczesnéj, czy wyciągniętéj z bibliotek. I to wszystko w epoce, któréj największym kulturalnym nabytkiem i tryumfem ma być zdobycie szacunku dla ndywidualności, dla mocniéjszego, który stoi sam. Kiedy się schodzi w nizinę piśmiennictwa niemieckiego i z boku patrzy na plejady, zgrupowane koło „Pana", „Gesellschaft", „Sphinxa", „Kunstwarty", „Zeit", „Wiener Rundschau", „Blätter für die Kunst", „Neue Deutsche Rundschau", „Magazin für Litteratur", „Der Einzige" itd. itd., odnosi się wrażenie, że to kilkadziesiąt karuzeli, obracających się ciągle w kółka, a na konikach, czy wózkach popisane albo: do Nirwany, ...do absolutu, ...do pustelni Maeterlincka, ...do gór Zarathustry, ...do wyzwolonéj kobiety, ...do sztuki dla sztuki, ...do dobra czwartego stanu, ...dla dobra Szlezwigu lub Saksonii, ...dla Niéj.

W końcu ogarnie widza znużenie i przesyt, czasem i złość, kiedy spostrzeże, że wielu tylko jechało do karyery, dla imponowania *snobowi*. Bo choć na tego *snoba* plują i wszyscy drwią z niego, przecież o jego

poklaski im chodzi, a co prawda i wielu, ani do pogardy, ani do oklasków nie ma prawa. Ale wszyscy mają przywiléj dojścia do oklasków przez pogardę, bo gdzie się krzyczy „głupcy, głupcy”, tam zwykle zbiera się tłum. Obserwujący zgadzają się oddawna i to z dziwną zgodnością, że węzły, łączące społeczeństwa z artystami, zerwały się już prawie wszystkie, że koła pięknéj pracy pokładły już wszędzie podwaliny pod państwa w państwie, ba nawet, że kapłani sztuki zaczynają sobie coraz częściéj i serdeczniéj ściskać dłonie przez granice nawet wrogich narodów. Nie chodzi tu już o pojedyńcze jednostki, ale o całe grupy. W Europie coraz już pospolitszym jest typ: *Europeen, obiektiv und Europeisch*, to jest bardzo kulturalnéj jednostki, nie uznającéj granic ras, narodów, a tylko różnice umysłu, smaku, wychowania, obok niego cała skala pokrewnych typów mózgowców, dyletantów, bibliomanów. Wytworzyło się to pod wpływem artysty-europejczyka, którego pierwszą ojczyzną jest sztuka, interesami ogólniejszéj natury interesa sztuki i uczuciami szerszemi uczucia dla sztuki. Kolonie artystyczne różnych miast mają wspólną kameraderyę, coraz ściślejszą, konkretniejszą. Te państwa w państwie zdają się być tak kosmopolityczne, jak Bourgetowski świat z nad Riwiery, z Rzymu, Helgolandu. Jednostka kulturalna łatwiéj i szczerzéj porozumie się w obcym języku z jednostką kulturalną wrogiego narodu, aniżeli z bliźnim, rodakiem, kamienicznikiem. Francuski restaurator bliższy się czuje niemieckiego restauratora, niż wykwintnego intellectuella z teatru des Escholiers czy des Poétes. Bouverat i Pecuchet, Müller i Schulze zaczynają się zbliżać, a psyche filistra staje się już jednego szablonu na całym świecie. Wiele motywów wywołało ten niewygodny często dla obu stron stosunek. Wszyscy ci, którzy trzymają rękę na literackim pulsie Europy, czują, że puls ten bije gorączkowém nierówném tempem, ale że wielki chory nie zwraca nań wielkiéj uwagi, gdyż myśli jego zaprzątnięte zupełnie czém inném. I profesorzy i przyjaciele i reporterzy literatury przychodzą do niewesołego przekonania, że praca ducha ludzkiego, o ile objawia się w pięknéj formie, a nie w wynalazkach na polu elektrotechniki, staje się społeczeństwu obojętną, obcą, często śmieszną. Jedni mówią: amerykanizujemy się, drudzy decydują, że jest to objaw, towarzyszący zawsze epokom przejściowym, jeszcze inni kombinują, że polityka pochłania tak duchowy interes społeczeństw, że wszystko inne wobec niéj wydaje się błahém i nieważném, co więcéj nawet, że stan ten nie jest przejściowym, ale właśnie początkiem przyszłego wieku, że literaturą przyszłości to fejletony, poetami mówcy parlamentarni.

Tak źle chyba nie jest i nie będzie chyba, gdyż zawsze będą tacy, którzy dobrze się bawią na kiermaszach i przy piwie, a pozostaną ci, którzy pięknéj powieści nie uważają tylko za preludyum do siesty poobiedniéj. To tylko przykre, że i te 10 tysięcy wyższe, jak je ktoś złośliwy nazwał, tracą dotychczasowe zainteresowanie na rzecz zapasów rzeźnickich w Casino de Paris, na rzecz indyjskich szansonistek w Wintergartenie lub maleńkiéj czasem polityczki przesypywania piasku w łupinach od orzechów. Upadają wszędzie premiery jedne po drugich, publiczność jeśli z przyzwyczajenia przychodzi do świątyń sztuki, to jeśli szczerze interesuje się niemi, tylko, kiedy można z nich robić parlament, gwizdać, tupać, autorom krzyczeć: *à bas, conspuez flaneur, nieder mit dem Kameel* i w inny dowcipny sposób manifestować swój krytyczny temperament. Literackie teatra bankrutują jedne po drugich, niemieccy dramaturgowie płaczą nad gruzami swych Jerozolim, a symboliści kokietują się już między sobą. Ci ostatni przynajmniéj bawią się jeszcze stylowo, prawie tak, jak dawniéj bawiono się w lożach wolnych mularzy, jak jeszcze dawniéj w Birs-Nimrud i Korsabadzie. Mag popatrzył za kulisami na maga, i obaj buchnęli homerycznym śmiechem, ale gdy stanęli przed ludem, mieli miny poważne, tajemnicze i przepaścisto głębokie.

Fakt smutny nie przestaje być charakterystycznym. Między glebą a jéj kwiatami, między społeczeństwem a artystami przepaść jeszcze coraz głębsza i szersza, ci przestają się troszczyć, bawić i podziwiać artystów, dzieła, iskrę Bożą, a ci zakładają własne królestwa. I w porę wydobyto z rekwizytorni estetycznéj wytworne hasło sztuki dla sztuki. Za kulisami mówi się: nie imponujemy im, trzeba powiedzieć, że nas zrozumieć może tylko mała garstka wybranych, *publicum select*, najwyższe tysiąc, zagrać snobom na ambicyi kilka akordów z końca XVIII wieku z epoki warkoczów, Watteau i pieśniarzy-pieczeniarzy. I na jakiś czas ci, którzy na rogach ulic otrąbili odgrzebaną pobudkę, wzbudzili interes przemożnéj publiczności, weszli w modę, w nakładców, w salony, każdy kościół, jaki się zakładał, musiał być ufundowany imieniem ich patrona, zaroiło się od apokaliptyków, nazareńczyków, peladanistów, ejakulatów, orgiastów, neoalchemików, dyabolików. Zdawało się, maluczko, a w każdéj redakcyi modernéj znajdą kamień filozoficzny, czerwoną tynkturę, n^{ty} wymiar, na ulicach zaczną się odprawiać czarne msze, pokażą się rzeczywiście nowe Ewy, nie tylko te na tandemach, w bloomersach z doktoratem w torebce, że wirować zaczną nie tylko stoliki ale i słońca miedziano-rude, a gwiazdy rozpłaczą się srebrem na purpurowe łąki sensytywnych dusz... Zdawało się, że

w cabaretach, tawernach i baarach dojdą dekadenci do absolutu. Tymczasem wszechpotężny snob mocny, nienasycony, znudzony ziewnął. Dość mu już było pieśni bluźnierczych, grzesznika, królewskich, górnych, dość chorałów wizyonerskich, japońskich Irysów, psalmodyi malarskich, uwertur kolorowych, dość nastrojów tak delikatnych, jak oddech księżniczki Maleny śpiącéj, w baszcie zamkowéj nad kanałem, po którym pływają wszystkich kolorów tęczy łabędzie.

Znudził się już sceną, choćby była najbardziéj *intime*, najciszéj *libre*, najstraszniéj *rosse*, legendami archaicznemi z filozoficznym tekstem pod obiecującym tytułem: Dyalogi Platona. Książe Mydłek znudził się Poëgo księciem Prosperem, którego wszyscy na swój sposób przenicowywali i podkasanym katolicyzmem Huysmannsa i panią Rachildé i Swinburnem i Strindbergiem i Dehmelem, muzyką programową z któréj się miał uczyć religii nadczłowieka, pejzażami pointillistów i pipistów. Zażądał więc grymaśnie czegoś nowego i zawiódł się. W Paryżu od 3 lat nie wymyślono nic nowego, jak tylko *retour*, reakcyę przeciw analizie psychologicznéj, przeciw wszystkim synom i wnukom naturalizmu, przeciw mgłom norweskim, dusznéj atmosferze assyryjskiéj, extrawagancyom wielkiéj sztuki, przeciw wszystkim wogóle ...izmom, które postanowiono zwalczyć roman*izmem*, to jest kierunkiem rozbudzenia patryotycznego ducha francuzkiego, *esprit gaulois*, poezyą rasy... na razie Cyrano de Bergerac'iem.

W Niemczech roździał między społeczeństwem a państwem ducha szczególnie silny i jaskrawy wyrobił się jeszcze pod wpływem wypadków politycznych, po roku 1871, pod żelazną rękawicą Bismarck'a. Wielu historyków kultury niemieckiéj zgadza się na to, że ufundowanie jedności niemieckiéj kosztowało Niemcy ducha germańskiego, którego Bismarck zabił. Poprawmy: z a b i j a ł... Postawił w programie swoim przygniecenie wolnego ducha narodu, ale gdy chciało go zrobić niewolnikiem, służalcem swym, kiedy patryotyzm pan niemiecki wymagał koniecznie zrzeczenia się wolności i szlachetności myśli, wtedy duch musiał się z pęt wyeamancypować, i nie mogąc iść równolegle, poszedł zupełnie w odwrotnym kierunku. I tu znalazł już lud, z którego także chciano zrobić bierne, ślepe narzędzie jedności niemieckiéj. Stąd pochodzi, że literatura po roku 1880 szła ręka w rękę z socyalizmem, oboje jako rewolucyjne pierwiastki ducha germańskiego, jako negacya uświadomiona i wojująca machinacyi poli-

tycznych, bezmózgich farsistów, powieściopisarzy dla panienek, dramatów... Stąd pochodzi, że pojęcie socyalizmu stawiano w Niemczech tuż obok naturalizmu,że oba uważano jako politycznie i społecznie szkodliwe, ba nawet jako antipruskie, że przy kolebce młodo-niemieckiéj literatury stał proletaryat socyalny, że polemikę ze starymi uważano nie tylko za walkę z akademickim warkoczem, bezkrwistością i tandetą, ale i za propagandę rewolucyjno-społeczną. Stąd tak szeroka i szybka popularność wielkiego talentu Hauptmanna, jako dramatyka naturalistycznego na podkładzie socyalnym. Ten zaś fenomen, że młodzi Niemcy wprost z niwelującego socyalizmu, wskakiwali w pełnym rynsztunku na ziemię z tamtéj strony zła i dobra i z szczerym zapałem wyznawali już religię Zarathustry należy tłómaczyć tém, że zwątpiały orzeł Nietsche właśnie zamknął i upersonifikował w sobie tę pańską, artystyczną, bezwzględną negacyę zmateryalizowanych szablonów demokratycznych Niemiec. Nietsche, jako fanatyczny wróg liberalizmu niemieckiego z jego ciasnotą i plebejuszostem, wróg inteligentnego tłumu, i jako świetny, dyonyzejski, dumny artysta, był im znowu bliższym, aniżeli idea, która realizując się zaczęła być równie ciasną, jednostronną, mdłą jak liberalizm, którego tylko jest chyba 3-cim tomem. Tém należy tłómaczyć tę wielką secessyę *in montem sacrum*, tłumne opuszczanie szeregów partyi socyalnéj i tém chyba tę okoliczność, że partyjne organa niemieckie przeciw swoim ongiś pieśniarzom Henckellowi, Hauptmannowi i innym wygrywają takie krytyczne melodye, jakich by się powstydził i pies szczekający z zapłotu.

Ten objaw odrębności królestwa ducha i myśli germańskiéj w państwie pruskiém, objaw niekorzystny i nienormalny, ale objaw już ogólny tak w Niemczech, jak w każdym kraju w Europie, byłby może właśnie jednym z wielkich powodów anarchii umysłowéj i literackiéj, jako zrywający niebezpiecznie węzły pokrewne, wspólne cele, idee pozytywne, solidarną pracę kulturalną dla przyszłości między członkami jednego wielkiego organizmu. Możnaby powiedzieć: prorocy walczą z własnym ludem, a lud, jak ci ślepcy w dramacie Maeterlincka, bezradni bez kapłana opiekuna stoją tuż tuż nad brzegiem wzburzonego morza.

Ten objaw kosmopolityzacyi sztuki i literatury w drugiéj jéj fazie t. j. obojętności artystów i pisarzy dla celów swego narodu, jego literatury, piękna, wywołanéj brutalną obojętnością społeczeństwa, tępym obskurantyzmem, bierną ospałością, które kładą im

„cierń w życia przeciągu" i pozwalają z głodu cicho umierać, a następnie obok obojętności do swego narodu, pracy na korzyść innego, i cały szereg innych faktów, które oddzielają pracownika piękna od rodzimych ideałów, a popychają go w objęcia haseł sztuki dla sztuki, da się obecnie illustrować np. filofrankońskiemi powieściami młodych Niemców, które są niejako odwdzięczeniem Octaviuszowi Mirbeau, pani Rachildé i wielu innym autorom filogermańskich powieści. Da się daléj illustrować przeglądami literackimi, wychodzącemi w kilku językach pod jedną redakcyą, ankietami literackiemi, traktującemi przyjaźniejsze zbliżenie Francyi i Niemiec, daléj tém, że Grek Piotr Louys pisze wyłącznie po francusku a w kraju swoim zupełnie nieznany, Ada Negri Włoszka daleko więcéj popularna i wielbiona we Francyi i Anglii, niż własnéj ojczyźnie, Ibsen przed podporami swego społeczeństwa musiał schronić się do Niemiec i wystawia sztuki wyłącznie w Niemczech, a Stanisław Przybyszewski, który do ostatnich czasów pisał tylko po niemiecku, w Niemczech uważany jest za meteor na niebie niemieckiéj poezyi. Może to i dlatego że podpór społeczeństwa tak dużo jest w każdym już narodzie.

Ten objaw jest téż organicznym motywem drugiego. W Niemczech nazwiska norweskie, rosyjskie, włoskie mają swoją nadwartość u czytelników, wszyscy znają i przepadają za Prevostem, Tschechowem (nie Czechowem), d'Annunziem, mało wiedzą o Conradim, Mackay'u, Dehmelu. Nikt nie wie o Mombercie i Eversie. Długie lata składały się na to, że piśmiennictwo piękne, powoli ale konsekwentnie i we wszystkich działach rozpadało się na dwie części: literaturę dla czytelników i literaturę kół wykształconych, poczém na belletrystykę dla wypożyczalni książek dla schodów od kuchni i guwernantek i na poezyę zrozumiałą i przystępną tylko kilkudziesięciu, czasem kilku wybrańcom. We wszystkich językach europejskich istnieje oddawna belletrystyka na niedzielę, nie spokrewniona ani jednym węzłem z literaturą piękną, ale za to faworytka szerokich kół, mająca do swoich usług fejletony wszystkich pism codziennych i cały szereg interesujących tygodników jak: Daheim, Heimat, Zur guten Stunde, Vom Fels zum Meer, Universum, Hauschatz, Heimgarten, z których takie Gartenlaube cieszą się 250,000 inteligentnych prenumeratorów. Ma ona swoich dostawców i fabrykantów, swoje Jungfer Marlitt, na scenie swoich Karlweissów, Schönthanów, Vossów ba nawet Wildenbruchów. Ta *in usum Delphini* t. j. na użytek pokoju dziecinnego przeznaczona literatura jest niezwyciężoną, zawsze zdrową, wieczną, nie przechodzi żadnych falowań, kryzysów,

upadków, żadnych kierunków, zna tylko jedną stałą wytyczną, to jest przez pokój dziecinny, jadalnię do kanapy przed drzémką poobiednią, uznaje tylko pewne typy ludzkie, zbliżone do typów pism humorystycznych, pewne sytuacye, pewną skalę uczuć i pewien styl, to jest brak stylu. Wytwórcy téj literatury we wszystkich krajach mają wille, majątki, popularność, są wkorzenieni w społeczność, z któréj wykwitli, opinia publiczna liczy się z nimi, lubi, szacuje, nazwiska ich są firmami tak pewnemi, jak firmy sklepowe, fabryczne, bankierskie. Nie uznaje ich tylko historya pięknéj literatury, koło któréj przechodzą obcy i bezwartościowi. Obok téj samozwańczyni rządzi pani wielka, nieśmiertelna, piękna mająca do swych celów wybrańców, kapłanów, magów, piśmiennictwo przechodzące ciągłe pulsacye i metamorfozy, zmiany ku coraz wynioślejszemu i szlachetniejszemu, czasem stany osłabienia, kataklizmy. Ta literatura „Królowa nasza i Pocieszycielka nasza" staje się w współczesnéj nam epoce coraz obojętniéjszą społeczeństwu, zdaje się odrywać odeń i unosić znacznie wyżéj ponad jego interesa i cele; ma wpływ już tylko na ludzi jéj oddanych, a na rozwój duchowy społeczeństwa działa dopiero w drugiém pokoleniu. trzecie na śladach jéj podobno się wychowa. Tak jest i tak jest dobrze. Trudno bowiem wyobraziéby sobie społeczność, na którą bezpośrednio a silnie wpływałoby jéj piśmiennictwo, jéj systemata filozoficzne i jéj poeci. W obecnéj chwili naprzykład społeczność taka byłaby jednym olbrzymim domem neurasteników i obłąkanych częściowo, a chaos pojęć w szerokich tłumach byłby tak strasznym, jak strasznym jest w mózgach i sercach narodów t. j. w literaturze. I chyba dobrze jest, że ci ludzie, którzy reprezentują ducha społeczeństw, są ich wykwitem i przednią strażą w kulturalnym pochodzie, arteryami myśli ludzkiéj w organizmie całéj ludzkości, są tym społeczeństwom obojętni, obcy, czasem wrodzy. Za daleko wolna ptaszyna myśl ludzka wybrnęła naprzód, za daleko w tyle zostały mdłe ciała społeczeństw. Do ziemi obiecanéj te pokolenia wejść jeszcze nie mogą, widziały już wielkie winogrona z téj ziemi, które im poeci i myśliciele przynieśli, ale oni jeszcze nie dorośli do świata nowego. Tacy jak są, muszą zostać w swoich warunkach bytowania, wierzeń i metafizyki, być może, że ich wnuki będą się karmić owocami, które dla nich byłyby trucizną.

Mostem, łączącym sztukę artystów z sztuką tłumów, jest fejletonizm artystyczny. Podobno ma to być i literatura jutra, w każdym razie to władca dnia dzisiejszego. Fejletonizm rozpanoszył się w piśmiennictwie niemieckiém, tak jak w całém europejskiém i przy-

dusza wszystko inne, jest tyranem łagodnym, wodzem i wyrocznią. Przodują fejletoniści piszący dramaty, feljetoniści piszący powieści i potentaty krytyki fejletonistycznéj. Artystycznie wykształceni dziennikarze są prymasami, pomazującymi przyszłych władców poezyi i dramatu, powoli wszyscy zaczynają więcéj smakować w błyskotliwym krytycznym essayu o jakiejś powieści, niż w saméj powieści, choćby miała ustępy pierwszorzędnéj piękności. Studya literackie więcéj kształcą i wyrabiają smaku, niż najkrystaliczniejsza poezya, *causerzy* o malarstwie są tak opłacani na wagę złota, jak karykaturzyści, a fejleton nastrojowy o jakimś wybrednym koncercie jest z takiém zajęciem czytany, jak opis tualet na balu... Wszem ulubiony fejleton jest tém zharmonizowaniem pięknego z pożyteczném, krótkiego z treściwém, poważnego z dowcipném, jest tym rodzajem, który nie zmusza do myślenia, a pomaga do myślenia... przy trawieniu.

Fejleton daje czasem duszę poety jaśniéj, niż nieumiejętne przeczytanie jego trzech tomików, mówi i kształci więcéj, niż całokształt myślowy jakiegoś filozofa i zajmuje zawsze, o ile jest dowcipnym, pstrzonym paradoksami i ma dobrze imitowaną głębię w poglądach fejletonisty. Fejletonizm jest już w literaturze Molochem, pożerającym mnóstwo talentów, ale zarazem jest i tym kapłanem, który odchyla tłumom miejsce święte świętych, to znów tym klownem, stojącym przed budą jarmarczną i zapraszającym do środka, to znów tym Dawidem, zwyciężającym olbrzymy myśli ludzkiéj drwinami i szyderstwem. W fejleton da się wtłoczyć i ubrać wszystko: krytyka filozofii pessymistycznéj i Ivetta Guibert, rekordy na tandemach, pogląd socyologiczny, kwestya feministyczna i opis malowniczy fiordów norweskich, ewangelia nowéj religii i wszystko co istnieje w czasie i przestrzeni i co nie istnieje, fejletonista może przechodzić codzień wszystkie stopnie od kaznodziei nadczłowieczeństwa aż do kramikarza, i dlatego jest on przyjacielem szerokiéj publiki, wszystkich z tamtéj strony piękna, a równocześnie i mile widzianym gościem przy stole króla Artusa. Fejletonizm, jak wszystko złe... i dobre, wyszedł z Francyi, w Niemczech znalazł jeszcze indywidualniejszych, konkretniejszych i głębszych swoich przedstawicieli. Tacy Frenzel, Nordau, Speidel mają już całe szeregi następców, którzy poprzydzielani do rozmaitych obozów społecznych, czy literackich, są tych obozów apostołami, teoretykami, prawodawcami. Mówiąc o pewnéj grupie literackiéj, cytuje się obok... izmu organ jéj, a potem teoretyka, to jest tego fejletonistę, który w essayach swoich obniża do zera wartości estetyczne i kulturalne in-

nych grup i organów, a podnosi do wysokości Goethego, ewentualnie magów assyryjskich, jako głównego przedstawiciela swego organu, ...izmu. grupy.

W fejletonizmie także tkwi ten wielki zarazek literatur wojujących, to jest rozpolemizowanie, które w Niemczech, jako w kraju *par excellence* teoryi, programmomanów, dogmatystów, doszło do niesłychanych rozmiarów. Rozpolemizowanie jest tém dla krytycznéj twórczości, czém ta bardzo często dla poetyckiéj pracy pisarskiéj, zachwaszcza pole, zaognia charakter intellektualnéj wymiany sprzecznych, ale szanujących się poglądów i wprowadza niezdrową, duszną, jadowitą atmosferę; czasem zaś doprowadza do tego, że w zgiełku kłócących, szarpiących, gniotących i zabijających się nie słychać nawet haseł pod którymi walczą, a już zupełnie nie widać, o co ci fanatyczni polemiści, zapaleńcy krwawią się. Musi się ich nazwać literackimi rycerzami z Manchy, kiedy się czyta, jak polemizują o najbłahsze słowo, zdanie, wiersz, estetyczny paragraf, musi się ich nazwać komiwojażerami literatury, gdy się czyta z jakim hałasem reklamują swe wielkości, a jak oczerniają wyroby literackie innych wrogich im form Placem turniei dla tych panów jest właśnie fejleton, jakie były ich zwycięstwa i jakiéj broni używali, pokazało w Niemczech kilka procesów sądowych, które wyciągnęły na światło dzienne drastyczną dezilluzyę. Egzaltowanych teoretyków, piszących nadęte idealizmem i katońskie estetyczne fejletony, zdemaskowano jako przekupnych żydków, szwindlujących tak wygodnie w literaturze, jak na giełdzie i gdzieindziéj. Takich sędziów było wielu, jeśli już nie wprost przekupnych, to indyferentów, ni zimnych, ni gorących w rzeczach sztuki, ale fanatycznie zapalonych, jeśli chodziło o zgniecenie przeciwników. Krytyka niemiecka (w tym wypadku można nawet generalizować) jest w bardzo znacznéj części wyłącznie partyjną, osobistą, nie rzeczową, parafiańsko szowinistyczną, bezwzględną. I choć każdy memoryał czy tylko urywek krytyczny jest bardzo erudycyjny i fachowy, choć pozornie oparty na regułach i paragrafach piękna, na przeszłości, smaku, estetycznéj logice, autorytecie wielkich, istotnie jednak zawsze przebija się interes i stanowisko grupy i organu, nieszczerość, prywata i zmienność, jak jesiennéj pogody. Tacy sędziowie, ale czy wolno sądzonym rzucać na nich takiemi kamieniami, jak to praktykują rozgoryczeni pieśniarze współczesnych Niemiec. Czy w nich jest ta szczerość Byronowska, ta czystość Dantego, ta pogoda Goethego, ta skrzydlatość poetów słowiańskich? Czy w nich jest hart ducha wielkich, żywiołowy rozmach tytanów i życie prorocze? Czy w nich

jest choćby szczerość przekonań, sumienność myśli i intencyi, dojrzałość męzka, i stałość wierzeń i wiara w powołanie? Czy współczesność jest tak marna, aby na jéj firmamencie tak blade iskrzyły się gwiazdki? Więc to mają być naszych przełomowych czasów Kainy, Wertherzy, Gustawy, Młodzieńce i Aligiery?

Współczesny Werther! Opuścił Lotchen, przeszedł do Nany, od Nany do kelnerek, od kelnerek jeszcze niżéj, poczem podniósł się do emancypantek socyalistycznych, aby obecnie ugrząść w budoirach histeryczek, ubranych w kwiaty maku we włosach i w kult powagnerzystów. Można się było obawiać w czasach lat bojowych naturalizmu że jedynym dla Faustulusów problemem kulturalnym, socyalnym, ekonomicznym, artystycznym zostanie wyłącznie kelnerka Toni lub Mizi. Obecnie należy się obawiać, że współczesne problematyczne natury rozpłyną się w przesyconéj opoponaksem atmosferze rozmaitych Adin, Gerd, Maud, Wahnfried, szukających zbawicieli i znajdujących ich w bladych, przeczulonych aż do brutalności, przerafinowanych aż do śmieszności incroyablach Erwinach, Anatolach, Egonach. Mówi się neoromantyzm, powrót do kielicha niebieskiego kwiatu, ale myśli się o dusznéj atmosferze, nieszczerych pozach i daleko wygnanéj prawdzie.

Współczesny Werther ma czasem znamiona specyficzne młodzieńca takiego a takiego wyznania braku wiary po tylu a tylu przemożeniach (*Ueberwindungen*), smaku wykształconego na tych, a na tych mistrzach. Dojrzały jest więc albo jasnym, pogodnym, dyonyzejskim, choć także pessymista uznaje Goethego, gardzi Kantem i... Schopenhauerem, Nietschego i Rembrandta ma za swoich wychowawców, jest nadczłowiekiem, w praktyce poetą indywidualistą. W innym typie uważa za wychowawcę zawsze jeszcze Nietschego, ale już Poego, Baudelaira, Przybyszewskiego, pluje na Goethego, klassyków trzeźwych, mózg, jest dzieckiem szatana, w praktyce Falkiem, rozpoczynającym twórczość piśmienniczą od rapsodu krytycznego w tonacyi hymnów do słońca na cześć pozornie bliskiego mu duchem malarza czy poety, częściéj zaś zaczyna swą działalność poetyczną od rapsodu krytycznego w tonacyi krucyaty wszystkich dobrze myślących na poetę lub malarza, którego na razie uważa za negacyę piękna i wroga kultury. Tych i im podobnych typów skala jest niezmiernie rozległą i ma tak wysokie tony, jak młodzieńca seraficznego, który wstrząśnięty samobójstwem poety Conradiego, aby być z nim po śmierci wciąż razem, strzelił sobie w skroń—i tak niskie tony jak młodzieńca, który okradzenie kochanki

szansonistki tłómaczył przed sądem wpływem arcydzieła Nitschego: *Also sprach Zarathustra*...

Współczesny Werther szumi intelektualnie dość długo, zanim tężyzna młodego umysłu przejdzie w apatyę dojrzałego Europejczyka. Musi przejść całe schody przemożeń swych dawnych przesądów społecznych, religijnych zabobonów, poglądów etycznych. Musi przejść całe turnieje walk o Boga, o prawdę, o jutro, o przyszłość, wyrzec się kolejno ideałów z 16, 17, 20, 25 roku życia. Musi się wyrzec wszystkich wiar i być sceptycznym aż do punktu, w którym się nie wierzy w swoją wielkość i jedyną misyę dla otoczenia, nim znajdzie swego zbawiciela, najwygodniéj dostrajającego się do jego sposobu myślenia czy téż używania życia, zanim zbawiony stanie się zbawiciela korybantem i w jego pochodzie do Walhalli będzie mógł krzyczeć: Hosanna, Hosanna. Aby dojść do upragnionego znużenia kulturą i intelektualnéj dojrzałości, musi przejść drogą socyalistycznych porywów do najskromniejszego naturalizmu, poczem naturalizmu barwionego idealnie, szukać swojéj indywidualności z pomocą Hermana Bahra, Oli Hannsona, przejść kult Goethego i francuzkich malarzy do plucia na Ibsena, poczem znaleźć swoje ja w mistycyzmie Dehmela i Przybyszewskiego, aby znudziwszy się i zmęczywszy symbolistycznym patosem, odnaleść siebie znów w arystokratycznym spokoju i używaniu piękna Georgego i Hoffmansthala. W końcu zblazowawszy się całym modernizmem jak wielki i szeroki i jak w nim kilka słońc na dzień zachodzi, wrócić do cichéj rezygnacyjnéj poezyi Anioła Szlązaka (*Angelus Silezius*). To są Gehenny młodego, chodzącego po ogrodach Rozpoznania, kulturyzującego się Werthera, to jest zwykła pielgrzymka ze wszystkiemi stacyami Piękna dla człowieka, który ma mózg, serce, jest artystą z krwi i zakosztowawszy owoców jednego drzewa, dostaje głodu owoców wszystkich innych drzew, aż przyjdzie owoc, który mu świat zaczerni, ludzi obrzydzi i duszę zatruje. Biada współczesnemu Wertherowi, że nie został burszem w pstréj czapeczce, Faustem, który poznał tylko karty, *Comment* i kelnerki. Taki przecież nie ośmieli się powiedzieć: „najsilniejszy kto stoi sam, Mój majestat i Sam tyle ważę, ile całe społeczeństwo na szali przeciwnéj, bo jeżeli się upiją i upoją, to tylko piwem, a nigdy kulturą, bujną kulturą dekadencyi nowożytnéj".

Na zachodzie Europy czarne gęste chmury rozstępują się, mgławice norweskie opadają, pokryły się i znikły puhacze i wampiry, wysysające do reszty rozsądek i charakter Hamletów i Faustulusów. *Decennium* czarnéj analizy nagiéj duszy ludzkiéj zdaje się kończyć. Przy warsztatach stoją wszyscy, wszystkich obozów ludzie,

praca przy wszystkich idzie, ale nowych warsztatów niema. Do głosu przyszli z końcem wieku można powiedzieć wszyscy, wszyscy téż mówią, ale śmiało można przypuszczać, że się wyczerpią, że te struny, na których grają, dla muzyki przyszłości, nie wystarczą. Wychodzą przeglądy wyłącznie koteryjne, egzystują nakładcy, wydający tylko teozoficzne poezye i prace, drukuje się mnóstwo symbolicznych powieści w sensacyjnych okładkach, ale zdaje się wszystko przeszło już swoją linię nowości i zaczyna się powtarzać i znów powtarzać a więc zaczyna być nudne i to tém nudniejsze, im było przedtém drastyczniéj piękne i głębokie. Ci, którzy słyszą, jak trawa literacka rośnie, rozsyłają już biuletyny o stanie zdrowia chorego, goniącego ostatkami talentów pandekadentyzmu, mówi się już o epigonach Verlaina; co prawda, że i dość prędko. Niedobitki przyłączają się we Francyi do neohellenistów, bardzo faworyzowanéj szkoły Centaura z takimi firmami: jak Pièrre Loïys i André Lebey na czele, w Niemczech do wiedeńskich prerafaelitów i rokokowców Hoffmansthala i Altenberga. We Włoszech? d'Annunzio pisze Giocondę, dramat, układany specyalnie dla uwydatnienia piękności rąk E. Duse. W Danii zakładają trzeci literacki Variété, Spezialitätentheater, gdzie szansonistki deklamują sonety Gjellerupa, a orkiestra gra już nie marsz armii zbawienia *Trara ra boundeya*, ale uwerturę symfoniczną Ryszarda Straussa: *Also sprach Zarathustra*. Chmury się rozstępują, ale na horyzontach nie widać nic, nic, do czegoby się dążyło. Wloką się całe procesye i to właśnie tych uświadomionych, tych mózgowców i znów tych sentymentalnych, ciągnąc tylko taczki życia po ziemi, ciernie i osty rodzącéj. Wloką za sobą skrzydła, połamane, zbrudzone, zbłocone, niektórzy bardzo smutni i melancholijni, niektórzy tylko zmęczeni i cyniczni i znudzeni, strasznie znudzeni wszystkiém, społeczeństwem, sztuką, szyderczy i drwiący już i ze swojéj tragedyi. Przed nimi biegną arlekiny, którzy pozszywali sobie kostyumy z strzępów myśli ludzkiéj, krzyczą, wywracają kozły i umieją jeszcze sprzedawać czytelnikom i publice swą nicość. Ci co na przełomie wieków stali, tyle widzieli słońc, które okazały się transparentami, tylu słyszeli samozwańczych proroków, tak wielu miało ich zbawić, a siebie zbawić nie zdołali. Jeżeliście tak potężni, mówiono, usuńcież zło choć jedno, i nie usunęli, usuńcież dobro, i usunęli u łatwych, sentymentalnych, młodych, egzaltowanych. I wszyscy stanęli znów przed ciężkiemi okutemi miedzianemi drzwiami, o które już tylu krwawiło sobie dłonie i roztrzaskiwało czaszki, bezradni ślepcy.

A ci z młodych najmłodsi?

Przedostatnie talenta, wchodzące do literatury pięknéj, wchodziły do niéj już w epoce, kiedy społeczeństwo rzadko wchodziło do świątyń sztuki i czciło kapłanów, a artyści głośno obrzucali człowieka przeciętnego przezwiskami głupca, słonia, profana.

Potem już i nie mówiono o filistrze, jakby go nie było wokoło nich, i patrzano tylko w kielich niebieskiego kwiatu, w kobietę potęgę kosmiczną, i w dziwaczną treść swoich dusz, tęskniono do rozwiązania wielkich odwiecznych zagadek wszechbytu i nie myślano o materyi. Sadzili kwiaty na glebach swych talentów, pielęgnowali je, ścinali i znosili na ołtarz sztuki dla sztuki. Ostatni, którzy wchodzą juz w przededniu wieku XX, podobno wieku aerokabów i anarchistów, zdają się znowu odmienni.

Ci już, utylitaryści znów, w powrotnéj fali jakiegoś neopozytywizmu starają się nawiązać stosunki z rozwiedzioném z nimi społeczeństwem, zrzekają się wielkich szat i wielkich słów kazalnic i dymów, nie wzlatują ponad obłoki, ale wkraczają w służbę społeczeństwa, jako utalentowani w pisarstwie obywatele, jako nacyonaliści, poeci rasy, w Niemczech prowincyonaliści pejzażyści swych okolic rodzinnych, lirycy swego ludu, dramaturdzy obyczajowi swego mieszczaństwa i wyznawcy jednéj tylko filozofii, to jest filozofii... *monsieura Chauvin*.....

Na nich zamykają się rachunki z współczesną literaturą niemiecką, na nich można zamknąć rachunek z ubiegłym wiekiem kultury. Wielu powołanych, ale nie wybranych, stara się przy téj sposobności dać możliwie najwierniejszy obraz duszy współczesnéj *l'ame moderne* i wszyscy zgodnie dochodzą do najsmutniejszych rezultatów, wszyscy widzą tylko bezład, chaos, brak harmonii, niekonsekwencyę jako dogmat, anarchizm i to na wszystkich polach duszy, w pojęciach politycznych, socyalnych, moralnych, estetyczych. Chciałoby się powiedzieć z Krasińskim: ludzie i bogi szaleją, gdyby słowo bogi nie wywoływało już tylko śmiechu. Po epoce wielkich *representativ-manow* Emersona przyszła kolej na całe tłumy *hommes mediocres* Ernesta Hello, czy *hommes copies* Stendhala, którzy tak zagmatwali estetyczne i krytyczne wszystkie węzły gordyjskie, pokrzywili złote sztaby i porozpraszali spadek po wielkich, że obecnie zdają się wszystkie studnie i źródła w państwie ducha zatrute, a wszystkie monety obiegające fałszywemi.

Nie słychać już wielkich dzwonów, które tak potężnie rozbrzmiewały w różnych latach XIX wieku, ale słychać wielką bezładną, ale jeszcze polyfonię mniejszych i bardzo małych dzwonków, które wzywają wiernych do najrozmaitszych świątyń, tumów, sy-

nagog, pagód. Z całego tego zamętu ma wyjść świat ducha, nowy Adam i nowa Ewa; jakie one będą—nie wywróżą żadne ankiety, choćby obsyłane przez najgłośniejsze nazwiska, największych myślicieli i poetów.

Ci bowiem, którzy tkwią w chaosie, sami najwięcéj burzą, niszczą, trują, są z środowiska i współcześni, są z mroków i niezgód ze wszystkiém i ze sobą, ci nie mogą wróżyć przyszłości, która musi być chyba: harmonijną, prostą, jasną i zgodną. A że teraźniejszość jest niezgodna, ciemna, chaotyczna, że czuć już w powietrzu brzask nowych dni, ale walka wre jeszcze wciąż w ciemnościach, że piętno anarchii wybiło się najsilniéj na wszelkich przejawach ducha w Niemczech i że patrząc szeroko i możliwie najgłębiéj, tylko do pessymistycznych konkluzyi dojść się musi, o tém łatwo się przekonać, przeszedłszy krytycznie i *subiektywnie* wszystkie kierunki literackie, ich przedstawicieli i ich dzieła.

Adolf Nowaczyński Neuwert.



DLA MILIONA.

XXIII.

Wiadomość o dobrowolnej ugodzie z p. Floryańskim wywołała oburzenie wśród członków giełdy. Spodziewano się, że sprawa ta bez jakich 100,000 nie zostanie załatwioną, a p. Floryański za lekkomyślność kopania szybu na gruncie wątpliwym zostanie przez spółkę usunięty z administratorstwa.

Wymówki, zarzuty zdrady, odstępstwa sypały się na milczącego p. Krausberga, który przyciśnięty odpowiadał:

— Czego wy chcecie? To był mój interes.

Panowie Lindeman i Stillbach rozgoryczeni jego postępowaniem w tej sprawie, a niezadowoleni z zysków cerezyny oświadczyli, że z takim człowiekiem jak on nie myślą nadal pozostawać w spółce, i albo niech on ich spłaci, albo oni jemu zwrócą wkład jego.

Wszczęła się pomiędzy nimi gwałtowna kłótnia, wymyślali sobie, grozili, i ostatecznie postanowili zdać się na sąd polubowny.

Ze wszystkich wymówek i złośliwych przycinków najbardziej dotknęła p. Krausberga groźba rozwiązania spółki fabrycznej. Przyjąć na swą odpowiedzialność całą fabrykę cerezyny obawiał się,

niemieccy kupcy ganili gatunek, obniżali cenę i nawet niechętnie kupowali; z drugiéj strony fabryka dawała bądź co bądź dochody, miał zbyt na swój wosk surowy, a gdyby ulepszył produkcyę, zyski byłyby nawet wysokie. Nie dowierzał jednak dotychczasowemu dyrektorowi i zanim sąd polubowny wyda wyrok w sporze wspólki, postanowił w sprawie cerezyny zasięgnąć rady specyalisty pana van Haechta.

Dowiedziawszy się, że chemik jest w swém mieszkaniu, zapukał do drzwi.

Przyjął go zdziwiony niespodziewaną wizytą.

— Ja przyszedłem do pana inżyniera z wielką prośbą.

— Jaką? — spytał obojętnie.

— Pan inżynier jest specyalista, to ja przyszedłem poradzić się o moją cerezynę. Ona jest żółtawa, miękka, a ja chcę, żeby była twarda i biała.

— Przecież ma pan dyrektora.

— On nie jest takim sławnym specyalistą. Niech pan inżynier mi poradzi, ja nie chcę darmo, ja zapłacę.

— Bez wiedzy dyrektora, pana Wintera, nie mogę się podjąć tego.

— On się zgodzi, w tem moja głowa, — zawołał p. Krausberg.

— I wówczas pogadamy — dodał pan Haecht.

— A co pan inżynier potrzebuje do próby?

— Kilka gatunków wosku, trochę kwasu siarkowego i odpadków żelazosinku potasowego.

— Sam dyrektor Winter przyśle to do pana. I panie inżynierze, ile to będzie kosztować?

— Policzymy się późniéj, — uśmiechnął się, — sam jestem ciekawy rezultatu.

— Pan inżynier jest bardzo szlachetny, — zawołał p. Krausberg z ukłonem, — ja zaraz idę do dyrektora naszéj fabryki.

Pan Krausberg z łatwością nakłonił pana Wintera nietylko do zezwolenia na zrobienie próby z woskiem, ale sam dyrektor poszedł osobiście do van Haechta, by się dowiedzieć, ile i czego potrzebuje z jego fabryki.

Po przywitaniu rzekł pan Winter, rozsiadając się na fotelu:

— To ładna rafinerya....

— Wzorowo urządzona, wszystkie najnowsze wynalazki są w niéj zastosowane, — odpowiedział chemik, — aż przyjemnie pracować.

— To jedyny wyjątek w tym kraju barbarzyńskim, — zaśmiał się drwiąco, — bo ten Floryański rozrzutny, a inni, jak Krausberg, głupio skąpi. Czego chciał ten żyd od pana?

— Przyszedł w sprawie cerezyny — mówił podając cygara — skarżył się, że gatunek nie jest dość dobry.

— Obrzydliwy skąpiec, żąda doskonałéj cerezyny, a materyały daje pod psem. Bo to widzi pan, tam u nas byłem pomocnikiem dyrektora, ale miałem inteligentnych dozorców, pracownię chemiczną, do któréj mogłem posłać wątpliwą cerezynę każdéj chwili i dowiedzieć się, czego jéj brakuje. A tu, niechże ich dyabli porwą, — zawołał uderzając ręką w stół, — dają mi źle skoncentrowany kwas siarkowy, wosk kilku gatunków, dozorców głupich, chcą oszczędzać pracę robotników, i niema pracowni chemicznéj.

— Ciężkie warunki—dorzucił gospodarz.

— Radzę sobie praktycznie, tak na oko, czasem trafię dobrze, czasem potrzeba powtórzyć cały proces, no i naturalnie koszta są znaczne, ale czy to moja wina?

— Dlaczegoż pan nie powie im tego?

— Mówiłem, wymawiają się od każdego wydatku, i całe to dyrektorstwo tak mnie zmęczyło, że czekam tylko listu i porzucę ich natychmiast; wolę być u nas pomocnikiem, jak tu dyrektorem...

— Jaki procent cerezyny wydaje tutejszy wosk? — spytał chemik po chwili milczenia.

— Mniéj więcéj 47 lub 48 procent. Zresztą przy próbnem badaniu przekona się pan sam, a czego pan potrzebuje do doświadczenia?

Chemik wymienił ilość i jakość produktów.

— Każę robotnikowi przynieść to panu, a kiedy będzie rezultat?

— Za dwa, najdaléj za trzy dni.

— A wytłomacz pan temu żydowi, że dobroć materyału stanowi o dobroci cerezyny — mówił dyrektor wstając.

— Zrobione doświadczenie samo wykaże wady, — odpowiedział wymijająco.

Pan Krausberg z niecierpliwością wyglądał wyniku badań chemika, gdyż stosownie do tego miał się zachować w oczekującym go procesie ze wspólnikami.

Nareszcie trzeciego dnia przyjął go w swéj pracowni van Haecht, a wskazując na leżące na stole tabliczki cerezyny rzekł:

— Z wosku ziemnego otrzymałem trzy gatunki cerezyny: białą, półbiałą i białożółtą. Wygląd i twardość cerezyny zależy od starannego odkwaszenia, upiększenia i jednostajnego ochłodzenia.

Pan Krausberg pochwycił pierwszą tabliczkę, dotykał się jéj z przyjemnością, wąchał, położył na stół z szacunkiem i patrząc w oczy chemikowi, przemówił:

— Panie inżynierze, ja sobie bardzo winszuję, że prosiłem pana o próbę. Nasz dyrektor zawsze mówi, że takiéj białéj, najlepszéj i najdroższéj z naszego wosku on nie może zrobić, a ja teraz widzę, że można.

— Pan dyrektor ma do pewnego stopnia słuszność. Wpierw musiałem gatunkować wosk, i dwie pierwsze tabliczki otrzymałem z najlepszego gatunku.

— Czemuż on nie gatunkuje? — zawołał z odcieniem gniewu.

— Tego nie wiem, o ile jednak poznałem sposób fabrykacyi u pana, główną wadą jest brak chemika, znającego się na rzeczy.

— A od czego on jest dyrektorem, on zobowiązał się kontraktem do robienia cerezyny.

— Za wiele pan wymaga od dyrektora, on musi uważać na ogólne procesa całéj fabryki i nie może ślęczyć w pracowni. Następnie materyały dostarczane muszą być w dobrym gatunku, i najlepszy dyrektor z lichego wosku, z dymiącego kwasu siarkowego nie zrobi cerezyny pierwszego gatunku.

Pan Krausberg słuchał tych słów, nie przywiązując do nich wielkiéj wagi, cały bowiem był pochłonięty myślą, w jaki sposób możnaby wyzyskać znajomość fabrykacyi cerezyny, którą posiadał ten chemik. Po chwili milczenia uśmiechając się słodko rzekł:

— Panie inżynierze, my w handlu nie lubimy tracić czas na słowa, to ja powiem krótko: ile pan inżynier chce za to, aby nauczyć naszego dyrektora robienia takiéj białéj, popłatnéj cerezyny?

Uśmiechnął się chemik na tę propozycyę i rzekł wesoło:

— Pan Winter nie potrzebuje méj nauki, on umie robić cerezynę, potrzebuje tylko zdolnego chemika.

— To ja proszę pana inżyniera, zanim znajdę takiego chemika, niech mu pan powie, on usłucha pana inżyniera, bo on sam mówił, że pan sławny na Europę całą.

— Nie, panie Krausberg, pan jako właściciel nie powinien mi robić podobnych propozycyi. Pan oddał fabrykę panu Winterowi, i tylko on ma prawo w niéj rządzić!

— A jeśli dyrektor poprosi pana?

— Jeśli dyrektor?... Obliczę się z czasem, wysłucham warunków i dopiero wówczas dam odpowiedź.

— Nu dobrze, ja pogadam z dyrektorem, — i po chwili dodał tonem prośby, — panie inżynierze, niech mi pan powie, co powinien zrobić dyrektor, aby mieć taką białą cerezynę?

— To bardzo trudno, — zaśmiał się chemik, — pan nie zna zasad fabrykacyi i działań chemicznych, chociażbym i powiedział, nic pan nie zrozumiész.

Pan Krausberg, który sądził, że wyłudziwszy odpowiedź, powtórzy ją dyrektorowi, i dojdzie w ten sposób bez kosztów do białéj cerezyny, westchnął i rzekł:

— Ja już przyślę dyrektora, — a po chwili zbliżył się do stołu i patrząc chciwie na tabliczki dodał: — Panie inżynierze, pan mi pozwoli to zabrać...

— Przecież to z wosku pana, bierz pan.

Szybko wziął, schował starannie i nie wspominając nic o przyrzeczonem honoraryum, z głębokiemi ukłonami wycofał się z pokoju. W sieni przystanął jednak i rozważał, zapłacić czy nie zapłacić chemikowi? Płacąc, wyda pieniądze i to za rzecz, którą już posiadł, zatém straci niepotrzebnie; ale niepłacąc może sobie narazić chemika, a on będzie mu potrzebny w jego fabryce, on może mu zrobić tysiące centnarów takiéj cerezyny, i zysk będzie wielki. Ten jeden raz on zaryzykuje i zapłaci. Wrócił się, zapukał do drzwi i wszedł śmiało, bo przecież daje pieniądze.

— A, to pan, a czego? — spytał chemik, zajęty przy ustawianiu retorty.

— Panie inżynierze, pan był tak delikatny i nie wspomniał o zapłacie, a ja mam tak dużo na głowie, że zapomniałem, ale ja sobie przypomniałem i wróciłem się, aby zapłacić.

— Dziękuję, byłbym jednak posłał rachunek do fabryki pana.

— My przecież znajomi, panie inżynierze, po co między nami takie ceremonie?

I w obawie by chemik nie zażądał większéj sumy, wyjął szybko pugilares, odliczył dwadzieścia pięć guldenów, zwinął banknoty w trąbkę i podając rzekł:

— Niech pan inżynier przyjmie to za fatygę.

Wychodzącego powstrzymały słowa chemika:

— Panie Krausberg, na drugi raz, płacąc za pracę, dawaj pan pieniądze otwarcie, bo to nie żadna łapówka, ale należność.

— Ja prosty człowiek,—odpowiedział zmieszany,—ja nie chciałem obrazić pana inżyniera.

Chemik przeliczył pieniądze, spojrzał na stojącego u progu, i mówił z uśmiechem ironicznym:

— Dwadzieścia pięć to trochę za mało, ale niech będzie na pierwszy raz, jednak nie zapominaj pan na przyszłość, że jestem z kraju, w którym za pracę płaci się dobrze.

— Ja będę pamiętał, — odpowiedział, zamykając drzwi za sobą.

Pan Krausberg był niezadowolony ze siebie, sądził, że zaimponuje chemikowi swoją uczciwością i zapłaceniem niezażądanych pieniędzy, a w zamian otrzymał niepotrzebną mu naukę wręczania pieniędzy własnych.

— On nie jest delikatny człowiek, to wielki gbur — mruknął do siebie, idąc do swéj fabryki.

— Panie dyrektorze, — rzekł do pana Wintera, spotkanego w biurze fabrycznem, w którem pracowało trzech pisarzy, krewnych właścicieli — ten pański inżynier już zrobił cerezynę, — i wyciągnął tabliczkę białą.

— Tak? Ach mój Boże, to żadna sztuka, i ja robiłem taką cerezynę.

— Nu, a czemu pan dyrektor nie robi u nas?

— Czemu? Daj mi pan pracownię chemiczną, dobre materyały, a będziesz pan miał taką.

— On mówi, że pan dyrektor potrzebuje gatunkować wosk surowy, to dostanie taką cerezynę.

— Głupi jest z gatunkowaniem, — zawołał obrażony, — i ja wiem o tem, ale kolor zależy od odkwaszenia, upiększenia i filtrowania. Daj mi pan ludzi zdolnych i chemika, a zrobię panu.

— Po co panu chemik?... A pomocnik pana nie może to zrobić?

— Także coś nowego! — odburknął gniewny, — sam nie mogę się rozerwać na cztery części, ktoś musi mi pomagać.

— Panie dyrektorze, a co pan powie na to, gdybyśmy zgodzili na chemika tego inżyniera.

— Van Haechta?! Bardzo wątpię, aby przyjął miejsce.

— Nie na stałe, ale tak sobie, do pomocy przy robocie cerezyny.....

— To byłoby nieźle, tylko czy on się zgodzi?

— On mi tak powiedział. Pan dyrektor rządzi i jeśli zechce mnie mieć, on mnie wezwie. Ile jemu dać, panie dyrektorze?

— Nie wiem, zwykły chemik bierze od 50 do 100 guldenów na miesiąc, ale on zechce drożéj.

— Ja już mówiłem, że on nie będzie na stałe, niech on przyjdzie raz na dzień, pogada, zobaczy, no i koniec. Za taki spacer ja mu dam trzydzieści guldenów na miesiąc!

— Trzydzieści??

— Panie dyrektorze ja mu dołożę pięć guldenów, jak będzie biała, ładna, popłatna cerezyna.

— Hm... nie wiem.

— Co to szkodzi spróbować, niech pan dyrektor pójdzie do niego, i powie jemu prawdę, że to będzie zabawka dla niego, taki sobie wesoły spacer, i za to dostanie trzydzieści pięć guldenów na miesiąc, ale cerezyna musi być biała, taka jak ta tabliczka.

— Pójdę, spróbuję, — mówił biorąc kapelusz,—a jest w domu?

— Ja idę od niego, i zaczekam tu na pana dyrektora.

W pół godziny wrócił pan Winter i rzekł do oczekującego właściciela:

— Mówiłem—że nie przyjmie tak nizkich warunków, i nie przyjął... Żąda 200 florenów miesięcznie i zakupna potrzebnych przyrządów chemicznych.

— To źle, ja nie myślałem, że on taki drogi — westchnął szczerze p. Krausberg, — i co my teraz zrobimy?

— Sprowadź pan chemika stałego, a zanim on przyjedzie, inżynier van Haecht — mówił dyrektor tonem, w którym brzmiała duma — zrobi to dla mnie i będzie przychodził do fabryki, udzielając ludziom wskazówek w razie potrzeby.

— On będzie przychodził? On będzie pilnował cerezyny?! I bezpłatnie, to nie może być—dziwił się szczerze właściciel.

— My inżynierowie oddajemy sobie przysługi koleżeńskie. On robi to tylko dla mnie!

— To bardzo pięknie ze strony panów inżynierów, oni powinni trzymać się kupy, — mówił uradowany p. Krausberg, — to my, panie dyrektorze, będziemy mieli białą, twardą cerezynę.

— Mielibyśmy i bez niego, a teraz to już napewno; podzielimy się robotą, i cerezyna już gotowa.

— Pan dyrektor zrobił to mądrze i tanio — pochwalił właściciel, — ja panu bardzo dziękuję i ja będę to pamiętał.

Wieczorem zasiadł pan Krausberg w domu do rachunku i właśnie doszedł do rezultatu, iż fabryka cerezyny po odtrąceniu kosztów utrzymania stałego chemika da znaczne zyski przy produkcyi białéj cerezyny, gdy weszła żona mówiąc:

— Lejzor, przyszedł do ciebie komiwojażer z Austryi, i chce się widzieć z tobą.

— Gdzie on jest, Suro?

— On stoi w pierwszym pokoju.

Pan Krausberg, jak siedział w lejbiku szarym bez rękawów, tak wszedł do pokoju jadalnego i spojrzał na przybyłego, blondyna z rysami semickiemi, ubranego z przesadną elegancyą:

— Przyjechałem od firmy Sorgenthal...

— Ja znam ją.

— Firma moja pragnie zawiązać trwałe stosunki z fabryką cerezyny: Krausberg, Lindeman und Stillbach.

— Ile pan płaci za centnar cerezyny?

— Zależy od gatunku, czy mogę widzieć próbę?

— Siadaj pan, ja panu dam.

Wyszedł, chwilę się namyślał, czy nie dać tabliczek, wziętych od chemika, lecz wkrótce uśmiechając się wydobył najgorszy okaz cerezyny z własnéj fabryki i wręczył przybyłemu.

— Czy tylko taką cerezynę macie panowie? — spytał, spoglądając dość lekceważąco na próbkę.

— Dotychczas innéj nie fabrykujemy, może późniéj będzie lepsza.

— Ile pan żąda *loco* stacya kolei?

— Sto guldenów za centnar.

— To niemożliwe, my za najlepszą tak płacimy, niema mowy o stu guldenach.

— Ile pan da?

— Za taką cerezynę, co najwyżéj 76, a za trochę lepszą 78 guldenów.

— Pan myśli, że to wosk prosty, ozokerit, czy co? Nas fabryka drogo kosztuje i tylko dla takiéj firmy mogę opuścić guldena jednego na centnarze.

— Ja widzę, że pan nie chce zawiązać stosunków handlowych z naszą firmą. Ja dam panu centnar loco stacya 76 g. 50 cnt.

— Pan sobie żartuje, — uśmiechnął się pan Krausberg, — ale ja panu coś powiem. Ja jestem tylko wspólnik, pan weź sobie tę próbkę, co panu opuszczą Lindeman i Stillbach, ja zgadzam się na ich cenę.

— Gdzie oni mieszkają? — spytał zabierając się do odejścia.

— Panu powie każdy z naszych na ulicy, ich znają w Drohobyczu.

W trzy dni późniéj na sądzie polubownym panowie Lindeman i Stillbach, zniechęceni nizką ceną cerezyny, ofiarowaną im przez firmę Sorgenthal, starali się usilnie udowodnić sądowi, że pan Kraus-

berg w sprawie fabryki cerezyny działał od samego początku podstępnie na ich niekorzyść. On zwabił ich do swego domu i nakłonił do współki; budował drogo fabrykę, przepłacając materyały, sprowadził nieodpowiedniego dyrektora, i tylko sam korzysta z tėj fabryki, sprzedając drogo swój wosk.

Pan Krausberg bronił się niezręcznie, niektóre fakta wobec świadków był zmuszony uznać, mieszał się w odpowiedziach i tłomaczył niejasno.

Sąd po naradzie odczytał wyrok, mocą którego pan Lejzor Krausberg skazany jest na spłatę wspólników, jednak ze względu, że nie udowodniono mu złéj wiary, sumę należną od niego wspólnikom, rozkłada się na dłuższe terminy bez żadnego procentu.

Wyrok przyjęły obydwie strony z zadowoleniem, a na drugi dzień wieczorem przybito świeży szyld na fabryce cerezyny, zamiast dawniejszego współki wypisano wielkiemi literami na białem tle: *Lejzor und Moses Krausberg!*

XXIV.

Pan Emil van Haecht, korzystając z dnia świątecznego, wybrał się do Drohobycza. Na placyku Bazylianów, zapełnionym wozami i furmankami przedmieszczan i chłopów z okolic miasta, woźnica zwolnił bieg koni i zwrócił się do siedzącego:

— Kiedy i gdzie każe pan inżynier przyjechać po siebie z fabryki?

— Niepotrzeba, przyjdę pieszo.

— Może będzie za daleko?

— Dwa lub trzy kilometry to nie odległość, gdyby się kto pytał o mnie, wieczorem będę w domu.

Zeskoczył z eleganckiéj, fabrycznéj bryczki i wmieszał się w tłum ludzi gwarzących, nawołujących na siebie, idących ku kościołowi i licznym sklepikom przygodnym, ustawionym w rzędzie.

Wśród zebranych przeważali przedmieszczanie, ubrani w bekiesze granatowe, suto szamerowane, w kapeluszach ze szerokiemi skrzydłami, w butach palonych glansowanych; wobec nich, chłopi w serdakach i guńkach, w małych czarnych kapeluszach, z pod których spadały długie włosy, w chodakach na nogach, wyglądali niepozornie, ubogo; podobnie jak ich żony przedstawiały się skromnie i pokornie naprzeciw wystrojonych przedmieszczanek. W promieniach jasnego południowego słońca lśniły się jedwabne chustki na

głowach, zawiązane na kształt turbana, odbijały wyraźnie sznury grubych korali na bielutkich koszulach, barwiły się jaskrawe, suto fałdowane spódnice i wyraźnie rysowały się figury niewieście pod krótkiemi, obcisłemi kaftaniczkami.

Nie znając kraju i jego obyczajów, nie rozumiejąc języka, patrzał ciekawie na ten tłum wesoły, uśmiechnięty, ubrany odświętnie, pomiędzy którym uwijali się żydzi, widoczni po swych czarnych chałatach, krzyczały dzieci, gwizdały na glinianych konikach, hałasowały grzechotkami, patrząc pożądliwie na zabawki jaskrawo malowane, na obwarzanki i pierniki rozstawione ponętnie na niskich stolikach. Zwolna przesunął się przez tłum i wszedł na rynek, mieniący się od barwnie ustrojonych kobiet, wrzaskliwy od przeróżnych kupcowych, sklepikarek i kramarek, od roznoszących wodę sodową, limoniadę, owoce i inne przysmaki. Szedł po pod podsienia do kościoła, stojącego tuż za rynkiem, a przeciskając się przez przekupniów i handlujących, spotkał się niespodzianie z panem Krausbergiem.

— Co pan tu robi, panie inżynierze?

— Oglądam Drohobycz.

— Co tu można widzieć, dziś są sami chłopi, u nich święto, to przyjechali, aby stracić zarobione pieniądze — uśmiechał się drwiąco. — Panie inżynierze, ja panu bardzo wdzięczny za tę białą cerezynę, jak pan będzie czego potrzebował, niech pan się uda do mnie, Krausberg zrobi wszystko.

— Dziękuję, nic mi nie potrzeba.

— Nigdy naprzód nie można wiedzieć, może zajść jaki wypadek, dlaczego nie?

Musieli obydwaj cofnąć się o kilka kroków, gdyż tragarze wnosili do sklepu ciężkie kamienie wosku pszczelnego.

— Skąd ten wosk? — spytał van Haecht.

— To robią pszczoły, oni przywieźli ze wsi, aj to dobry interes, nic nie kosztuje, a płaci się trzy razy tyle, ile nasza cerezyna.

Chemik spojrzał zaciekawiony pytając:

— Wosk? Czy u was ma taki zbyt?

— To złoty interes, tylko mało jest wosku, każdy chłop musi kupić do kościoła albo do cerkwi kilka świec woskowych, inne kupuje on tylko na własne potrzeby, a on bardzo mało potrzebuje, takiemu chłopu wystarcza komin, on nawet nafty nie potrzebuje w domu.

— Gdzie można wosk kupić?

— Pan inżynier dostanie w każdym sklepiku. Na co panu potrzebny wosk?

— Do doświadczeń chemicznych.

— Ja panu inżynierowi mogę dostarczyć.

— Dziękuję, sam kupię.

— Pan inżynier jest bardzo dumny.

— Nie lubię usług narzucanych — odparł szorstko.

— Ja widzę, że już nudzę pana inżyniera, ja już pójdę.

— Żegnam pana.

Wszedł na plac, przemieniony świeżo na ogród spacerowy, pełen klombów, drzew i ławeczek, otaczający kościół ładny, gotycki, murowany z cegły. W téj chwili roił się ogród od pobożnych wchodzących i wychodzących z kościoła. Przez otwarte na oścież drzwi główne widać było falowanie tłumu, niebieskawe obłoki dymu, wznoszącego się w górę, jarzące świece u głównego ołtarza, i na zewnątrz przedostawały się głębokie tony organów, wtórujących pieśni pobożnéj.

Wstąpił do kościoła. rozglądając się na razie ciekawie po ściennych malowidłach, ołtarzach, ludziach zgromadzonych, ale stopniowo dźwięki organów, zapach kadzidła, dzwonki ministrantów przypomniały mu jego młodość, gdy z matką modlił się w kościele rodzinnéj wioski Breskene. I tam brzmiały organy, pachniało podobne kadzidło, odzywały się dzwonki, ale przy nim była matka, wokoło inni ludzie, inne twarze, inne stroje, inne ołtarze obwieszone łódkami, okręcikami, jako wota żon i matek, modlących się gorliwie i z wiarą niezachwianą za swych mężów i synów, płynących na dalekich morzach. Obraz za obrazem z jego dzieciństwa i młodości przesuwał się przed nim, widział pysznie uprawiane pola poprzedzielane drzewami, rosłe konie ardeńskie, ciągnące po bitych drogach dwukolne wozy, szły z głuchem dzwonieniem łagodne krowy, w dali czerwieniły się dachówki domów wiejskich, znaczyła się na płaszczyźnie smukła wieża kościelna; cały utonął w myślach, przenoszących go do rodzinnego kraju.

Wyszedłszy z kościoła, jeszcze miał w umyśle obrazy z Breskene, zdawało mu się przez chwilę, że tuż ujrzy mieniące się w blaskach słonecznych morze, posłyszy głuchy szum przewalających się fal, owionie go świeży, morski powiew.

Otrząsł się z widziadeł, zobaczywszy młode drzewa i krzewy, a za niemi rozrzucone domy mieszkalne. W około słyszał obcy język, wiatr przynosił rozparzone wyziewy fabryk, zapach dymu, skór, nafty...

Ogarnęła go nostalgia za ojczystém niebem, ziemią, powietrzem, morzem.

Wstrętne mu były kamienice, zszargane deszczem i śniegiem, brudni przekupnie, wyziewy rynsztoków, miał żal do tych ludzi uśmiechniętych, wesołych, zajętych tylko sobą, i w tém podnieceniu żalu i tęsknoty, zamiast z rynku skręcić na prawo ku fabryce, szedł prosto przed siebie, aż wreszcie ujrzał się zdala od zgiełku i ludzi na małym wzgórku. Z lewéj strony wznosiła się wielka, parowa cegielnia, z prawéj ciągnął się mur, z poza którego wznosiły się liczne krzyże nagrobne.

Przez otwartą bramę wszedł na cmentarz. Owionął go chłód i spokój umarłych, lecz równocześnie wzmogła się tęsknota i żal za krajem. Czuł się bardzo osamotnionym, opuszczonym, zapomnianym, biednym. Wokoło obco, pusto, smutno, nikt nie przemówi serdeczniéj, nikt nie wyciągnie ręki do uścisku, nikt nie współczuje, tylko interesa z obcymi, i tylko zawsze nafta, wosk, zysk, strata. Zdawało mu się, że swoją przeszłość już pogrzebał, i oto stoi nad świeżym grobem, w którym złożył swe najdroższe pamiątki. Żal i ból odczuwał niemal fizycznie, piekły go oczy, drżało serce, drgały nerwy, kurczyło się gardło. Usiadł na kamieniu nagrobnym pod cieniem brzóz płaczących, nadpłynęła fala tkliwości, zapragnął namiętnie zobaczyć kogoś ze swoich, spojrzéć mu w oczy, uścisnąć rękę, posłyszéć dzwięk mowy ojczystéj. Nasłuchiwał. Nad nim drżały szeptając listeczki brzozy, dźwięczały owady, szemrały osiki, a wśród tych cichych szeptów, dźwięków, szmerów zdawało mu się, że posłyszał ciche łkanie.

Wstał, obejrzał się w około. Białe figury nagrobków promieniały w blaskach słońca, świeciły się litery złocone, czerniały krzyże. Idąc w głąb słyszał w ciszy cmentarnéj zgrzyt piasku pod nogami, brzęczenie pszczół, ćwierk koników polnych i świerszczy, a skręcając w boczną ulicę, spostrzegł dwie modlące się nad grobem kobiety. Obie klęczały zwrócone profilem do niego.

Widok ich szczeréj boleści i żalu, gorącéj modlitwy wzruszył go, sam bowiem był rozstrojony tęsknotą za krajem. Widział w nich pokrewne dusze, równie smutne, jak on w téj chwili. Powodowany szacunkiem, nie chcąc przeszkadzać im w modlitwie, cofnął się, okrążył część cmentarza i zwolna zbliżył się z drugiéj strony do klęczących kobiet. Obie były ubrane w ciemne suknie, starsza często podnosiła chusteczkę do załzawionych oczu, młodsza modliła się w skupieniu, wpatrzona w skromny krzyż czarny z tabliczką nazwiska i zgonu zmarłego.

Regularne rysy twarzy młodéj panny, wymykające się z pod kapelusika jasne złotawe włosy, spokój i dobroć, rozlane w twarzy,

wzniesione na krzyż niebieskie oczy, ocienione długiemi rzęsami, przypomniały p. van Haechtowi typowe twarze z jego ojczyzny Zbyt świeżo odczuł tęsknotę, aby spotkanéj, pięknéj postaci nie wiązać ze wspomnieniami swego kraju. Oparty o nagrobek, im dłużéj się wpatrywał w tę twarz piękną, wyraźnie narysowaną, z delikatną cerą, tem czuł więcéj, że gdzieś, kiedyś widział już tę postać, we śnie czy na jawie, ale on znał ją, ona była mu pokrewną, bliską.

Uparty ten wzrok odczuła bezwiednie modląca się, zaniepokojona obejrzała się i spotkała jasne, błyszczące oczy wpatrzonego. Odwróciła się szybko, rumieniąc się lekko wbrew woli i chęci.

Po chwili powstały obydwie i szły w kierunku bramy. Pan Haecht nie spuszczał oczu z odchodzących. Smukły wzrost, piękna figura, rytmiczny chód, podobały mu się na równi z piękną twarzą.

Już chciał iść za niemi, lecz wpierw postanowił odczytać napis na grobie, przed którym modliły się kobiety. Zbliżył się i przeczytał: August Bratkowski, spojrzał na grób pełen kwiatów i pomiędzy liśćmi, wiotkiemi łodygami dojrzał książkę do nabożeństwa.

Podniósł, przerzucił kilka kart, lecz nie znając języka polskiego, zamknął książkę, spiesząc za kobietami, by im zapomnianą rzecz oddać.

Dojrzał je na chodniku idące w kierunku miasta, przyśpieszył kroku, zastanawiając się przez chwilę, w jakim języku przemówić do nich, po francusku czy niemiecku. Dziś jednak nastroiła go nostalgia tak na ton ojczysty, że postanowił użyć języka francuskiego, zbliżył się, a składając ukłon, przemówił do zdziwionych kobiet.

— Przez zapomnienie zostawiła pani, — zwrócił się do młodszéj, obaczywszy w ręku matki książkę, — na grobie tę książkę. Odczytując napis nagrobny, spostrzegłem ją i miło mi zwrócić jéj własność.

Zmieszana i zarumieniona odpowiedziała w tym samym języku:

— Dziękuję panu, zapomniałam.

— Błogosławię to zapomnienie, — zawołał uradowany, — bo usłyszałem mój język ojczysty, a tak bardzo pragnąłem dziś posłyszéć dźwięk jego.

Widząc niepewne i zmieszane miny kobiet, które przystanęły, odbierając książkę, dodał z żywością:

— Pozwolą panie, że sam się przedstawię tu, zanim będę miał zaszczyt złożyć państwu moje uszanowanie. Jestem Emil van Haecht, belgijczyk, i chwilowo pracuję w fabryce rafineryi Spółki kopalnianéj.

Obie panie słuchały w milczeniu idąc zwolna chodnikiem.

— Niech pani daruje — mówił do matki, — zatęskniłem dziś za krajem, za swoimi, i oto spotkało mnie szczęście rozmawiania w swoim języku, niech pani na ten jeden, jedyny raz usunie formy konwencyonalne, i pozwoli mi towarzyszyć paniom.

Tyle szczeréj prośby było w jego głosie, że pani Bratkowska uległa i powiedziała uprzejmie:

— Pominę formy ze względu, że pan obcy tutaj, i rozumiem żal pana za krajem.

— Pani może zna Belgię?

— Byłam tam, ale to już dawno, i kraj jest istotnie piękny.

— A morze! To nasze morze, mieniące się barwami, zawsze żywe, silne, piękne...

— Pamiętam, — odpowiedziała, uśmiechając się z jego zapału.

— A pani nie zna Belgii? — spytał córki.

— Nie znam, nie byłam zagranicą.

— Jaka szkoda!

— Mnie czy zagranicy? — uśmiechnęła się.

— Źle się wyraziłem, pani ma słuszność, powiedziałem szkoda, powodowany egoizmem.

— Jakże się panu podobało u nas? — spytała pani Bratkowska po chwilowém milczeniu.

— Błądzę tu, jak niemy i głuchy, bo nie znam języka, słyszę nie słysząc, patrzę nie widząc, i pragnąłem spotkać kogoś, któryby mnie uleczył, przywrócił mi słuch i wzrok.

— Ale sam kraj, okolica? — dodała panna Zofia ciekawa wrażeń cudzoziemca.

— Natura jest wszędzie piękną, ale... ale ja wolę moje płaszczyzny i bezbrzeżne morze. Tam wzrok leci jak ptak wolny, tu rozbija się o pręty klatki.

— Wspaniałe są nasze góry, — mówiła podrażniona, — a z ich szczytu oko sięga daléj, niż w nizinach, i patrzy górniéj, nie pełzając wiecznie po ziemi.

— Słuchając panią, gotów jestem polubić góry.

— Taki pan zmienny i wrażliwy, — rzekła swobodnie.

— Nie pani, ulegam tylko prawu suggestyi, czytając piękny opis lodowców na biegunie północnym, krajów podzwrotnikowych, lub Sahary, interesują mnie te okolice i lubię je dzięki artyzmowi autora.

Weszli w rynek. Mieszkańcy miast prowincyonalnych, zapewne z braku innych rozrywek, zajmują się z wielkiem zamiłowaniem

i starannością sprawami swoich bliźnich. Zjawienie się inżyniera w towarzystwie pań Bratkowskich zaciekawiło i poruszyło nietylko spotkanych z t. zw. inteligencyi, ale zainteresowało przekupki, służące, faktorów, i zbierająca się pod apteką giełda zauważyła to niezwykłe zdarzenie.

Byli nawet tacy, co starali się podsłuchać idących, jednak francuski język stał tym usiłowaniom na przeszkodzie.

Pani Bratkowska, znająca tę właściwość miasta, uśmiechnęła się na widok zaciekawionych i szpiegujących spojrzeń i spytała:

— Pan ma znajomych w Drohobyczu?

— Nikogo. Siedzę w mojéj fabryce jak borsuk w jamie, dziś wywabiła mnie pogoda i dzień świąteczny.

— I zawsze siedzi pan w fabryce?

— Pracuję nad naftą, a teraz nad woskiem, i jedynie praca w méj pracowni chemicznéj daje mi zapomnienie.

— Takie życie nie jest zbyt przyjemne.

— Raczéj smutne, i czasem tak zatęsknię do ludzi, że pakuję moją walizkę, aby uciec z tych miejsc ale... przychodzi refleksya, i zostaję.

— Jesteśmy blizko domu, tam mieszkamy — i wskazała na parterowy dom w ogrodzie.

Panie zwolniły kroku, spostrzegł, że należy je pożegnać.

— Kiedy pozwolą mi panie złożyć uszanowanie?

— Jesteśmy w domu każdodziennie od godziny 2 do 4.

— Zanim panie pożegnam słowem „do widzenia", przepraszam najserdeczniéj za moje natręctwo i jestem bardzo wdzięczny za chwile użyczonego mi szczęścia.

Rozstali się.

Pani Bratkowska, skręcając do domu, rzekła do córki:

— Przyjemny i ugrzeczniony człowiek.

— Sądzi mama, że on jest szczery?

— Jestem tego pewna.

Pożegnawszy ich, szedł ku domowi z twarzą rozpromienioną, nie widząc ludzi, ustępując im machinalnie, nie słysząc gwaru miasta, gdyż w oczach miał tylko jéj postać, twarz, oczy, włosy, ruchy; w uszach dźwięczały mu jéj słowa. Zdala od kraju po raz pierwszy spotkał kobietę młodą, piękną, inteligentną, z którą mógł rozmawiać w rodowitym języku o innych sprawach, aniżeli fabryce, nafcie, wosku, pieniądzach...

Nasunęło mu się pytanie: kto ona? czem się zajmuje? jak żyje?

Wkrótce jednak skinął ręką, jakby odpędzał natrętny owad, bo w jakim celu i po co miał się pozbywać złudzenia, że ona jest wolną, dobrą, szlachetną.

Znalazł wreszcie kogoś na obczyźnie, tak daleko od swoich, z kim może podzielić się ze swemi wrażeniami, oderwać myśl od spraw codziennych, choć na chwilę, chociażby w urojeniu wejść w kraj poezyi; nie czuł się się już tak samotnym wśród tych gór, ludzi, fabryk.

Dopiero będąc w swym pokoju przypomiał sobie, rozmyślając o jutrzejszéj pracy, że nie przyniósł ze sobą wosku pszczelnego, polecił kupno woźnemu i zamierzał wieczór spędzić u siebie, gdy nadszedł bilet od pana Wintera z usilną prośbą przyjścia do fabryki, gdyż cerezyna stoi i czeka.

XXV.

Cały następny dzień poświęcił pan Haecht pracy nad cerezyną i woskiem pszczelnym.

Dowiedziawszy się od p. Krausberga o wysokiéj cenie wosku pszczelnego, postanowił na drodze chemicznéj uzyskać ten produkt z cerezyny, i miał to wysokie zadowolenie, że samodzielnie osiągnął cerezynę, łudząco podobną do wosku pszczelnego.

Właśnie wybierał się do pań Bratkowskich z wizytą, gdy przyjechał p. Floryański i zaszedł do pracowni. Widząc tabliczki cerezyny i wosku spytał:

— Panie van Haecht, czy zajmuje pana wosk ziemny?

— Pan Winter, dyrektor fabryki cerezyny prosił mnie o pewne wskazówki, których mu udzieliłem.

— Ale tu widzę wosk pszczelny.

— Proszę, zgadnij pan, która z tych tabliczek jest zrobiona z wosku pszczelnego, a która wyrobem z cerezyny? — spytał z uśmiechem.

Pan Floryański namyślał się, badał, przełamywał, wreszcie wybrał i podniósł w górę mówiąc:

— Ta, panie van Haecht.

— Ta?! — zaśmiał się chemik z zadowoleniem, — właśnie jest z cerezyny.

— Ponieważ nie zajmuję się woskiem, może zechce pan mi objaśnić ten wyrób?

— Bardzo chętnie. Rozpuszczoną białą cerezynę zabarwia się do koloru wosku gumigutą, curcumą, chinoliną lub inną ingredyencyą, a następnie dodaję dla zapachu trochę wosku pszczelnego, którego skład zbadał doskonale Brodie i Busine; i łatwo mi się zoryentować w ilości.

— Czy zamyśla pan zużytkować ten swój wynalazek tutaj?

— Za wielkie słowo wynalazek na rzecz tak drobną, ale istotnie zamierzam zaproponować kupno właścicielowi fabryki p. Krausbergowi.

— Jemu? — uśmiechnął się p. Floryański, — radzę być bardzo ostrożnym, to chytry żyd. Swoją drogą cieszyłbym się, gdyby go pan pociągnął na większą sumę.

— Myślę wziąć jakie 500 do 1000 guldenów.

— Tak mało? Ależ on da o wiele więcéj, żądaj pan 5,000 guldenów.

— Za wiele, najwyżéj 3,000.

— Przynajmniéj zaceń pan wyżéj.

— Nie lubię targów, albo mi da 3,000, albo nie, ale kupczyć nie lubię.

— W takim razie nie wchodź pan w stosunki z żydami.

Po chwili milczenia spytał chemik:

— Nie ma pan wiadomości o aparatach?

— Dziś powinne być na stacyi. Może pojedziemy na stacyę?

— Jeśli pan mógłby się zatrzymać gdzieś w mieście, pojechałbym chętnie, bo dziś mam złożyć wizytę.

— Pan? W Drohobyczu? — śmiał się pan Floryański.

Poznałem panie Bratkowskie i składam im wizytę — odpowiedział tonem poważnym.

— Bratkowski?! Bratkowski?! Ach wiem, to jeden z tych nieszczęśliwych, którzy szukając wosku czy nafty, znaleźli śmierć.

— Pan go znał? — spytał zainteresowany.

— Nie znałem osobiście, słyszałem tylko, miał za małe kapitały i wiadomości... Cóż, jedzie pan?

Zapytany spojrzał na zegarek, była pierwsza.

— Mam dwie godziny czasu, czy ułatwimy się na kolei?

— Naturalnie. Jedźmy, a potém odwiozę pana do pań Bratkowskich, bo zapewne musi być matka i córka?

— Tak jest.

— Nie zakochaj się pan tylko.

— Niema obawy, zbyt dobrze jestem opancerzony.

— I pancerz nie pomógł rycerzom, musieli go odrzucić, — zaśmiał się p. Floryański.

— Mój pancerz jest moja wola, potrzebuję tylko niechcieć, a miłość nie znajdzie przystępu.

— Zazdroszczę wiary.

— Mówię z doświadczenia.

— W tym wypadku, doświadczenia z chemią uczuć trzeba zawsze zaczynać od początku, poprzednie nie dają się zastosować.

Chemik spojrzał znów na zegarek mówiąc:

— Pozwoli pan, że się przebiorę, za chwilę będę gotów.

— Zaczekam.

Około godziny trzeciéj lekki powozik, zaprzężony czwórką szpaków, ku źdźiwieniu sąsiedztwa stanął w ustronnéj uliczce przed mieszkaniem pań Bratkowskich, i pan Haecht wysiadł.

— Długo pan zabawi? — spytał p. Floryański.

— Kwadrans, najwyżéj pół godziny.

— Jadę do fabryki, aby rozporządzić przywiezienie aparatów chociażby dzisiaj, panu przyślę tutaj konie fabryczne.

— Dziękuję, byle się nie spóźnił.

— Kto? Pan czy on? — uśmiechnął się.

— I on, i ja, — zawołał wesoło, żegnając się z administratorem.

Otworzył drzwiczki w sztachetach i wszedł w uliczkę ogrodową, ujętą w szpaler agrestów. Rozglądał się ciekawie wokoło. Wśród grządek ogrodowizny stały drzewa owocowe, a dopiero bliżéj domku, przeświecającego białemi ścianami, były skupione drzewa dzikie, przerastające znacznie dach domu. Zbliżywszy się ujrzał na ganku domu, chłopca młodego, może lat piętnastu, uspakajającego psa, rwącego się w kierunku gościa:

— Cicho Hektor! Leżéć!

Podszedł bliżéj ganku na dwóch słupkach, obrośniętego powojami różnokolorowemi, wychylającemi na wszystkie strony swe delikatne kielichy.

— Czy zastałem panie Bratkowskie? — spytał po francuzku.

Chłopak spojrzał na niego, źdźiwiony obcym językiem, zmieszał się, zczerwieniał i odpowiedział niezbyt płynnie:

— Mama i siostra są w domu, proszę, wejdź pan do pokoju — i wskazał drzwi z prawéj strony.

— To młody pan Bratkowski, — zawołał gość, — miło mi poznać pana, jestem van Haecht — i uścisnął rękę chłopca, który przywitawszy się otworzył drzwi bawialni, zapraszając gościa, sam poszedł szybko w głąb domu.

Pokój dość obszerny, narożny, był skromnie umeblowany wyściełanemi meblami, obitemi szarą materyą, ale w rozkładzie mebli, w obrazach wiszących, w ustawieniu kwiatów przy oknach, czuć było inwidualne zamiłowanie, dążność zrobienia tego pokoju miłym i przyjemnym dla siebie.

Otworzyły się drzwi boczne i weszła panna Zofia, ubrana w skromną jasno popielatą suknię. Podając mu rękę białą, ładną, uśmiechnęła się przyjaźnie:

— Dzień dobry panu, proszę siadaj pan.

— Pragnąłem wczoraj być u państwa, zatrzymała mnie robota.

Umilkli, po chwili spytał:

— Jak zdrowie mamy?

— Dziękuję panu, zajęta gospodarstwem, zaraz przyjdzie.

— Może przeszkodziłem w czémkolwiek paniom?... Trzymałem się jednak ściśle oznaczonych godzin.

— W niczém pan nam nie przeszkodził...

Znów milczeli, czując oboje ogólnikowość téj rozmowy. Panna Zofia uśmiechnęła się, gdyż miała na ustach sakramentalne słowa o pogodzie dnia, i rzekła swobodnie.

— Naprawdę nie wiedziałam, że rozmowa o niczém jest trúdną, bo przecież banalność jest tak łatwą.

— Nasze poznanie nie było banalne, — mówił z ożywieniem,— spotkałem panią nad grobem, widziałem panią przez pryzmat méj ojczyzny, a zaprezentowałem się jak waryat. Czyż nie tak?

— Co pan rozumie przez pryzmat?

— Każdy z nas posiada w swym umyśle pewien zasób cech ulubionych i odszukuje je w spotkanych osobach. Pani np. twarzą swoją, włosami, postacią przypominała mi wrażenia dzieciństwa, byłem pewny, że z ust pani usłyszę dźwięk mojéj mowy ojczystéj, i wszystko jedno, czy znalazłbym lub nie, książkę pani, byłbym się zbliżył do pań, bo wierzę, iż we wszechświecie płyną jakieś prądy sympatyczne lub antypatyczne, i według nich kształtują się stosunki ludzi.

— Pan wierzy w jakieś regulujące prądy, a dla mnie to tylko przypadek.

— Przypadek? Nie, bo i dlaczego zaszedłem tego dnia do kościoła, by mi on przypomniał ojczyznę, i pod wpływem rozdraźnienia poszedłem na cmentarz, by spotkać panią. Widzę w tém jakieś prawo wyższe, kierujące nami.

— Prawo samowoli wiatru, który zrywa dwa liście i pędzi przez chwilę w jednym kierunku. Następnie jeden liść przylega do ziemi, bagna, wody, wszystko jedno, a drugi leci dalej i dalej.

— Czasem wiatr-los nie rozłącza liści...

— Przypadek, nic więcej.

— Pani wierzy w przeznaczenie, a ja uznaję prawa rządzące.

— Ślepe!

— Myli się pani, one są logiczne...

Weszła pani Bratkowska, a po przywitaniu spytała:

— O czém rozmawialiście?

— Pani sądzi, że nasz los zawisł od przypadku, a ja — że od praw ogólnych.

— Przypadek? Los? Prawo? To tylko dźwięki słów. Prawdą życia jest cierpienie, a pociechą rezygnacya.

— Cierpienie? — mówił gość z ironicznym uśmiechem, — ale proszę pani, w téj chwili jest mi dobrze, czuję się prawie szczęśliwym, i to dla mnie jest prawdą życia.

— Chwilowe urojenie, — uśmiechnęła się smutno.

— Chyba nie nazwie pani urojeniem, — zawołał, — że ten dom biały stoi, że lipy przesyłają aż tu swoją miodną woń, że w téj chwili jestem w świecie innym, lepszym, doskonalszym, gdzie mogę mówić o ważniejszych zagadnieniach, aniżeli o nafcie, wosku, pieniądzach...

— I tę przyjemność odczuwa pan w przeciwieństwie do minionéj przykrości.

— Nie zgadzam się z mamą, — odezwała się córka zarumieniona, — prawo harmonii istnieje we wszechświecie, i ono tak samo obowiązuje, jak prawo cierpienia.

— Uprzedziła pani moje słowa, — zawołał pan Haecht, — harmonia jest szczęściem, a ona istnieje.

— Oboje jesteście młodzi, — mówiła pobłażliwie — ale co innego jest teorya, co innego praktyka w naszém życiu.

— W mojéj nauce, w chemii, teorya idzie zgodnie z praktyką, która ją tylko sprawdza.

— W nauce może tak jest, ale w życiu...

— Proszę mamy! — zawołał syn przez uchylone drzwi.

— Idę.

— Szczerze się cieszę, — mówił pan Haecht po jéj wyjściu, — że mamy wspólne poglądy na życie. Dzisiaj mam nawet nowy dowód zgodności marzeń z rzeczywistością. Jadąc do państwa, myślałem naturalnie o tem, jak i gdzie pani żyje...

— I rzeczywistość, — przerwała z uśmiechem.

— Sprawdziła marzenie. Wyobrażałem sobie, że pani, jak ta dobra wróżka, żyje w ładnym, małym domku, wśród drzew i kwiatów....

— Pijąc nektar, zajadając ambrozyę; i pan się omylił, bo jestem tylko nauczycielką prywatną, i jadam chleb zapracowany przezemnie, harmonia między pana marzeniem a rzeczywistością nie była zupełną. Cóż się tedy stanie z wróżką pana?

— Wróżka moja osiągnęła wyższy stopień rozwoju, — rzekł swobodnie.

— Nie rozumiem.

— Wszystkie nimfy, wróżki, undyny, żyją tchnieniem, a duszę ludzką otrzymują po długich cierpieniach i dopiero wtedy są szczęśliwe.

— Mieszkają w zamkach wspaniałych, — mówiła tonem bajki, — są uwielbiane przez wiernego rycerza, tryumfują nad wszelkiém złem i t. d., i t. d. To ładne, ale tylko w poezyi.

— Ta jedna warta coś w życiu.

Po chwili milczenia spytał:

— Panie stale mieszkają w Drohobyczu?

— Od czasu śmierci ojca stale, dawniéj byliśmy na wsi.

— Pobyt w Drohobyczu nie musi być przyjemny, za wiele żydów.

— My téż naprawdę żyjemy zamknięci w domu naszym, a na miasto wychodzimy tylko w razie potrzeby.

— I nie tęskni pani do zabaw, teatru, koncertu? — pytał trochę zdziwiony.

— Czasem, ale rzeczywistość przywołuje mnie do porządku, i godzę się z koniecznością, nie zbyt przykrą zresztą, bo mam książki.

— Przywiozłem ze sobą sporo książek francuzkich, mogę niemi służyć pani?

— Dziękuję panu, teraz nie miałabym czasu czytać, bo przygotowuję się do egzaminu nauczycielskiego.

— Jaka jednak pani inna, wyróżniająca się od zwykle spotykanych panien, które zawsze z lekceważeniem lub goryczą mówią o pracy i obowiązkach.

— Widocznie trafiał pan na wyjątki.

— Może i tak, a może pani jest wyjątkiem z reguły ogólnéj.

— To przekonanie nie przynosi zaszczytu obserwacyi pana.

Weszła pani Bratkowska, i kładąc zwitek na pianinie, rzekła:

— Pani Krajewska odesłała ci nuty.

— Pani grywa na fortepianie?

— Tylko dla siebie, — a widząc jego pytające spojrzenie, mówiła, — za mało umiem, za wysoko cenię muzykę, aby męczyć innych swoją grą.

Pan Haecht wstał z krzesła i zwracając się do pani Bratkowskiéj, mówił:

— Prosiłbym panią o pozwolenie odwiedzania pań, wyświadczy mi pani wielką łaskę, bo prawdę powiedziawszy, znalazłem po raz pierwszy w domu pań ciszę bez martwoty, spokój bez lenistwa, szczęście bez szału.

— I nam miło będzie widziéć pana, — odpowiedziała uprzejmie.

— Wolno mi zatem powiedziéć: do widzenia.

— Do widzenia!

Wyszedł niebardzo zadowolony ze siebie, gdyż jadąc na tę wizytę, myślał, iż od jednego razu stanie na przyjacielskiéj, poufałéj stopie, że potrafi jeśli już nie olśnić, to zyskać przychylność tych kobiet, a obecnie czuł, że równie dalekim jest teraz, jak dawniéj przy pierwszem poznaniu. A jednak szkoda, że nie umiał się dostroić do tonu domu, ona jest piękna, miła, szczera, i w jéj oczach jest coś, co nęci jak fala a drażni jak przepaść; oczy ma bardzo piękne i zagadkowe.

Spostrzegłszy konie fabryczne, przypomniał sobie swe obowiązki i spytał po niemiecku:

— Fury poszły po aparaty na kolej?

— Już panie inżynierze.

— Zaczekaj na mnie obok Bazylianów, załatwię kilka sprawunków i pojedziemy.

Zakupiwszy potrzebne rzeczy, szedł przez rynek, gdy tuż z boku usłyszał:

— Dobry wieczór panu inżynierowi.

— A to pan, panie Krausberg, mam interes do pana dosyć ważny.

Kupiec zbliżył się niedowierzająco i spytał:

— Jaki to interes?

— Onegdaj mówił mi pan, że wosk pszczelny droższy jest od cerezyny...

— Ja to samo dziś powiem.

— Otóż znalazłem sposób przerobienia wosku ziemnego na wosk pszczelny, mogę panu dostarczyć tego produktu ile pan zechce.

— Pan inżynier żartuje, — zaśmiał się z przymusem — wosk pszczelny pachnie i jest twardy, a nasz śmierdzi naftą i miękki jak błoto.

— Jedź pan ze mną do fabryki, a zobaczysz na własne oczy. Przedtem kup pan jednak pół funta wosku pszczelnego, aby porównać.

— Na co mi to? Ja panu inżynierowi dostarczę centnar naszego wosku, a pan mi odda pszczelny.

— Zróbmy panie Krausberg inną umowę... Na jeden dzień będę dyrektorem fabryki pana, i zamiast cerezyny dam panu tę samą ilość wosku pszczelnego.

— Nu, ja się dziś zgadzam, taki wosk byłby dobry interes. Ja byłem dziś w mojéj fabryce, jutro filtrują cerezynę.

— I jutro będzie pan miał wosk pszczelny.

— Ja pojadę zaraz,—wołał rozgorączkowany pan Krausberg,— i powiem dyrektorowi, że pan inżynier ma prawo do rządzenia.

— Daj mi pan list, to wystarczy.

— Ja zaraz napiszę i poślę do niego.

— Jutro w południe może pan obejrzeć nowy wosk pszczelny.

— Ja już będę w mojéj fabryce, — zawołał kłaniając się odjeżdżającemu.

Pan van Haecht korzystając z tego, że monter ustawiał dopiero aparaty dowiezione koleją, mógł cały ranek poświęcić wytworzeniu wosku pszczelnego z gotowéj cerezyny, i przybyłemu do fabryki właścicielowi przedstawił gotowy produkt.

— Panie inżynierze, chodźmy, my teraz sobie pogadamy — rzekł p. Krausberg, przekonawszy się dostatecznie o łudzącem podobieństwie wyrobu sztucznego z naturalnym.

Wyszli na podwórze fabryczne, a właściciel uśmiechając się przemówił:

— Panie inżynierze, ja panu dam dobrą pensyę, a pan będzie mi robił taki wosk.

— Nie przyjmę miejsca, pan może tylko kupić sposób robienia takiego wosku, nic więcéj.

— Ile pan inżynier chce?

— Trzy tysiące guldenów.

— To za drogo, ja nie mogę, to byłoby mojém bankructwem.

— Nie kupi pan, kupią inni.

— Panie inżynierze ja może kupię, tylko niech mi pan wpierw powie, jak to się robi, ja zobaczę, czy inni potrafią bez pana inżyniera.

— Bez wybiegów panie Krausberg, powiem po zapłaceniu trzech tysięcy i mogę upewnić pana, że dyrektor Winter dostarczy panu takiego wosku.

— Nu, ja panu wierzę, ale ja nie mogę dać trzy tysiące, ja dam... tysiąc pięćset.

— Od mojéj cyfry nie odstąpię.

— Panie inżynierze, pan chce mnie zabić, ja nie mogę dać tyle, ja przez dziesięć lat tego nie zarobię.

— Nie kupuj pan.

— Ja zaryzykuję, ja powiem ostatnie słowo, ja dam dwa tysiące.

Chemik uśmiechnął się drwiąco i zwrócił się ku bramie.

— Panie inżynierze, niech pan nie będzie taki twardy... ja coś dodam.

Pan Haecht szedł w milczeniu daléj.

— Czemu pan nic nie mówi? Ja dam dwa tysiące dwieście... i pięćdziesiąt. Jakto jeszcze mało? — zawołał z rozpaczą, — nu, niech ja zbiednieję, dam jeszcze pięćdziesiąt.

— Wezmę tylko trzy tysięcy.

— Panie inżynierze, opuść pan cokolwiek.

— Ani feniga.

Już byli blisko bramy. Pan Krausberg pochwycił klapę marynarki inżyniera i zawołał zmęczonym głosem:

— Nu, ja dam trzy tysiące, ale po próbie.

— Już była próba. Pan da mi przy umowie dwa tysiące, a gdy poinformuję dyrektora — resztę

— Po co dyrektora? On uchwyci moją tajemnicę i pojedzie, ucieknie do Niemców, to żaden interes... Pan inżynier wyuczy mego syna Mojżesza, czy on potrafi zrobić taki wosk?

— Jeśli umié ważyć, to potrafi.

— On to umié... Panie inżynierze to musi być bardzo prosty interes, kiedy idzie tylko o wagę, jaki on jest?

— Bardzo łatwy, tylko trzeba wiedziéć co, i ile zważyć.

— Nu, pan inżynier mądry i ostrożny, z panem można robić interesa. Ja dam trzy tysiące, a pan wyuczy mego syna.

— Kiedy?

— Po co czas tracić? My jutro zrobimy umowę, i jutro wyuczy pan mego syna.

XXVI.

Niespodziewana produkcya wosku pszczelnego i płynące stąd zyski podniosły wysoko znaczenie pana Krausberga.

Już od dawna obserwowali współwyznawcy tę nową gwiazdę, zjawiającą się w Drohobyczu, widzieli rosnący jéj blask przy „matce”, w sprawie szybu w Schodnicy, przy kupnie fabryki cerezyny, a teraz zajaśniała niemal oślepiająco w handlu nowym woskiem pszczelnym.

Poszły w niepamięć wszelkie wątpliwości, zawiści, gniewy i pretensye, bo on był nietylko bogaty, ale szczęśliwy; cokolwiek zaczął, do czego tylko przyłożył rękę, wszystko sie wiodło, wszystko przynosiło mu zyski, i majątek jego wzrastał nieustannie. Otoczono go szacunkiem zabobonnym, czémś pośredniém pomiędzy czcią a obawą, jaką zwykle się odczuwa wobec człowieka lub zjawiska niezwykłego. W różnych sprawach zasięgano jego rady, stosowano się do jego słów, uznawano jego sądy, a pan Krausberg czuł ten szacunek współwyznawców, wiedział, że nań zasłużył i umiarkowanie używał swéj władzy.

I wszyscy kapitaliści więksi i mniejsi, w Drohobyczu, Borysławiu, Schodnicy uznawali go, liczyli się z jego wpływami, pamiętali o jego radach, tylko jeden pan Floryański nietylko nie zbliżył się do niego, ale odrzucał wszelkie propozycye, jak zmowy przemysłowców, obniżenia płacy robotnikom, utworzenia syndykatu właścicieli kopalń nafty, zmowy w sprawie cen drzewa, beczek—same korzystne interesa, a jednak nawet one nie skłoniły go do zawiązania stosunków z kapitalistami miejscowymi.

I dotychczas pan Floryański zawsze był górą, mimo niechęci, podstępów, starań zwartéj masy mniéjszych przemysłowców, u których nienawiść rosła w miarę rozwoju Spółki kopalnianéj.

— Lejzor, kiedy my poradzimy temu Floryańskiemu? Ty pomyśl o tem.

— Ja myślę ciągle, przyjdzie czas na niego, — odpowiadał z udaną pewnością siebie.

Zajęty planami zgnębienia administratora, pojechał p. Krausberg, jak zwykle, na Wolankę do kopalni wosku, którą obecnie bardzo rozszerzał ze względu na fabrykę cerezyny.

— Panie Lejzor, — rzekł Efet po sprawdzeniu rachunków, — ja panu coś powiem...

— Co takiego Efet, ty mów.

— Panie Lejzor, goje się ruszają — mówił tonem tajemniczym.

— Ty Efet mów wyraźnie, jakie goje?

— Nu nasze, robotnicy w Borysławiu, na Wolance, w Schodnicy...

— Jak oni się ruszają? Ty gadaj.

— Oni chcą zrobić zmowę, abyśmy im płacili więcéj.

— Co to szkodzi? My im nie zapłacimy, znajdziemy sobie innych, czy to mało biednych gojów po wsiach?

— To nie koniec panie Lejzor... oni chcą szpitali, kasy, udziału w kopalni, oni chcą przymusić właścicieli do tych wydatków wszystkich i innych, oni chcą zrobić strejk i posłać deputacyę do Lwowa, a nawet do Wiednia samego.

— Efet, to jest rozbój, to bardzo brzydka rzecz—zawołał właściciel zgorszony — mnie opowiadali o takich paskudztwach zagraniczni kupcy, tam był wielki rejwach, gwałt, rozbój, kradzież...

— Ja to wiem, — jęknął Efet.

— Nasz goj jest za głupi na takie rzeczy, on nie wymyśliłby tego — zastanawiał się pan Krausberg.

— Oni nawet mówią, że będą bić naszych, wypędzą ich... oni mają siekiery, kosy, cepy, noże...

— To nie może być, my zawołamy policyę, żandarmeryę, wojsko, bo my płacimy podatki...

— Niech oni nas bronią, niech strzelają do nich... ale, panie Lejzor, ja się boję.

— Ty nie potrzebujesz się bać, tobie nic nie zrobią, oni poszliby do kryminału, na szubienicę za ciebie.

— Ale ja się boję.

— Ty nie bądź głupi, Efet, ty mów daléj, może ja znajdę jaką radę... Kiedy oni chcą to zrobić?

— Ja nie wiem, oni czekają...

— Nu Efet, teraz ja wiem, że to oni nie wymyślili, nasz goj chce zaraz wódki i zaraz krzyczy, jak oni czekają, to mają naczelnika i z nim możemy sobie poradzić. Ty nie wiesz kto?

— Ja nie wiem.

— A co ty więcéj słyszałeś?

— Oni sobie mówią, że u nas w Borysławiu musi być tak, jak w Schodnicy, a nawet lepiéj dla nich.

— Tak oni mówią? Efet, ja ci teraz powiem, czyja to robota, to zrobił sam Floryański, bo on antysemita i gorzéj...

Efet wytrzeszczył oczy jeszcze bardziéj, nie wierząc, aby taki wielki pan wdawał się z robotnikami.

— Efet, ty nie patrz na mnie jak wół,—zaśmiał się właściciel,— ty mówiłeś, że oni chcą większéj płacy, a im płaci dobrze Floryański. Oni chcą kasy, a gdzie mają kasę? u Floryańskiego. Oni chcą szpital, a gdzie jest szpital? u Floryańskiego. Oni nam grożą, a kto jest nasz największy wróg? Nu, Floryański. To jego robota. Jak

te goje się ruszą, to on już przepadł, on pójdzie do kryminału, bo on ich namówił.

Odetchnął uspokojony, uśmiechając się złośliwie. Po chwili rzekł:

— Ty Efet dowiedz się, kiedy oni się zbierają, a resztę my zrobimy.

— Dobrze, panie Lejzor, ale ja na noc będę jeździł do Drohobycza, ja się tu boję sam między gojami.

— Ty możesz jeździć, abyś swoje zrobił, — przyzwolił właściciel łaskawie, i zabierał się do odejścia, gdy wszedł Abrum.

— Co ty mi powiesz?

— Panie Lejzor, między robotnikami wielkie gadanie, oni chcą zrobić zmowę.

— Ja wiem,—odpowiedział spokojnie—ty mi powiedz, Abrum, kiedy oni chcą?

— Teraz będzie u nich święto, tak oni mówią, że trzeba się im zejść?

— A kiedy jest to święto?

— Za trzy dni.

— To dobrze, my mamy czas.

— Panie Lejzor, a jak oni napadną na nas?

— Wy nie potrzebujecie się bać, to my napadniemy na ich naczelnika... Efet, a ty wysyłaj wosk każdego dnia do fabryki, niech on nie będzie tu na składzie, oni mogą złakomić się na wosk.

Na giełdę pod apteką równocześnie z panem Krausbergiem przywieźli i inni wiadomość o ruchu robotników, jednak większość słuchała tylko p. Krausberga i czekała jego rady.

— Nam trzeba wysłać deputacyę do starosty, aby on zebrał żandarmów, — mówił do słuchaczy — potém depeszę wyślemy do namiestnika, i drugą do samego ministra do Wiednia, niech oni przyślą wojsko koleją.

Zaraz na miejscu wybrano trzech wysłanników do starosty i złożono sumę potrzebną na opłacenie depesz, których zredagowania podjął się młody pan Lindeman.

Następnie p. Krausberg z łatwością przekonał wszystkich, iż na czele tego ruchu robotniczego stoi pan Floryański, ale na razie trzeba milczéć o tém i czekać cierpliwie jego zdemaskowania na zgromadzeniu.

Drugiego dnia jak zwykle wyjechał pan Krausberg na Wolankę, mimo odradzań żony, przestraszonéj wieściami o rozruchach. Zaszedł do pierwszego z brzegu szybu, przypatrywał się jakiś czas robo-

cie, a widząc robotnika, dźwigającego z trudnością napełniony kubeł, rzekł:

— Piotrze, wy bardzo dobry robotnik i pracowity, ja takich lubię, i wy dostaniecie dzisiaj w południe kieliszek wódki—a zwracając się do dozorcy dodał: — Ty go zapisz i podaj Efetowi, on mu da wódkę.

Spojrzał na innych robotników, ciekawy wrażenia swych słów, ci jednak milczeli pracując spokojnie. Niezadowolony z tego zagadał do drugiego robotnika:

— Macieju, ja pamiętam, że wy ładowaliście pełne kubły wosku, a teraz także robicie dobrze, ja dam wam także kieliszek.

Robotnicy uśmiechnęli się, słysząc to przemówienie.

— Czego wy się śmiejecie? Ja przecież wam wszystko zapłaciłem, ile kto zarobił, tyle dostał. Czy nie tak?

— Ono to tak — mruknął któryś.

— To po co ten śmiech za moją sprawiedliwość? Nu powiédz— zwrócił się do najbliższego.

— Ja tak sobie myślę, dla czego to gospodarz teraz taki hojny?

— Co ty mówisz? Ja nie hojny, tylko sprawiedliwy, i kto pracuje, temu ja zawsze pomagam.

Przechodził szyb za szybem, szafując wódką dla starszych i poważniejszych.

— Efet, ty idź do Icka, niech on tobie da trzy kwarty wódki prostéj i taki kieliszek, aby ich było czterdzieści.

— Ja już idę.

— Ty zaczekaj, Efet; ty w południe rozdasz tę wódkę chłopom, niech oni się napiją.

— Oni wszyscy przybiegną, jak ja poznam komu dać?

— Każdy dozorca da karteczkę, ty tylko przeczytaj.

— Ja przeczytam.

Pan Krausberg około południa poszedł do Borysławia, zbliżywszy się spostrzegł gromadki ludzi, odczytujące coś na słupach, ścianach domów i budynków przydrożnych. Zaciekawiony przystanął przy najbliższéj grupie i czytał drukowaną odezwę, wzywającą wszystkich pracowników bez różnicy do zgromadzenia się pod figurą przydrożną. Słowa, jak zwykle w tego rodzaju wezwaniach, były napuszone i deklamacyjne.

Skończywszy uśmiechnął się ironicznie, wzruszył ramionami i chciał iść daléj, ale spostrzegł zbliżającego się p. Kernstejna, zatrzymał się i spytał:

— Ty Szloma to czytałeś?

— Ja czytałem.

— I co ty powiész?

— To sobie puste gadanie, ono nam nie zaszkodzi; oni pokrzyczą, pohałasują, a potém pójdą pić, to dobry interes dla szynkarzy.

— Szloma, ale kto to zrobił.

— Nu, nie Floryański.

— I ja to wiém, on za mądry, ale może to kto od niego?

— Ja nie wiém, może i od niego — odpowiedział p. Kernstein obojętnie.

— Szloma, powiedz mi ty, po co było robić taki wielki krzyk z tego?

— Nu Lejzor, jak chłopi się zbiorą do kupy, oni mogą gwałt zrobić.

— Niech oni sobie robią, aby tylko nie nam, bo my im nic nie winni.

— Lejzor, taki głupi chłop, on nie wié, kto mu winien, a kto nie winien?

— To prawda Szloma, on zrobi to, co mu każą, bo on nic nie rozumié.

XXVII.

W przeddzień nadchodzącego święta, co bogatsi żydzi z dziećmi i żonami wyjechali do Drohobycza, zatrwożeni mimo upewnień starosty, że spokój nie będzie zakłócony, a zapowiedziane zebranie robotników nie grozi żadném niebezpieczeństwem.

W Borysławiu i na Wolance zostali tylko biedni i żydzi robotnicy lepiarze i sitarze, którzy poczuwając się do koleżeństwa, nie obawiali się robotników chrześcian.

Po drogach i ulicach Borysławia i Wolanki snuli się liczni żandarmi, ubrani czysto, z elegancyą wojskową, w białych rękawiczkach, z powiewającemi pióropuszami na kapeluszach, z małym, szybkostrzelnym karabinem na ramieniu, spoglądając surowo i podejrzliwie na przechodzących robotników, którzy gromadzili się stopniowo około figury przydrożnéj pomiędzy Borysławiem a Wolanką.

Nie daleko figury stał widoczny po okrągłéj czapce z orzełkiem komisarz policyi, wysłany specyalnie na to zgromadzenie przez starostę drohobyckiego...

Robotnicy rozproszyli się w różnych kierunkach, szukając zwykłych swych zabaw po szynkach i karczmach.

W Drohobyczu po otrzymaniu wiadomości o przebiegu i zakończeniu zgromadzenia nastąpiła wśród żydów wielka radość i wesołość. Miejsce strachu i trwogi zajęła buta i wielka odwaga, furmanki były przepełnione wracającymi do Borysławia, którzy przez całą drogę żartowali i drwili z nieudanéj zmowy robotników.

Od radości, tylko nie tak głośnéj, nie była wolną i giełda, załatwiająca zresztą zwoje interesa zwykłym trybem. Pan Krausberg chodził zamyślony, wysłuchując drobnych szczegółów zebrania robotników.

— Lejzor co ty mówisz o robotnikach?

— Co ja mogę wiedziéć, to był dopiero początek.

— Taki sam będzie i koniec — zaśmiano się głośno.

— Koniec może być inny, ale on nie powinien nas złapać.

(D. c. n.) *Artur Gruszecki.*



Belgijska wyprawa antarktyczna.*

(OPOWIADANIE).

Gdy okolice bieguna północnego oddawna odwiedzane są przez liczne wyprawy naukowe, od czasu słynnych podróży dzielnego Ross'a nie mieliśmy ani jednéj bodaj wyprawy antarktycznéj z charakterem czysto naukowym. Stąd południowe kraje podbiegunowe w ogólnéj wiedzy o naszym globie przedstawiają tylko olbrzymią niewiadomą. Nietylko stosunki geograficzne tych okolic — w ścisłém wyrazu tego znaczeniu — prawie zupełnie są nieznane. Nieznaną jest geologia lądów i wysp już odkrytych; brak danych meteorologicznych, systematycznie zbieranych; niezmiernie szczupłe są wiadomości o faunie i florze, zamieszkujących te ziemie oraz morza, tym ziemiom przyległe; stosunki magnetyczne albo niepewne albo zupełnie niewiadome.

Luka ta rozszerzała się i pogłębiała w miarę tego, jak całość wiedzy o kuli ziemskiéj rosła i potężniała. Nauka coraz natarczywiéj zaczęła się domagać jéj zapełnienia.

---

*) W wyprawie téj brali udział i nasi ziomkowie. Redakcya „Ateneum" mniema, że opowiadanie o niéj, skreślone piórem p. A. Dobrowolskiego, który był jéj uczestnikiem, będzie z zajęciem odczytane.

To dążenie żywiołowe wiedzy objawiło się kilka lat temu, jako agitacya prawie jednocześnie w trzech państwach: Anglii, Belgii i Niemczech podjęta, w celu zorganizowania wyprawy naukowéj pod biegun południowy.

Pierwsza wyruszyła „Belgijska wyprawa antarktyczna”.

I.

Z Ostendy do Punta-Arenas.

W połowie sierpnia 1897 r. „Belgika” opuściła Europę.

Podczas całéj wyprawy statek ten dziwne jakieś, dwulicowe miał szczęście: szczęście do wszelkiego rodzaju „wypadków” oraz szczęście do dziwnie szczęśliwego wyślizgiwania się z takich „wypadków”. Dwa razy wpadliśmy na skały podwodne, raz zaczepiliśmy się o nie; raz znowu olbrzymia góra lodowa uderzyła na samo czoło okrętu, zrywając tylko ornamenty oraz łamiąc drąg masztu przedniego, nie mówiąc już o burzach, z których podczas jednéj fala zmiotła nam Wincke'go, a podczas drugiéj zgubiliśmy kotwicę z łańcuchem.

Szczególne to szczęście nawiedziło okręt jeszcze w Europie: wędrując z Norwegii do Antwerpii, wpadł on na mieliznę; w drodze z Antwerpii do Ostendy stał się wypadek z maszyną (rura jakaś pękła); wreszcie w saméj Ostendzie dwóch majtków zażądało uwolnienia ze służby, i trzeba było szukać innych.

Okręt nasz był „mieszany”: żaglowiec trójmasztowy ze śrubą, wprawianą w ruch za pomocą niedużéj, dosyć słabéj maszyny. Okręty tego typu są najwłaściwsze w podróżach do krain lodowych. W lodach, wśród których ciągle trzeba lawirować, często nawet cofać się, nawigacya żaglowa nadzwyczaj jest utrudniona i maszyna jest konieczna. Z drugiéj strony jednak okręt nie może być wyłącznie parowcem, gdyż na tak długą podróż niepodobna byłoby zabrać dostatecznéj ilości węgla. Prócz tego, maszyna podczas wyprawy spełnia inne jeszcze funkcye: wprawia ona w ruch maszynę do sondowania oraz przyrząd, służący do połowu fauny morskiéj.

„Belgika” nie była statkiem, umyślnie dla celów i warunków wyprawy zbudowanym: na zbytki, na jakie pozwalał sobie Nansen, myśmy pozwolić sobie nie mogli, wskutek ograniczoności środków, jakiemiśmy rozporządzali. Był to okręt, używany przedtém do połowu fok.

Wyjeżdżając z Ostendy, statek liczył dziesięciu majtków, z tych siedmiu fachowców, a trzech uczniów, — oraz trzech maszynistów. Palacza nie było; od czasu do czasu czynność jego pełnił jeden z uczniów, zazwyczaj zaś maszyniści sami musieli rozpalać i podtrzymywać ogień.

Żywność wzięliśmy z sobą na dwa lata; z wielką biédą przeciągnęłoby się może do trzech. Napojów — wódek i win, (wśród których nie brakło i szampana), zapas był dość skromny.

Wyruszyliśmy z portu wczesnym rankiem. Ciemne łachmany chmur zalegały niebo. Drobniuteńka dżdża, niewidzialna, tylko odczuwana, słabo zwilżała pokład. Na nadbrzeżu kupka publiczności żegnała nas kapeluszami i chustkami...

Roboty przedwstępne, dotyczące strony technicznéj poszukiwań, jakie się czynić zamierzało, rozpoczęte w Antwerpii, w chwili wyjazdu z Ostendy dalekie były jeszcze do ukończenia i ciągnęły się przez całą podróż Atlantykiem. Tego rodzaju przygotowania nie załatwiają się ani tak łatwo ani tak szybko, jakby się to zdawać mogło; przeciwnie, wymagają one, prócz stosownego obmyślenia i dokładnego planu, długiéj i żmudnéj pracy fizycznéj. Urządzenie pracowni, tak zoologicznéj i botanicznéj, jak i geologicznéj, oceanograficznéj i meteorologicznéj, dwom wymaganiom musiało czynić zadość: z jednéj strony należało wobec szczupłości pracowni jaknajwięcéj materyału technicznego: przyrządów, butelek itp. w możliwie najmniejszéj umieścić przestrzeni; z drugiéj — trzeba było ten materyał umiejętnie uklasyfikować, ażeby wszystko mieć zawsze pod ręką. Przez całe cztery miesiące heblowanie, struganie, piłowanie, świdrowanie, pilnikowanie — były bodaj jedynemi rodzajami pracy naukowéj, praktykowanéj na statku.

Zrazu pogoda nam wcale nie dopisywała. Silny wiatr południowy wraz z rozhukanem morzem w wysokim stopniu utrudniał nam żeglugę. Zwłaszcza w zatoce biskajskiej, znanéj ze swéj burzliwości, ciężką mieliśmy przeprawę: okręt kołysał się, jak szalony, maszyna z trudnością przezwyciężała silny wiatr i napór fal, posuwaliśmy się niezmiernie wolno. Dopiero u brzegów Portugalii żywioły nam się uśmiechnęły. Wiatr osłabł i przybrał przyjaźniejszy kierunek; fale ucichły, niebo się rozjaśniło, a jego czysty lazur rywalizował z błękitem pomarszczonéj powierzchni oceanu.

D. 11 września po południu w lekkiéj mgle widnokręgu, dostrzegliśmy orszak archipelagu Madery, a ku wieczorowi ujrzeliśmy przed sobą dumne skały bazaltowe głównéj jego wyspy i zawinęliśmy do portu miasta Funchal. Zabawiliśmy tu dwa dni. Obszer-

niejszą korespondencyę z Funchal posłałem wtedy do „Głosu" a tu zaznaczę tylko, że na wszystkich, co tu byli poraz pierwszy — a takich była zawsze większość — Madera bardzo przyjemne zrobiła wrażenie. Powietrze jest tu tak miłe i świeże, roślinność tak bujna i piękna, krajobraz tak uroczy, że, gdyby nie nędza ludu tutejszego, wyspę tę możnaby było nazywać krainą szczęścia. Jeżelibyście spytali któregokolwiek z naszych majtków, który z krajów, widzianych podczas dwuletniéj podróży, podobał mu się najbardziéj, — bez wahania odpowiedziałby wam: Madera.

Z wód Madery statek wkrótce dostał się do pasa międzyzwrotnikowego. Dla każdego, kto większych przejażdżek morzem przedtém nie odbywał, a komu piękno natury nie było obojętne, podróż w tych regionach Atlantyku musiała być źródłem wielu przyjemnych wzruszeń. Cuda, stwarzane przez wschód i zachód słońca; niezmierzone bogactwo barw, zdobiących niebo i morze przy brzasku i zmierzchu; odbijanie się światła księżycowego od rozkołysanych fal; pyszne zjawisko fosforescencyi, które w tych okolicach pod najrozmaitszemi, jedna od drugich piękniejszemi postaciami się objawia, — cała ta symfonia światła i barw musiała zachwycać każdego, kto obok umysłu miał jeszcze odrobinę duszy.

Oprócz obserwacyi meteorologicznych, uskuteczniauych co cztery godziny, spostrzeżeń nad barwą oceanu, czynionych podług specyalnie dla takich badań obmyślonéj skali Forel'a, oraz wiecznego piłowania, heblowania i t. d., żadnych innych poszukiwań naukowych podówczas się nie robiło.

D. 7-go października przekroczyliśmy równik. Tego dnia mieliśmy wielkie święto tradycyjne, obfite w sceny wesołe: chrzest nowicyuszów. Odbył się on podług wszelkich, tradycyą uświęconych reguł. Każdy z nowochrzczeńców otrzymał metrykę chrztu, podpisaną przez władcę równika, ministra passatów oraz sekretarza obrzędu.

Po dwóch tygodniach błękit morza, dotąd czysty i ciemny, począł blednąć i mętnieć, przechodząc coraz wyraźniéj ku barwie zielonéj. Zjawisko to oznacza zazwyczaj bliskość ziemi. W saméj rzeczy, wkrótce ujrzeliśmy brzegi Brazylii, a 27 października zarzuciliśmy już kotwicę w obszernym, doskonale osłoniętym, acz cuchnącym porcie Rio de Janeiro.

Na statku w porcie zaszły pewne zmiany. P. Rakowica, zoolog wyprawy, któremu morska podróż wcale nie służyła, silnie wycieńczony, a nawet dość poważnie chory, musiał opuścić na pewien czas statek, by na lądzie odzyskać siły. Miał wrócić na statek dopiero w Punta Arenas (Chili, zatoka Magellańska). Za to przybył z New-

Yorku nowy członek, dr. Fryderyk Cook, drogą telegraficzną, w ostatniéj chwili, zaproszony na lekarza ekspedycyi, dzielny *yankee*, doskonały specyalista, co uczestniczył już był przedtém w wyprawach do Grenlandyi, a którego doświadczenie, wiedza i pomysłowość olbrzymie naszéj wyprawie w następstwie oddały korzyści.

Przez pierwsze dwa dni zwiedzałem miasto w towarzystwie kilku współuczestników wyprawy. Jest w niém wiele rzeczy pięknych: aleja palm, park publiczny, widok ze wzgórz, opasujących miasto, są to przykłady rzadkiéj piękności. Miasto to jednak posiada jedną przywarę, wspólną, zdaje się, wszystkim miastom pochodzenia portugalskiego: jest bardzo brudne. Jeden z mieszkańców powiadał mi, że brudy — to przyczyna żółtéj febry, klęski tego miasta; powoływał się na przykład miasta Santos, gdzie od chwili wprowadzenia kanalizacyi klęska ta miała ustąpić.

W Rio spotkałem Polaków, którzy swym rodakom, jadącym „do bieguna", t. j. mnie i Arctowskiemu, serdeczne urządzili przyjęcie. Polacy, zamieszkujący Rio-de-Janeiro, są zorganizowani. Towarzystwo ich posiada własny lokal, bibliotekę i czytelnię, w któréj znalazłem sporo pism, sprowadzanych z kraju. Bardzo przyjemną niespodziankę zrobiło mi spotkanie się z p. Stanisławem Kłobukowskim, który, skończywszy misyę, włożoną nań przez lwowskie Towarzystwo Geograficzne, właśnie miał wracać do kraju.

Całe pięć dni przestaliśmy w Rio. Musieliśmy tu uskutecznić niektóre zakupy dodatkowe, sprawdzić stan chronometrów i t. p.

Opuściliśmy port 3 listopada. Kolonia belgijska towarzyszyła nam aż do samego wyjścia z ogromnéj zatoki, tworzącego prawdziwą bramę skalistą.

W drodze do Montevideo zatrzymani byliśmy przez pampery [1]), z któremi, aczkolwiek wystąpiły one w osłabionéj swéj postaci, maszyna nasza walczyć nie mogła. Musieliśmy tedy zarzucić kotwicę tuż naprzeciwko latarni morskiéj przylądka Polono i stać całą dobę, czekając na zmianę wiatru. Kilku z nas, — w téj liczbie i ja, — urządziło wycieczkę na ląd. Oryginalne, smutno-wesołe wybrzeże piaszczyste, któremu wichry postać falistą nadały, zamieszkane jest przez garstkę hiszpanów-pilotów. Kontury tych brudno-żółtych piasków, najwyżéj na 30 metrów nad poziom morza wystających, przypominają zupełnie owe okrągławe wały i waliki, w jakie się tak często fale oceanu układają.

---

[1]) *Pampery* — burzliwe wiatry południowo-zachodnie, wiejące wzdłuż wybrzeża wschodniego Ameryki południowej, na przestrzeni od S-ta Catarina do Montevideo mniej więcej.

12 listopada przybyliśmy do Montevideo, przywitani depeszami i błyskawicami, a stąd po dwóch dniach wyruszyliśmy do Punta Arenas. Po trzech tygodniach żeglugi byliśmy już na miejscu.

W Punta-Arenas zastaliśmy czekającego tu na nas p. Rakowicę. Trudno go było poznać: tak utył i tak zdrowéj cery nabrał. W porcie tego małego, ale mającego wielką przed sobą przyszłość miasteczka, przeszło tydzień zabawić musieliśmy; trzeba było bowiem zabrać sporo węgla cegiełkowego na drogę.

Tu zaskoczyły nas nieprzewidziane i wcale nieprzyjemne wypadki. Kucharz nasz, Szwed, wzięty z Montevideo, który zastąpił był dawnego kucharza, Francuza, w drodze do Punta Arenas ciężko zapadł na piersi. Stan jego zdrowia tak mało był obiecujący, że o dalszéj jego podróży z nami mowy być nie mogło. Trzeba było go wysadzić w Punta Arenas. Zastępcy zaś jego w mieście znaleźć nie mogliśmy. Zostalibyśmy więc bez kucharza, gdyby czynnością tą nie obarczył się kamerdyner Michotte, jakkolwiek specyalistą w téj sztuce nie był.

Po tym wypadku nastąpił inny, daleko ważniejszy: trzech majtków-fachowców oraz jeden maszynista ustąpiło ze statku...

Tak uszczupleni w liczbie, z dwoma maszynistami, z siedmioma majtkami, wśród których czterech tylko znało swój fach, opuściliśmy Punta Arenas i weszliśmy w kanały Ziemi Ognistéj.

II.

Z Punta Arenas do wyspy Stanów.

Najbliższym naszym celem było przedostanie się do kanału Beagle'a, przecinającego południową część Ziemi Ognistéj w kierunku wschodnio-zachodnim, gdzie rząd argentyński umieścił dla swéj marynarki duży skład węgla, z którego pozwolił nam korzystać w ilości, jaka nam będzie potrzebna.

Aby dojść do tego celu, trzeba było wejść w sieć kanalików, tworzonych przez wyspy i wysepki, na które się rozbija północno-zachodnia część korpusu Ziemi Ognistéj.

Nie chcąc się narażać na niebezpieczeństwa żeglugi nocnéj w wąskich cieśninach o brzegach, najeżonych skałami, zarzucaliśmy na noc kotwicę w téj lub owéj zatoce, których tam nie brak. Korzystaliśmy z takich chwil odpoczynku, urządzając wycieczki. Pan Rakowica zbierał rośliny, Arctowski — „kamienie”.

Pierwszy nocleg urządziliśmy — jeśli się nie mylę — w zatoce Nadziei. Otoczona zewsząd z wyjątkiem wąskiego przejścia przez wysokie góry, strome, obficie umajone gęstwiną lasów, od których ostro odbijają śnieżne szczyty, zatoka ta, pomimo drobnego deszczu, co padał nieustannie, miała urok dzikiego piękna. Zdawało się, jak gdyby człowiek nigdy przedtem nie zakłócał jéj grobowéj ciszy. A jednak znalezliśmy ślady jego bytności: opuszczony szałas indyanina oraz nazwiska marynarzy angielskich i norweskich, wyryte na drzewach.

Druga zatoka, w któréj zatrzymaliśmy się podówczas na noc, nie wiem, czy nosi jaką nazwę. Po obu bokach ma się skały, stromo spadające do morza, gęsto poprzerzynane białemi wężami potoków, z głuchym szmerem staczających się do zatoki. W głębi jéj poza morenami, co dwiema iglicami z obydwóch boków wrzynają się w ciche wody, olbrzymi lodowiec spuszcza swe białe, lśniące łono aż pod poziom morza. Kawały lodu nieustannie odrywają się od ojca-lodowca, różnéj wielkości, najrozmaitszych postaci, przepełniają mały obszar, zamknięty przez iglice moren, a przez wązką bramę pomiędzy temi ostatniemi rozsypują się po całéj zatoce. Były to pierwsze „lody”, przez nas widziane: lody w miniaturze. Pomiędzy témi brylskami, bryłami i bryłkami lodu pływały liczne gromady ptaków, wśród których można było dostrzedz piękne łabędzie białe. Kilku z nas urządziło polowanie na ptaki łódką, bez broni: długą gonitwą staraliśmy się doprowadzić ptaka do wyczerpania sił; dopiąwszy tego, uderzeniem wiosła ogłuszaliśmy go i pakowaliśmy do łódki. Obfita zdobycz była nagrodą męczącego sportu.

Weszliśmy do kanału Beagle'a od zachodu. Wązka ta cieśnina jest dla żeglarzy dosyć niebezpieczna. Burze szaleją tu bardzo często; na morzu grożą rafy, a na brzegach skały.

Jechaliśmy do zatoki Uszuwaia, przypuszczając, że to tam właśnie znajduje się ów skład węgla. Przybywszy jednak na miejsce, dowiedzieliśmy się, że popełniliśmy omyłkę, i skład węgla znajdował się w zatoce Lapataia, na zachód od nas; minęliśmy więc już go, i trzeba było się wracać.

W Uszuwaii zatrzymaliśmy się na noc. Ponieważ przyjechaliśmy tu przed południem, mieliśmy więc czas na urządzenie wycieczki.

Uszuwaia jest małém ogniskiem przemysłu drzewnego, kolonią karną i misyą. Należy, zarówno jak i Lapataia, do rzeczy-pospolitéj argentyńskiéj. Misyonarzem był tu p. Bridges, anglik, człowiek niezmiernie ruchliwy i energiczny, zmarły w roku zeszłym.

Smutny los mają biedne plemiona indyjskie, rozproszone po Ziemi Ognistéj; strzelane za kradzież owiec, dziesiątkowane przez choroby, sprowadzone przez europejczyków, zwłaszcza przez suchoty. A najsmutniejszy bodaj obraz przedstawiają indyanie, przez misye „cywilizowani". Piękne kształty atletyczne okryte łachmanami kroju europejskiego; charakter spaczony; wolny syn lasów zamieniony na zahukanego niewolnika; w wązkich, nieco skośnych oczach, w których często dostrzegałem błyski inteligencyi wrodzonéj, — widać przygnębienie, ociężałość, ospałą rezygnacyę. „Umierają na wyścigi" mówił mi jeden mieszkaniec o tęgich dzieciakach czerwonoskórych, wziętych przez misyę na wychowanie.

Zwiedziłem kolonię karną. Pośród skazańców zwrócił mą uwagę jeden młodzieniec, swem dziwnem zachowaniem się oraz szlachetnością rysów przedwcześnie zwiędłéj twarzy. Dostał on na wygnaniu lekkiego pomieszania zmysłów, w którem przeważało zdziecinnienie. Na pytanie moje, dotyczące jego przeszłości, doznawał niepokoju: spuszczając oczy, przebąkiwał coś niezrozumiałego o kollegium i o swem „dobrem wychowaniu". Od towarzyszów jego niedoli dowiedziałem się, że był to syn jednego bardzo bogatego i bardzo wysokie stanowisko zajmującego urzędnika argentyńskiego, Hiszpana, że życie spędzał na ustawicznéj hulaczce i grze hazardownéj, że wreszcie, zmuszony będąc do spłacenia długu, którego ojciec spłacić za niego nie chciał, ukradł komuś niewielką sumę pieniędzy i został za to zesłany tutaj, na żądanie rodziców, chcących usunąć hańbę z rodziny. Miał on tu przyjaciela, dziecię indyjskie z misyi, do którego przywiązał się całą duszą i które otaczał bardzo czułą opieką. Dziecko to zmarło na dzień przed naszym przyjazdem na suchoty. Był to wielki cios dla biednego waryata; podobno bardzo rozpaczał, szlochał przy jego łóżku... Prosił nas, mnie i mego towarzysza, abyśmy poszli obejrzeć trupa przyjaciela, „jego kochanego dziecka".

Weszliśmy do szopy drewnianéj; stęchły zapach wnętrza nieprzyjemnie nas uderzył. Na łożu z desek, bez siennika, bez prześcieradła, leżał opuszczony trup dziecięcia...

„Taki był ładny, taki był ładny — a teraz już go nie ma!" powtarzał waryat z boleścią...

Nazajutrz wyruszyliśmy do Lapataii i wkrótce stanęliśmy w jéj zatoce, silnie wrzynającéj się w ląd. Oprócz składu węgla kamiennego jest tu pokaźny zakład przemysłowy, w którym olbrzymie ilości drzewa rościnane są na deski za pomocą machiny parowéj. Zapuściliśmy kotwicę w pobliżu składu węgla i rozpoczęliśmy

zaraz pracę naładowywania statku. Było roboty na ośm dni, roboty niezmiernie natężonéj i ciężkiéj: trzeba się było spieszyć, aby możliwie najwcześniéj módz przybyć do lodów. Gdyby wartość węgla, na statek nasz zabranego, mierzyć ilością pracy, skrystalizowanéj w każdym jego kawałku, potu, który weń wsiąknął, przez cały czas naszéj wyprawy, przy jego naładowywaniu, przenoszeniu i przerzucaniu z jednego boku okrętu na drugi, kto wié, czyby nie okazał się wart równoważnéj ilości złota... Pracę kilkudniową przerwał dzień Bożego Narodzenia. Święto staraliśmy się obchodzić ze świetnością, na jaką nas tylko stać było. W piękny wieczór letni w kajucie, wytapetowanéj różnobarwnemi flagami, z tradycyjną choinką pośrodku, przywiezioną z pobliskiego lasu, za dwoma wielkimi stołami, z których w jeden belgijska, w drugi norweska chorągiewka była zatknięta, zebraliśmy się wszyscy do „wilii”, by wypić wspólnie szklanicę wina za zdrowie wszystkich i za pomyślność wyprawy. Nazajutrz wszyscy wyruszyliśmy na ląd, na wycieczkę w głąb wybrzeża, jedni do pięknych lasów dziewiczych, inni na urocze jeziora, licznie w téj miejscowości rozsiane.

Gdy robota z węglem została ukończona, statek skierował się ku wschodowi, by wyjść z kanału i dostać się na wyspę Stanów. Podczas téj podróży mieliśmy przygodę, bardzo niebezpieczną i bardzo nieprzyjemną. W samą wigilię Nowego roku 1898 w pobliżu Uszuwaii, okręt wpadł na rafy. Przestaliśmy na nich całą noc i cały prawie dzień następny. Maszyna wyciągnąć statku nie była w stanie. Co chwila słyszeć się dawały złowrogie uderzenia statku o skały podwodne, spowodowane przez falowanie morza. Przez 24 godzin napróżno wytężaliśmy siły, napróżno sondowaliśmy dno, napróżno warczała śruba okrętowa, napróżno pozbawiliśmy się znacznéj ilości węgla, chcąc ulżyć statkowi. Przybyła na pomoc załoga angielska małego żaglowca, stojącego w Harberlon-Harbour, przybyli i indyanie z misyi: nic jednak pomódz nam nie mogli.

Kapitan okręciku, co przybył ze swymi majtkami, stary marynarz, znający dobrze Beagle, machnął ręką... Po południu trójkolorowa flaga Belgii pojawiła się na tylnym maszcie: był to znak, że okręt stracony...

Nad wieczorem jednak silny przypływ podniósł statek. Maszyna targnęła się całą siłą pary—i statek został uwolniony z zębów skalistych. Że pomimo ciągłego uderzania okrętu o skałę ten ostatni nie poniósł żadnéj szkody, zawdzięczać to można było olbrzymiéj ilości wodorostów, co się na rafach skupiły i spełniając rolę poduszki, okręt od zagłady uchroniły.

Po téj przygodzie zawitaliśmy na noc do zatoki Harberlon-Harbour, a nazajutrz popłynęliśmy szybko do wyspy Stanów *(States Island)*, leżącéj tuż przy południowo-wschodnim krańcu Ziemi Ognistéj, niedaleko od groźnego przylądku Horn. Na wyspie téj jest stacya ratunkowa oraz ciężkie roboty dla kryminalistów argentyńskich.

Wejście do portu wyspy Stanów dziwne a potężne sprawia wrażenie: piętrzą się masy skaliste, nagie, poryte i połupane, prostopadle spadające do pieniącego się u ich stóp morza, wydają się jakimiś potworami skamieniałemi, broniącemi wejścia do zatoki.

Była to ostatnia stacya nasza, gdzieśmy widzieli ludzi... Po wysłaniu ostatnich listów i telegramów, po napełnieniu wodozbiorów okrętowych, pożegnaliśmy ten ostatni przytułek rodzaju ludzkiego i skierowaliśmy statek na południe, do Antarktyku.

III.

Z wyspy Stanów do lodów Antarktyku.

Wyjeżdżając z wyspy Stanów, wyprawa miała plan następujący:

Z powodu szczupłéj ilości ludzi miano jechać do Melbourna, a po drodze, korzystając z letniéj pory, urządzić małą wycieczkę w lody. W Melbournie mieliśmy się postarać o kucharza oraz o zwiększenie liczby majtków i zapasów. Na przyszłą wiosnę dopiéro urządzilibyśmy byli właściwą wyprawę do krajów podbiegunowych.

Powiadają jednak, że chłop strzela, a Bóg kule nosi. Warunki się tak nam złożyły, że owa „mała wycieczka”, po drodze, w lody trwać miała czternaście miesięcy....

Pierwsze lody spotkaliśmy jeszcze daleko przed wyspami New Shetland. Z początku rozsypane tu i tam, ruchome góry lodowe poczęły się mnożyć w miarę tego, jak posuwaliśmy się ku południowi aż wkrótce otoczyła nas plejada *icebergów* [1]). Bardzo często statek przejeżdżać musiał tuż obok tych olbrzymów; spotkanie z którymkolwiek z nich byłoby bardzo niebezpiecznie; to téż stojący na war-

---

[1]) Posługuję się tu terminem angielskim (używanym zresztą i w języku francuzkim), w braku odpowiedniego terminu jednowyrazowego, w języku naszym.

cie nie mieli chwili odpoczynku, zmuszeni — zwłaszcza podczas żeglugi nocnéj — do ciągłego wytężania uwagi.

Odtąd tłumy icebergów towarzyszyły nam stale.

Te potężne masy lodu rzeczywiście imponują swym ogromem; a pamiętać należy, że widzi się zaledwie małą część, czubek olbrzyma, z wody wystający, że cały korpus, rozmiarami swemi o wiele razy przewyższający część nadwodną, schowany jest w morzu. Nigdy jednak, pomimo ciągłego obcowania z lodami, nie udało nam się zobaczyć owych fantastycznie wielkich gór wędrownych, mierzących się pono na mile, które pewne okręty płynące w pobliżu Antarktyku miały oglądać. Nie znaczy to, naturalnie, aby opowieści te były wymysłem; choć z drugiéj strony zauważyć należy, że oko ludzkie bardzo często jest daleko większe od rzeczy, na które się patrzy...

Icebergi są to synowie ziemi. Rodzą się z lodów, pokrywających lądy i wyspy podbiegunowe. Zwiedzając ziemie antarktyczne, mieliśmy na każdym kroku sposobność przyjrzenia się zblizka wszystkim stadyom ich tworzenia się, polegającym na powolném wyodrębnianiu i stopniowem odczepianiu się od ogólnéj masy lodowców, spuszczających się z brzegów do morza. Tu potężne szczeliny w lodowcu zaledwie zarysowują kontur mającego się narodzić olbrzyma; ówdzie góra lodowa, prawie zupełnie już wykończona, trzyma się jednak jeszcze mocno ziemi; gdzieindziéj wreszcie potężny iceberg, zupełnie już wyodrębniony, zawisł nad otchłanią, zaczepiony tylko u podstawy, i lada chwila gotów jest stoczyć się do morza. Tego jednak końcowego stadyum, gdy iceberg, uwolniony z więzów, zlatuje w przepaść morską, widywać nam się nie udało. Musi to być scena bardzo efektowna, o ile sądzić można z opisów podróżników w okolicach bieguna północnego, którzy zjawisko to na własne oczy oglądali.

Postać icebergów jest bardzo różnorodna i fantastyczna; pewne typy jednak przeważają. Najczęściéj spotykaną jest tu forma tafli: są to jak gdyby budynki olbrzymie z płaskim dachem. Zdaje mi się, że jest to postać pierwotna, cechująca icebergi młode; zaś inne formy, jak owe zamki z basztami, lub olbrzymie grzyby pływające, właściwe mi się być zdają starszym już górom lodowym.

Bardzo często prążkowanie, delikatne względnie do masy icebergu z dość regularnym deseniem, zdobiące jego ściany, zwraca uwagę widza. Podobne prążki równoległe dojrzeć można często już na lodowcach, z których się rodzą ruchome góry lodu. Jeżeli nie zawsze, to przynajmniéj w niektórych wypadkach prążkowanie to

przypisać należy bryłkom śniegu, co staczając się po pochyłości lodowca, tworzą na ciele jego bruzdy coraz głębsze.

Mury pałaców i zamków lodowych prawie powszechnie poprzerzynane są grotami. Te ostatnie albo są słabo rozwinięte, w postaci jam o sklepieniu wypukłem, płyciéj lub głębiéj wrzynających się w ścianę lodową, albo téż przebijają iceberg na wylot, albo wreszcie rozgałęziają w jego wnętrzu, tworząc cały system lochów. Czasami działanie ustawiczne fal wyrębuje w tych piwnicach kolumny, tworzące wspaniałe portyki, o postaciach najfantastyczniejszych, o jakich nie śniło się architektom. W te tajemnicze labirynty rzucają się z szumem bałwany, głuchym jękiem napełniając ich otchłanie. Światło dzienne daje grotom, zarówno jak wszelkim zagłębieniom i szczelinom w lodzie, piękne zabarwienie błękitne. Czasami zwłaszcza przy zachodzie słońca — cały iceberg zabarwia się na niebiesko.

Nieustanne działanie wody powoli ale ciągle uszczupla ilość materyi i stopniowo zmienia postać płynących lodów. Skutek bezpośredniego naporu fal zarysowuje się w miejscu, gdzie widzialna część iceberga graniczy z poziomem morza, jako potężna bruzda pozioma, coraz bardziéj się pogłębiająca. Wraz ze zmianą formy i nierównomiernym ubytkiem materyi zmienia się i punkt ciężkości bryły: równowaga zostaje zachwianą; iceberg przybiera inne położenie; pewna jego część, dotychczas moknąca w morzu, wydobywa się na wierzch, inne za to, wysterczające aż dotąd, chowają się pod poziom wody. Bruzda pozioma już nie znajduje się w płaszczyznie powierzchni morza, i tworzy się inna, nowa. Na starych olbrzymach, co już przez wiele przeszły kolei, można czasami dostrzedz cały szereg takich bruzd dawnych, piętrzących się jedna nad drugą. Czasami ściana lub nawet dach gmachu przedstawia zniszczoną przez długie moczenie się w wodzie, silnie podziurawioną powierzchnię żużlowatą: w tym wypadku dawne dno iceberga wydobyło się na wierzch.

Wyczerpany długoletnią walką z żywiołami, iceberg umiera w końcu. Śmierć jego jest zjawiskiem niezmiernie efektownem. Wynędzniały starzec, z ciałem oberwanem, podziurawionem, poszczerbionem, z hukiem gromów rozpada się na kawałki; przez kilka sekund wszystkie jego członki — drgają konwulsyjnie; po chwili z olbrzyma pozostaje drobiazg, rozpraszający się po morzu, ginący w ogólnéj masie drobnego lodu.

D. 21 stycznia i dnia następnego zdarzyły nam się dwa wypadki, z których drugi sprawił nam wielką przykrość.

Pierwszego dnia, przed południem, statek wpadł w półkole raf, zaznaczających swą obecność półkolem szalonéj piany. Uderzenie okrętu wypłoszyło wszystkich na pokład. Na morzu panowała gęsta mgła, a naokoło snuły się gromady icebergów... Po półgodzinnéj pracy maszyna zdołała wycofać nas z niebezpiecznego położenia.

Dnia następnego przenoszono węgiel z jednego boku na drugi, w celu przyprowadzenia statku do normalnego stanu równowagi. Po południu zerwała się silna burza; wichura była szalona; morze potworne. Ogromne bałwany rzucały się na pokład, zalewając go wodą. Nieszczęściem dla nas, małe kawałki i drobiny węgla, pozostałe na pokładzie, pozapychały dziury w bokach międzymościa, dające zazwyczaj ujście nazewnątrz wodzie, jaka się na pokład nabiera. Wkrótce pokład, otrzymując jeden *paquet de mer* za drugim, tak się zalał, że trzeba było brnąć w wodzie po kolana. Majtkowie, będący na warcie, rzucili się do oczyszczania dziur z węgla. Jeden z nich Wincke, dwudziestoletni chłopiec, pochodzenia norweskiego, zniecierpliwiony próżnemi wysiłkami w celu odetkania jednéj dziury, wskoczył na brzeg okrętu, by spróbować dokonać z zewnątrz tego, co mu się nie udawało od strony wewnętrznéj statku. W téj chwili olbrzymia fala przypuściła szturm do okrętu i zmiotła Wincke'ego. Skostniał biedny chłopiec w zimnéj wodzie Antarktyku; miał jeszcze jednak tyle przytomności, że uczepił się ciągnącéj się z tyłu okrętu liny od *logh'u*, przyrządu, mierzącego szybkość statku. Próżne jednak były zabiegi około jego uratowania. O spuszczeniu łódki na tak wzburzone morze mowy być nie mogło. Darcmne było bohaterskie poświęcenie p. Lecointe'a, podkomendanta wyprawy, co opasawszy się liną, wskoczył do wody: przyciągnął on topielca, trzymał już zsiniałego trupa w swych objęciach; lecz w téj chwili okręt targnął się silnie, Wincke wyrwał się z objęć i popłynął z falami Antarktyku.

Wypadek ten znam tylko z opowiadania towarzyszy; gdy bowiem zewnątrz odgrywała ta straszna scena, ja najspokojniéj spałem w kajucie.

Nazajutrz na szczycie głównego masztu przez cały dzień powiewała flaga norweska: ostatni honor, oddany Wincke'mu...

Pod koniec stycznia dostaliśmy się do regionu ziem Palmersa i Grahama. Zakątek, któryśmy zwiedzili i zbadali z możliwą dokładnością, okazał się okolicą zupełnie nieznaną. Mapa, odpowiadająca mniéj więcéj długości i szerokości geograficznéj téj okolicy, była zupełnie fałszywa i nie mogła nam służyć do jakiego takiego oryen-

towania się. Gdym porównywał póżniéj tę mapę z mapą, nakreśloną przez p. Lecointe'a na zasadzie jego własnych zdjęć, pomiędzy jedną a drugą żadnego nie mogłem znaleźć podobieństwa.

Weszliśmy do cieśniny, nazwanéj późniéj (prowizorycznie) kanałem Belgiki. Rozumie się, dopiéro potém dowiedzieliśmy się, że to był kanał: na mapie admiralicyi angielskiéj wcale go nie było. Pracowaliśmy w nim w przeciągu całego miesiąca, z bardzo zadowalniającemi wynikami.

Najważniejszém dziełem téj pracy, zdejmowaniem pozycyi w celu sporządzania możliwie dokładnéj mapy — zajął się p. Lecointe. Miał on wszystko ku temu, aby z zadania swego świetnie się wywiązać: dostateczną ilość wspaniałych przyrządów, doskonałe wykształcenie fachowe i energię, niezbędną do sumiennego i wytrwałego prowadzenia podobnéj pracy, niezmiernie żmudnéj, uciążliwéj. Wyspy, przez nas odkrywane, nazywaliśmy wprost cyfrowo, w porządku chronologicznym ich odkrycia: „Wyspa Pierwszego Wylądodowania", „Wyspa Drugiego Wylądowania" i t. d. Dużą stosunkowo wyspę, znajdującą się przy wyjściu z kanału od strony zachodniéj, nazwano wyspą Wincke'go, pragnąc uwiecznić imię zmarłego towarzysza. Lądowi nowemu dano późniéj (po śmierci p. Danco) (tymczasową) „Ziemi Danco"

Równolegle z pracami czysto geograficznéj natury szły energiczne poszukiwania z innych dziedzin wiedzy. P. Rakowica zbierał skrzętnie faunę i florę; między innemi udało mu się znaleźć: z roślin, *Gramineae*, nieznane dotąd na tak wysokiéj szerokości geograficznéj półkuli południowéj, ze świata zaś zwierzęcego—owady (z *Orthopterów*) oraz ich larwy; dotąd owadów w krajach antarktycznych nie spotykano. Sondowano, badano morfologię ziem odkrywanych, zbierano próbki skał, robiono obserwacye magnetyczne, zdwojono spostrzeżenia meteorologiczne, robiąc je co dwie godziny.

W celu dokładniejszego rozejrzenia się w miejscowości pięć osób: komendant, doktór, pp. Danco, Amundsen i Arctowski, — urządziło raz wycieczkę na ląd na cały tydzień. Zabrali z sobą żywność, sanki, „*s-nowshoes*," [1]) worki futrzane do spania. Wycieczka ta jednak nie powiodła się: wrócili po tygodniu bez ważnych rezultatów.

Wypadków nie zdarzyło się żadnych. Raz tylko śruba od statku zadzwoniła o skałę podwodną. Szczęście mieliśmy do tych

---

1) Tarcze, przyczepiane do nóg za pomocą rzemieni, służące do chodzenia po śniegu.

raf! Gdyby skała wznosiła się o jakie ćwierć metra wyżéj, ładnieby wyglądała nasza śruba...

Krajobrazy letnie ziem podbiegunowych nie nadają się do ramek przeciętnéj estetyki. Przyzwyczajony do zupełnie odmiennych widoków natury, człowiek wzdraga się nazwać pięknym ów dziki konglomerat białości i czerni; w tych bowiem stronach ląd—to oślepiająco biała powierzchnia lodowata, na której, niby czarne plamy, odbijają obnażone występy skał, morze zaś — to czarne tło, popryskane białym drobiazgiem lodu morskiego, nad którym tu i tam górują dzieci ziemi, śnieżne icebergi. A jednak krajobraz ten ma dziwny urok. Łańcuchy wyniosłych skał, zakutych w srebrzyste pancerze lodowców, brzemiennych icebergami na wybrzeżach; groźne posągi czarnych, nagich fiordów, z których szczytów nadmiar śniegu, niby wodospad z piany, z hukiem zlatuje w przepaść; białe wysepki, upstrzone gromadami pingwinów; wązkie kanały, zawalone tłumem różnorodnych brył i płyt lodowych, między któremi snują się fantastyczne pałace kryształowe z błękitnemi jaskiniami, — cała ta puszcza dziwaczna, dzika, dla tego, kto jéj nie widział, niewyobrażalna, pełna jest niekreślonego uroku, uroku bajki z Tysiąca i jednéj nocy.

Napełniwszy uprzednio studnie statku lodem, wyrąbanym z icebergów za pomocą siekier i oskardów, po zdobyciu wiązki nowych faktów, opuściliśmy kanał Belgiki i pożeglowaliśmy ku zachodowi. Minąwszy ziemię Aleksandra, któréj brzegi białe, zawalone górami lodowemi, widzieliśmy zdala, zwróciliśmy statek na południe.

Z początku mieliśmy do czynienia z luźném mrowiskiem lodu morskiego, przez które brnęliśmy z łatwością. Ale niezadługo wkroczyliśmy do *„pack'u"* [1]), zbitego pola lodowego, złożonego ze spójnych kawałów zamarzłego morza.

Dostaliśmy się tu w chwili rozluźnienia czasowego lodów. Spójne zazwyczaj kry obecnie oddzielone najczęściéj były od siebie przez szczeliny, tworzące wspólnie sieć kanałów, możliwych dla nawigacyi.

Pchani przez burzliwy wiatr z północy, w krótkim czasie sto mil ujechaliśmy w polu lodowem, które, im daléj na południe, tém spójniejsze się stawało, coraz trudniejszą czyniąc żeglugę. Podróż

---

[1]) „*Packice*". w skróceniu „*pack*", terminu tego używam tu z tych samych powodów, co i terminu „*iceberg*".

między lodami nie należy do łatwych i wymaga wielkiego napięcia uwagi zarówno od oficera, stojącego na warcie, jak i od sternika i maszynisty. Oficer z gniazda bocianiego szuka drogi w sieci szczelin i lakun i wydaje rozkazy do maszyny i steru; maszynista wciąż baczyć musi na telegraf; sternik, oprócz szybkiego i sprawnego wykonywania rozkazów, co chwila innych, musi uważać — zwłaszcza przy cofaniu się statku, — aby potężne kry nie uszkodziły steru.

Posuwać się naprzód było coraz trudniéj. Kry stawały się coraz większe i coraz bardziéj zbite. Wreszcie pora była już spóźniona: woda w zwężających się kanałach i jeziorach zaczęła już zamarzać. Trzeba było co prędzéj uciekać...

Atoli łatwiéj było wejść, niż wyjść. Z początku szło jeszcze jako tako: okręt dość łatwo prześlizgiwał się przez szczeliny, rozcinał młody lód. Jednak już 29 lutego statek stanął na miejscu, nie mogąc dać sobie rady z lodami. Załoga skoczyła na kry, drągami siląc się utorować mu drogę. Posunęliśmy się kawałek naprzód; po południu znów okręt musiał się zatrzymać. Przez dni następne posuwaliśmy się wprawdzie trochę, ale niemożliwie wolno: „jeden krok naprzód, a dwa w tył", jak mówili majtkowie. 23 lutego już nie było ani krzty wody ciekłéj na powierzchni morza. W jedną pustynię białą, pustynię bez końca, zlały się te wszystkie kry, pokrywające pierś oceanu, ogromne, mierne i maleńkie, stare i młode, przeszłoroczne i zrana powstałe. Ponieważ falowanie morza dawało się tu jeszcze lekko odczuwać, więc całe to pole śnieżne zginało się i wypuklało, podnosiło się zwolna i opadało, niby potwór jakiś olbrzym, oddychający pełną piersią. Statek znów musiał stanąć. 26 lutego napotkaliśmy *pack* bardziéj rozcieńczony: białe płyty, rozszerzone tu i tam; pomiędzy niemi woda zlekka zamarznięta, rozłupana na kręgi i krążki szare, szarością swą uwydatniające lśniącą białość poziomych kier i wyniosłych icebergów. Nie wiele jednak się posunęliśmy: wkrótce wpadliśmy znowu w zbitą masę lodu. Woda marzła szybko; świeżo tworzący się lód grubiał z godziny na godzinę; kry się zlutowały; pole lodu nie falowało już: lud stężał. 6 marca lody skuły statek; nie miał on już odtąd własnego ruchu: ani naprzód ani w tył...

Zimowanie, co od pewnego czasu wisiało nad nami w powietrzu, jako niemiła możliwość, stało się koniecznością.

IV.

Zimowanie

(od 6 marca 1898 r. do 13 marca 1899 r.).

Musieliśmy tedy rozkwaterować się wśród zamrożonych fal nieznanego morza, pomiędzy Ziemią Aleksandra a wyspą Piotra. Dnia 6 marca — w dniu, w którym konieczność zimowania stała się dla wszystkich oczywistą, statek nasz znajdował się na 71° 18′ 36″ szer. połudn. i 85° 34′ 48″ dług. zach. Cztery dni temu, położenie nasze było: 71° 31′ 20″ szer. poł. i 85° 15′ 40″ dług. zach.; był to najdalszy na południe punkt, jaki osiągnęliśmy; tak daleko w téj okolicy nikt się jeszcze nie zapędził. Nie wielka to jednak była dla nas pociecha, jak również niewielkiém zmartwienie z powodu owych dziewiętnastu stopni, oddzielających nas od bieguna. Nie odnalezienie bowiem bieguna, lecz zbadanie krajów podbiegunowych pod względem naukowym było celem naszéj wyprawy.

Przed nami nikt w Antarktyku nie zimował; nas pierwszych los zmusił do spróbowania zimy antarktycznéj. Wyobrażenie o niéj mogliśmy tworzyć tylko na podstawie wiadomości o jéj przebiegu pod biegunem północnym, które wszyscy — z wyjątkiem doktora— czerpaliśmy z opisów podróżników.

Ten i ów pokładał jeszcze nadzieję na przypuszczalny prąd, który, gdyby posiadał kierunek ogólny południowo-północny, mógłby zagnać *pack* — a z nim i nas, jako stanowiących obecnie jego integralną cząstkę, — daleko na północ, gdzie ten pod wpływem ciepła by się rozleciał, pozwalając nam wydobyć się ze swych objęć. Nadzieja ta jednak była bardzo dwuznaczna; bo cóż przeszkadzało hypotetycznemu prądowi płynąć w kierunku wręcz przeciwnym? Wtedy doszlibyśmy może bardzo blisko samego bieguna, ale w żadnym razie nie do Europy... Wszyscy zaś byliśmy przygotowani na niebezpieczeństwo ciśnienia lodów, co miażdżyło lub miażdżeniem groziło okrętom wypraw arktycznych, a którego główną przyczyną również są prądy.

Nadzieje te okazały się płonne, obawy próżne. W miejscu, gdześmy zamarzli, żadnego prądu widocznie nie było. Zamiast posuwać się w pewnym określonym kierunku, pack spacerował sobie tam i napowrót w granicach jednego stopnia południkowego z południa ku północy oraz kilku dziesiątków stopni odpowiedniego równoleżnika od zachodu do wschodu.

Ruchy te zależały prawdopodobnie tylko od wiatrów, choć dowieść tego ściśle byłoby rzeczą bardzo trudną, gdyż system lodów, dostając impuls od wiatru, nie koniecznie w tym samym, co wiatr, posuwa się kierunku. Nieobecnością prądu również należy prawdopodobnie objaśnić brak zupełny właściwego ciśnienia, którego tak straszne sceny kreślą podróżnicy z północy. Bywało wprawdzie ciśnienie, dość nawet silne, pomiędzy olbrzymiemi krami. Jest to bardzo piękne zjawisko. Naprzód, ucho uderza dziwny szmer: cichy, a jednak potężny pisk, podobny trochę do skrzypienia śniegu pod stopami podczas mrozu, tylko na większą skalę. Oko zwraca się w stronę szmeru: na granicy pomiędzy dwiema krami, krawędzie obudwóch, prąc na siebie wzajemnie, łupią się, — łupią się tak lekko, tak spokojnie, jak gdyby to nie były olbrzymy o kilkumetrowéj grubości, lecz cieniutkie płytki szklane... Łupiny lodu, często potężne, układają się chaotycznie w kupę, przypominającą ruiny gmachu, — bez hałasu, bez szumu... Potężne wrażenie robi taka beznamiętna gra olbrzymich mas. Tego zjawiska jednak, powodowanego prawdopodobnie wyłącznie przez warunki ruchu pchanych przez wiatry mas lodu, porównywać niepodobna do owych straszliwych scen z północnych mórz polarnych, gdzie w ogłuszającym jęku kry wspinają się jedne na drugie, gdzie siła wzajemnego parcia tak jest wielka, iż wyrzuca w powietrze bryły lodu. Zresztą statek nasz, siedząc w środku olbrzymiéj płyty, o 2—3 kilometrowéj średnicy, nawet od takiego ciśnienia był zabezpieczony.

Zrzadka tylko, jak np. pod koniec maja 1898 r., płyta nasza pękała, a okręt, znalazłszy się w szczelinie, wytrzymywał lekkie uściski lodów; kończyło się jednak na słabém trzeszczeniu statku; szczeliny wkrótce się zalutowywały nowym lodem, i nieprzerwana powierzchnia lodowa znów otaczała naszą siedzibę. Wprawdzie przy końcu zimowania, gdyśmy stali u samego brzegu naszego pola lodowego, okrętowi od lodów groziło poważne niebezpieczeństwo; ale było to zjawisko od właściwego ciśnienia zupełnie odmienne.

Natychmiast po zamarznięciu statku wzięto się do uporządkowania naszego gospodarstwa odpowiednio do nowych warunków bytu. Rozgatunkowano węgiel — ciągle ten węgiel! — oddzieliwszy grubsze masy od miału i umiejscowiwszy jedne i drugie we właściwych przedziałach okrętu; robota ta trwała cały tydzień. Rozklasyfikowano zapasy żywności, aby wszystko mieć pod ręką i aby zyskać trochę wolnego miejsca na urządzenie pracowni i kuchni, która na pokładzie mieścić się już nie mogła. Wyjęto garderobę zimową, sanki, *sky* i *snowshoes*. Międzymoście pokryto dachem, ubezpiecza-

jąc je w ten sposób od zamieci. Obrzucono boki statku śniegiem, by nie tracił zbyt wiele ciepła podczas mrozów: praca zbyteczna zresztą, bo wkrótce powierzchnia packu zrównała się prawie z kadłubem okrętu.

Wkrótce też praca naukowa przyjęła określony plan i rutynę. Przez cały pobyt nasz w lodach prowadzona była systematycznie, o ile tylko warunki na to pozwalały.

Pole lodowe wraz z nami, acz w wąskich granicach, zmieniało przecież ciągle swe położenie. Podstawą wszystkich poszukiwań i rękojmią ich wartości była znajomość każdorazowego położenia naszego; trzeba było bowiem wiedzieć, z którego punktu globu pochodziły zbierane dane i okazy. Tą podstawową a zmudną pracą zajął się p. Lecointe. Skoro tylko obserwacya astronomiczna była możliwa, wychodził on ze swym sekstantem lub teodolitem lub z jednym i drugim na mróz, na przeszywającą zimnem wichurę. Z czasem wystawił sobie budkę drewnianą na lodzie, która jemu wprawdzie wiele ciepła dawać nie mogła, ale zabezpieczała przyrządy przed wiatrem i zamiecią. Wogóle więcéj się zdawał dbać o swe instrumenty, niż o siebie. Aby nie narażać chronometrów na zimno, przeprowadził drut telegraficzny od budki do pokoju na statku, do którego przysyłał swemu asystentowi „top!” Po śmierci p. Danco prowadził w dalszym ciągu jego poszukiwania nad magnetyzmem ziemskim.

P. Rakowica pracował ustawicznie i bardzo regularnie. Przez cały czas urządzał połowy fauny morskiéj na większą i mniéjszą skalę w przerębli; ważył, mierzył i opisywał okazy fok, pingwinów i ptastwa powietrznego, badał temperaturę ich ciała, zwyczaje, preparował szkielety i skóry, wydobywał z ciężarnych fok zarodki, badał pasożyty. Odkąd powierzchnia morza pokrywa się nieprzerwanym całunem lodu, fauna morska staje się bardzo skąpą. Promienie słońca nie ożywiają już odtąd głębi morza; rośliny morskie zamierają; za niemi giną lub przenoszą się na północ wszystkie zwierzęta, bezpośrednio od roślin zależne; pozostają tylko mięsożerne drapieżniki, ale stan taki wiecznie trwać nie może. Każda zima musi być tu straszną katastrofą dla istot w morzu żyjących. Pod koniec jesieni pack się wyludnia: gromady pingwinów, ptaki latające, foki, balenoptery, wszystko to śpieszy na północ, na krawędź pola lodowego, gdzie więcéj wody niezamarzłéj.

P. Cook, lekarz wyprawy, badał wpływ braku słońca i nienormalnych warunków życia na fizyologię człowieka, licząc systematycznie nasz puls i mierząc ciepło wewnętrzne organizmu za pomocą

odpowiednich termometrów. Jako lekarz, nie mógł się skarżyć na brak klienteli: pacyentów nie brak było nigdy, a spora apteczka, którą z sobą przywiózł, ciągle miała odbyt. Ten niezmiernie ruchliwy człowiek był to prawdziwy podróżnik z profesyi: umiał sobie radzić zawsze i wszędzie, przystosować się umiejętnie do wszelkich warunków, umiał wszystkie rzemiosła, naprawiał nam i ulepszał sanki i łyżwy, sam sobie urządził stół, krzesełka, okulary ciemne na spacery. Zawsze widziałem go przy jakiejś robocie; nie umiał on pozostawać w bezczynności. Uczył się języka plemion indyjskich, zamieszkujących Ziemię Ognistą, pragnąc z powrotem do Ameryki południowéj dokończyć poszukiwań antropologicznych i etnograficznych, które był zaczął podczas naszéj podróży w kanałach téj wyspy.

Klimat krajów antarktycznych z powodu zupełnego braku systematycznych danych meteorologicznych, zupełnie jest nieznany. W obszerniejszych pracach ogólnych, dotyczących klimatu globu np. w pięknéj książce *Handbuch der Klimatologie* J. Hann'a, autorowie obszerną dziedzinę Antarktyku kilkoma zbywają wierszami... Oddawna już żadnych świeżych danych w téj kwestyi nie posiadamy; zaś obserwacye, czynione ongi, za czasów Ross'a, były dorywcze, robione nie w jednéj określonéj stacyi przez dłuższy czas, lecz podczas żeglugi, w coraz innem miejscu; prócz tego są one bardzo niekompletne, gdyż obejmują tylko porę letnią.

Trzeba było więc skorzystać z mimowolnego zimowania, aby urządzić stacyę meteorologiczną w tych stronach i drogą systematycznych, ciągłych obserwacyi dostarczyć nauce jaknajwiększéj ilości danych za cały rok. Cel ten w pewnéj mierze osiągnęliśmy; z wyjątkiem dwutygodniowéj przerwy w lutym r. 1899, podczas któréj walka z żywiołami, w któréj wszyscy udział brać musieli, pozwalała zaledwie na obserwacye co cztery godziny, podczas całego pobytu w lodach spostrzeżenia czynione były regularnie co godzinę, z doby na dobę. Pracy téj podjęli się p. Arctowski i ja; ja brałem przeważnie dwunastogodzinną wartę dzienną, on zaś wolał zwykle nocną; bardzo często pomoc w téj pracy uprzejmie ofiarowywali nam pp. de Gerlache, Lecointe, Cook, Amundsen i Melaerts.

Warunki fizyczne, w jakich znajdowała się nasza stacya, nie należały do najodpowiedniejszych do jéj celu. Pomijam niedogodność, pochodzącą z ustawicznego przesuwania się stacyi, która powinna być stałą, z jednego miejsca na drugie; okoliczność to niewielkiéj wagi, gdyż pack poruszał się w granicach względnie wąskich. Najważniejszą niedogodnością było istnienie czynników, sil-

nie wpływających na klimat badanéj okolicy, których ani przewidzieć ani obliczyć, często nawet wykryć było niepodobna. Zimowaliśmy na pełném morzu, nie zaś na lądzie. Wprawdzie pack może być uważany zupełnie jako kontynent; atoli pewnego dnia tworzą się w nim, w rozmaitych punktach, w rozmaitéj ilości, szczeliny, zapełnione wodą płynną, która zgęszczając się w mgły, nadaje klimatowi charakter mniéj lub więcéj morski.

Prawie zawsze obfity szron, a podczas wiatrów z cieplejszéj północy często drobniutka dżdża osadza się na kulkach termometrów; naturalnie te ostatnie nie pokazują już wtedy temperatury powietrza, jeno temperaturę lodu lub wody, na nich osiadłych; trzeba je czyścić na kilka minut przed obserwacyą, a to nie zawsze się udaje. Budki meteorologicznéj nie można umieścić na lodzie; jest to niebezpieczne wobec niepewności lodów; tak, w środku maja 1898 r., pole lodowe zaczęło nagle pękać, i ledwie udało mi się uratować kilka przyrządów, na lodzie umieszczonych. Zmuszeni więc byliśmy do urządzenia całéj stacyi na okręcie, którego ciepło, acz w nieznacznym stopniu, wpływało przecież na termometry. Daléj, znajdowaliśmy się w zupełnéj nieznajomości geografii naszéj okolicy, rozmieszczenia lądów i mórz: na wschód od nas miała być Ziemia Aleksandra, o któréj konturze zachodnim nic się wszakże nie wié; na zachód nic prócz wyspy Piotra nie było nam wiadome; co zaś się znajdowało na południe od nas, o tém najmniejszego nie mieliśmy pojęcia. Wszystko to przedstawiało czynniki, dla klimatu danéj okolicy pierwszorzędne, a nam zupełnie niewiadome. Wreszcie promienie słoneczne, odbijając się od białéj powierzchni lodów, zawsze znajdują w budce meteorologicznéj otwory, przez które dostają się do jéj wnętrza i działają w ten sposób na termometry; to téż wszystkie temperatury powyżéj zera, otrzymane podczas lata, są wątpliwe.

Mierzenia głębokości morza, jak również temperatury wody morskiéj w rozmaitych głębokościach, oraz wydobywanie próbek téj wody i badanie jéj chemicznego składu i ciężaru właściwego, odbywały się dość często podczas zimowania. Sondowanie wskazało stopniowo zmniejszającą się głębokość morza ku południowi; być może, jest to znak obecności ziemi na południe od miejsca naszéj hibernacyi, która może nawet łączy się z korpusem Ziemi Aleksandra. Czynne sprawdzenie tego przypuszczenia, niestety, było niepodobieństwem. Większych wycieczek w packu nie można było robić, wskutek niepewnéj jego spójności. Od czasu do czasu pole lodowe pękało tu i tam, otwierając szczeliny, często bardzo szerokie; szcze-

liny takie mogły odciąć powrót do okrętu podróżnikom, jak to rzeczywiście miało raz miejsce, gdy pp. Lecointe, Amundsen i Cook. wybrawszy się na tygodniową wycieczkę, z powrotem napotkali szeroką i długą szczelinę, niedaleko od okrętu, nad którą musieli czekać, aż towarzysze, pozostali na statku, niespokojni o ich los, znaleźli ich i przebyć szczelinę pomogli.

Prócz tego, pomiędzy głównemi częściami packu mógł istnieć ruch względny; w takim razie odnalezienie okrętu byłoby rzeczą niemożliwą. Wobec zaś szczupłéj garstki ludzi, poświęcenie kilku jednostek dla takiego sportu byłoby równoznaczne z poświęceniem całéj wyprawy.

Zorza południowa ukazała się już w połowie marca. Notowaniem, dość systematycznem, tego zjawiska, zajmował się p. Arctowski. Występowała ona głównie w swéj postaci zubożałéj czyli „normalnéj", to jest w postaci smug łukowych koncentrycznych. Snopy promieni, powstających, znikających i przesuwających się, zjawiały się stosunkowo rzadko. Rzadziéj jeszcze występowała forma fałdzista, i to słabo zaznaczona.

Zajęcia załogi były bardzo jednostajne. Z rana majtkowie wychodzili na lód „po wodę": rąbali zbitą warstwę śniegu, kawały kładli na sanki i zawozili na statek. Tu, w dużéj kadzi, z maszyny wyjętéj, zamieniano śnieg na wodę. Potém, prawie zawsze mieli sporo roboty z oczyszczaniem statku ze śniegu, którym zamieć często literalnie zagrzebywała pokład. W pracowni, służącéj jednocześnie do prania bielizny i ubrania, dłubał cieśla; w kajucie — ten zajęty był naprawianiem i szyciem żagli, reperacyą sznurów, ów wiązał siatki do połowu fauny morskiéj, inny porządkował kajutę. Maszyniści pracowali przy kowadle i pilniku.

Rozrywki nasze, naturalnie, nie były ani liczne ani wyszukane.... Ślizgawka na „sky" i polowanie należały do najpowszechniejszych. Ślizganie się na dwumetrowych łyżwach norweskich jest sportem bardzo przyjemnym; urządziliśmy nawet konkursy łyżwiarskie: nagrodę otrzymał ten, kto najzręczniéj, bez utknięcia nosem w śnieg, zjechać umiał z wierzchołka poblizkiego iceberga... Wszyscy prawie chodzili na polowanie. Zwierzynę naszą stanowiły wyłącznie pingwiny i foki, dostarczające nam wybornego, bo świeżego mięsa. Pingwiny — z wyjątkiem ich najroślejszéj odmiany, pingwina królewskiego, dziobem sięgającego prawie do piersi człowiekowi dorosłemu, — zazwyczaj wędrowały gromadami. Rzadko bardzo trzeba było psuć na nich proch. Najczęściéj wystarczało udawać ich krzyk; co tchu pędziły wtedy ku nam; dobiegłszy, oglądały

ze zdziwieniem nieznaną istotą dwunożną, którą prawdopodobnie brały za rodzaj wielkiego pingwina... Na foki trzeba było zwykle używać kul, choć nie zawsze: często zabijano je kilofami, a doktór czasami nawet przypędzał je kijem aż do statku... P. Rakowica, zapalony myśliwy, strzelał także do ptaków latających. Wśród tych ostatnich, w nielicznych rodzinach błąkających się po Antarktyku, wyróżnia się swą pięknością *Vagodroma nivea*, wielkości gołębia o śnieżno-białém upierzeniu: gdy usiądzie na śniegu, trudno go spostrzedz.

Wieczorami jedni grali w karty lub warcaby, drudzy prowadzili swój dziennik, inni weszcie spędzali czas na pogadance lub czytaniu. Niedziele rozbrzmiewały muzyką katarynki, pozytywki i harmonijki naprzemian; często fonograf chrapliwym głosem wyśpiewywał nam piosenki europejskich *cafés-chantants*.

Stan zdrowia ogółu nie należał do opłakanych, ale téż nie był wcale świetny. 4 czerwca zmarł nam p. Emil Danco, porucznik artyleryi armii belgijskiéj. Chorował krótko. Choroba, któréj zaczątki musiał zabrać z sobą zapewne jeszcze z Europy, lecz którą rozwinęły bezwątpienia warunki zimowania, miała zahaczyć o trzy organy jednocześnie: o serce, płuca i nerki. Pochowaliśmy go zwyczajem morskim: trupa obszyto w worek z płótna żaglowego, przywiązano ciężar żelazny do nóg i spuszczono do przerębli... Dopiero zimując w krajach polarnych, można się przekonać, że słońce wywiera bezpośredni wpływ dobroczynny nie tylko na rośliny, ale i na organizmy zwierzęce, że brak jego powoduje zaburzenia w ustroju ludzkim. Wprawdzie straszliwy szkorbut omijał nas, ale na innych objawach chorobliwych nie zbywało. Wszyscy bez wyjątku chorowaliśmy na anemię; wszystkim puls bił nienormalnie. Prawie wszyscy cierpieli na anomalię sercową. Wielu z nas nogi puchły. Niektórzy cierpieli na bezsenność. Szkodliwie téż oddziaływa zima polarna na charakter człowieka. Osłabienie woli dało się u wszystkich zauważyć; by wykonać najmniejszy ruch, musiałem często robić wielkie wysiłki. Osłabienie to ogarnia również wolę umysłową; wszelkie operacye umysłowe, gdzie konieczną jest uwaga, skupienia myśli na jednym punkcie, wykonywane są przez mózg niechętnie; najmilszą jego czynnością staje się wolna, niehamowana gra wyobrażeń, marzycielstwo. Wpływ zimy na ciało i duszę uwydatnia się najsilniéj, zdaje się, dopiéro przy jéj końcu; tak ja, np. zacząłem cierpieć na serce dopiéro na wiosnę. Jeden z naszych majtków również dopiéro w téj porze dostał lekkiego pomieszania zmysłów, które, zdaje się, nawet po powrocie go nie opuściło. Na

uwagę zasługuje również wstręt do pokarmów konserwowanych, objawiający się podczas zimy. Czuje się potrzebę pokarmu świeżego. Gdyby nie poczciwe foki i pingwiny, co nam dostarczały wybornéj świeżéj pieczeni, wieluby z nas pozostało na zawsze w Antarktyku...

Nietylko brak słońca, ale również klimat i krajobraz lodowych przestworzy w znacznym stopniu przyczyniać się musi do upadku ducha i apatyi.

Zima właściwie rozpoczęła się już w marcu; w tym bowiem miesiącu nastały już mrozy dwudziestostopniowe, a lód młody w szczelinach szybko zaczął grubieć. Ta pora roku, obejmująca około dziewięciu miesięcy, odznaczała się niezmierną zmiennością wiatrów i temperatury, będącéj tu do pewnego stopnia funkcyą tych pierwszych. Odbywały się przeskoki od — 30° C. do 0°, w przeciągu kilku dni. Największą kapryśnością odznaczają się okresy przejściowe między zimą a latem, którym przecież trudno dać nazwę jesieni i wiosny. Środek zimy większą wykazywał stałość: wiatry wiały przeważnie od strony zachodniéj, temperatura nie wahała się tak silnie; tak w lipcu np., miesiącu z najniższą temperaturą przeciętną, za wyjątkiem kilku dni, rtęć trzymała się wciąż w pobliżu — 30° C., niewielkie stosunkowo od tego punktu czyniąc odchylenia. W końcu maja znika słońce i rozpoczyna się 24-godzinna noc polarna, słabym brzaskiem i zmierzchem tylko oświetlana. Pod koniec lipca wraca niechętnie słońce; z początku zaledwie kilka chwil gości na horyzoncie, potém jednak stopniowo przyzwyczaja się do smutnego pustkowia... Najtęższe mrozy mieliśmy we wrześniu, gdy termometr jednéj nocy spadł aż do — 43° C.

O ile w zimie ma się zamało słońca, o tyle w lecie jest go za wiele. Przez pewien okres, odpowiadający zimowéj nocy polarnéj, nie schodzi z horyzontu, przyświecając lodom o północy. Nie wiele jednak ogrzewa powietrze, którego przeciętna temperatura i w lecie leży niżéj zera. Nie tylko nizkie położenie słońca jest tego powodem. Cała prawie siła jego promieni zużytkowuje się na stopienie lodów, a raczéj tylko powierzchownéj ich warstwy. Topienie bowiem lodu odbywa się bardzo leniwie: białe pole lodowe mało pochłania promieni, odsyłając je w przestrzeń. Bezpośrednie promieniowanie słońca, pomnożone przez promienie od białéj powierzchni odbite, ogrzewa silnie przedmioty i ludzi. Często doznaje się tu dziwnego wrażenia podwójnego: twarz brunatnieje od palących promieni, a jednocześnie mrozi ją zimny wiatr... W każdym razie, zimne lato jest cechą klimatu, w którym mieszkaliśmy. Ci, co

w Arktyku daleko bliżéj bieguna, niż my, zimowali, mieli przecież lato daleko cieplejsze. Lato prócz tego odznacza się względną stałością temperatury i wiatrów; dzienna zmienność temperatury zaznaczona była bardzo wyraźnie w téj porze; przeważający kierunek wiatru był wschodni.

Ciśnienie barometryczne bardzo obszernym ulegało wahaniom: spadało do 710 i podskakiwało prawie do 770mm. Burze, wraz z nieodłączoną ich towarzyszką, zamiecią, były częste. Niebo zwykle pochmurne a najczęściéj zamglone; bezobłoczne niebo należało do wypadków wyjątkowych.

Opady atmosferyczne były bardzo częste. Prawdziwy deszcz raz tylko czy dwa razy zanotowałem podczas lata. Gdy temperatura blizką jest zera, kropi dżdża, silniejsza lub słabsza, zazwyczaj w połączeniu z topniejącym śniegiem. Śnieg w kłaczkach, właściwy strefom umiarkowanym, jest tu wyjątkiem i występuje tylko przy temperaturach względnie wysokich; wogóle zaś jest drobny, pada w pojedyńczych krysztalikach lub w małych ich aglomeratach. Podczas przykréj pogody, gdy niebo jest czyste, powietrze spokojne, a temperatura nizka, w powietrzu zawisają błyszczące krysztaliki lodu, zwane „pyłem dyamentowym" przez podróżników polarnych. Są tak drobne, że tylko blaskami, napełniającemi powietrze, zaznaczają swe istnienie. Taki obłok naziemny powoduje, dzięki załamywaniu się promieni słonecznych w krysztalikach go składających, barwne kręgi około słońca, a nawet poboczne tarcze słoneczne, zupełnie w ten sam sposób, co i owe lśniące obłoki jedwabiste, płynące w najwyższych warstwach atmosfery, podobne zresztą, pod względem składu do „pyłu dyamentowego".

Jeżeli kto chce ujrzéć prawdziwą pustynię, niechaj osiedli się w puszczy lodowéj. Pustynie ziemi niczém są w porównaniu do niéj, jest to pustynia nad pustyniami... Pewien urok posiada ten krajobraz tylko podczas jasnych, cichych nocy księżycowych, gdy blade światło, okrywając lody szatą fantastyczną, nadaje im powab tajemniczości. W jasny dzień słoneczny naokoło widza, rozciąga się olbrzymia tarcza biała, zawalona bryłami lodu, niby gruzami skał, podrapana przez wichry, cała w szczerbach, żłobowinach i zmarszczkach; po nad tą niziną, tu i tam sterczą samotne icebergi. Cała chropowata pierś oceanu, niezmiernie wielka i niezmiernie biała drga blaskami od całusów słońca, odsyłając oczom całą jego białość oślepiającą, błyszczącą, jak rozżarzone srebro. Nad horyzontem, wśród smug obłocznych, unoszą się miraże icebergów, oderwanych od płaszczyzny lodowéj, powywracanych, zdwojonych. Ponad tą

równiną zwiesza się kopuła niebios, wytapetowana bladym błękitem, zawsze mętnym, zawsze zakopconym. Ten gmach, z białą posadzką, z blado-niebieskiém sklepieniem, był to cały nasz świat, obejmujący wszystkie nasze wrażenia, uzupełniane tylko przez miraże — fizyczne, umysłowe i uczuciowe, przez mary odległych lodów, pamięci i wzruszeń, często wywrócone lub zdwojone, dzięki refrakcyi w powietrzu, w głowie, w sercu... Takie dni jednak, słoneczne, jasne i ciche, należały do wyjątkowych. Najczęściéj niebo na całéj rozciągłości pokryte było szarym, mglistym płaszczem jednorodnym, przyjmującym biały odcień od śnieżnéj powierzchni lodów. Ponieważ zaś ta ostatnia, skąpo oświetlana przez schowane poza grubą oponą słońce, ciemniała, ponieważ daléj, z téj saméj przyczyny, nierówności jéj wygładzały się, więc niebo i pole lodowe przybierały zupełnie jednakowy wygląd, przechodząc jedno w drugie nieuchwytnie na zamglonym widnokręgu. Jest to szczyt monotonności; krajobrazu jednostajniejszego, bardziéj nużącego, bardziéj przygnębiającego niepodobna sobie wyobrazić. Człowiekowi zdaje się wtedy, jakoby znajdował się we wnętrzu zadymionéj, zakopconéj chaty eskimosa... A podczas burzy, gdy rozjuszone powietrze szarpać zacznie sypką pokrywę śnieżną packu, wzbijając po nad maszt masę rozproszkowanego śniegu, ten mały, niewesoły świat znika zupełnie: czujemy tylko wtedy, że coś nas szarpie, że coś nam piaskiem białym oczy zasypuje, nic jednak nie widzimy, bo patrzeć nie możemy... Przyglądałem się często, po skończonéj burzy, polu bitwy; wygląd jego świadczy o zajadłości walki, jaką wicher stacza z polami lodu. Cała powierzchnia packu przeistoczona; pazury nawałnicy powydrapywały głębokie jamy, o ścianach podrapanych silnie i dość prawidłowo; dawne wyniosłości zniwelowane przez masę napędzonego śniegu; tam gdzie przedtém było zagłębienie, wznosi się obecnie sypkie wzgórze.

Pod koniec zimy zaczęto się przyszykowywać do tak pożądanego powrotu. Na nagie drągi masztów nawinięto żagle; maszyna stanęła w pogotowiu. Niestety! pola lodowe nie pryskały, spójne kry nie rozluźniały się.

Już się miało ku połowie stycznia, a stan rzeczy ciągle pozostawał bez zmiany. Wprawdzie potworzyły się szczeliny zdala od nas; gdybyśmy się znajdowali w ich sieci, moglibyśmy może spróbować szczęścia. Ale jakim sposobem mógł się tam dostać statek, wetknięty w środek olbrzymiéj kry lodowéj? Próby, czynione podczas zimy z materyałami wybuchowemi, dowiodły nam jasno, że na skut-

ki ich działania zupełnie liczyć nie możemy. Dynamit przebija tylko lód na wylot, wcale prawie go nie łupiąc.

Wtedy to zrodziła się śmiała myśl spróbowania czynnéj walki z wrogim żywiołem, narzucenia mu swéj woli zamiast biernego a poniżającego oczekiwania jego łaski. Myśl ta polegała na tém, aby piłami utorować sobie drogę, przebijając kanał od statku do najbliższéj szczeliny.

Było nas tak mało, narzędzia, jakiemiśmy rozporządzali, tak były nieliczne i pierwotne, że bardzo wielu nader sceptycznie do tego planu się odnosiło.

Zrazu wybraliśmy drogę najkrótszą, wynoszącą 500 metrów z górą, od przodu statku. Plan saméj roboty był następujący: trzeba było rozciąć lód pomiędzy okrętem a szczeliną w dwóch liniach, tworząc w ten sposób bardzo wydłużoną krę trójkątową, w któréj wierzchołku znajdowałby się statek, a któréj podstawa opierałaby się na szczelinie; potem należało pociąć tę krę olbrzymią na kry mniejsze, któreby się następnie wydalało po kolei do szczeliny. Zazwyczaj lód morski składa się z czterech warstw: pokrywy ze śniegu, warstwy lodu błękitnego, ziarnistego, łatwego do rozkopywania, warstwy lodu twardego, który jednak podziurawiony jest znacznie i porujnowany, wreszcie grubéj warstwy spodniéj, złożonéj z lodu bardzo rozmiękłego. Skorzystaliśmy z téj znajomości składu lodu dla ułatwienia pracy piłowania. Na linii, po któréj miała się posuwać piła, zdejmowaliśmy naprzód za pomocą łopaty warstwę śniegu; następnie kilofami rozbijaliśmy pierwszą warstwę lodu, wyrzucając ją zaraz łopatą na brzeg bruzdy. W ten sposób zmniejszaliśmy trochę grubość przeznaczonego dla piły lodu. Mieliśmy cztery piły, jedną mniejszą i lżejszą, a trzy dłuższe i cięższe. Długość ich nie dochodziła do 2 m.

Z początku piłowanie, rozpoczęte od szczeliny, szło jako tako. Wkrótce jednak natrafiono na lód 5 i 6-cio metrowy... Trzeba było dać za wygraną. Tydzień mozolnéj pracy zakończyło kompletne *fiasco*.

Nie zraziliśmy się jednak tém niepowodzeniem. Jak każda chybiona próba, tak i ta nauczyła nas wielu rzeczy, obznajmiła nas z naturą lodu, z narzędziami i ich doniosłością, wreszcie uczyniła nas przezorniejszymi. Przedewszystkiém, staraliśmy się przekonać, czy w rzeczy saméj obrana przedtem droga była niemożliwa, czy nie możnaby było obejść grubego lodu. W tym celu dokonano szeregu pomiarów grubości warstwy lodowéj; okazało się, że trzeba było zaniechać pracy w dawném miejscu. Pozostawała jedyna możliwa ze

względu na odległość — przestrzeń: od prawéj strony statku. Na zasadzie dostatecznéj liczby pomiarów grubości lodu, wytknięto nową drogę, krętą, długą — bo aż 700 z górą metrów wynoszącą, ale za to pewną: lód był tu o wiele cieńszy, najczęściéj jednometrowy. Zabraliśmy się do pracy z większą pewnością siebie. Maszyniści znitowali dwie piły w jedną, trzymetrową, skuteczniejszą.

Odtąd co dzień, o 8-éj z rana, wszyscy wychodzili na pack, do roboty; na statku pozostawał tylko p. Michotte, kucharz, który wołał nas trąbą na obiad w południe i na kolacyę o 6-éj wieczór, oraz odpoczywająca warta nocna. O 7-éj wieczorem zmieniała nas ta ostatnia i pracowała przez całą noc. Piły były bez przerwy w ruchu.

Po przepiłowaniu konturów kanału wzięto się do rozcinania wstęgi lodu na kry mniejsze. Tu stanęliśmy wobec ważnego zagadnienia: w jaki sposób przeprowadzać cięcia poprzeczne? Trzeba było uczynić zadość dwom zasadniczym warunkom: po pierwsze, dla zaoszczędzenia czasu i pracy, pożądaną była jak najmniejsza ilość linii poprzecznych; po drugie, wielkość i forma wycinanych kawałów lodu powinny były być takie, aby z łatwością można je było wyciągać po kolei do szczeliny. Po kilku próbach chaotycznych, wpadliśmy na właściwą metodę, polegającą na przeprowadzaniu skośnych linij poprzecznych, z których każda następna łączyła się z poprzednią w pobliżu bocznego konturu kanału. Kry, w ten sposób utworzone, wypychało się na wolną wodę za pomocą drągów, oddając je wiatrowi wschodniemu, co je już sam prowadził do szczeliny.

Po dwóch tygodniach nieustającéj pracy, na słońcu, co nam paliło twarze, na wietrze, co nam mroził nosy i uszy, częstokroć po kolana w wodzie, doszliśmy już pod sam statek. Kanał był na ukończeniu; pozostawały tylko dwie czy trzy małe kry tuż przy okręcie.

I oto, gdy już bliżéj byliśmy tryumfu, szczeliny poczęły się zwężać coraz silniéj, aż znikły prawie zupełnie. Niedość tego: wkrótce olbrzymia kra, w któréj środku byliśmy uwięzieni, pękła, tworząc wązką szczelinę, idącą od przodu statku w kierunku południowo-wschodnim aż do szczątkowych szczelin poblizkich; jednocześnie nasz kanał począł się także zwężać...

Zaczęliśmy przygotowywać się do powtórnego zimowania. Z powodu szczupłéj ilości zapasów żywności, wydzielono każdemu porcye dzienne chleba, sucharów, masła i cukru: porcye naprawdę mikroskopowe...

Dnia 11-go lutego wiatr północno-zachodni sprowadził za sobą rozszerzenie się szczelin i naszego kanału. Nie mogliśmy jednak skorzystać natychmiast z téj sposobności, gdyż kanał pokrył się lo-

dem, niegrubym wprawdzie, wszakże uniemożliwiającym ruch statku. Wzięliśmy się przeto do oczyszczania kanału z młodego lodu.

W cztery dni późniéj „Belgika" ruszyła tyłem ku szczelinie. Pierwszy raz, od roku, stanął majtek przy sterze... Po kilku godzinach żółwiego marszu stanął statek, zatrzymany przez drobiazg lodu, z którego oczyścić kanał było niepodobieństwem.

Nazajutrz, o g. 2-iéj z rana, kanał rozszerzył się znacznie, okręt wykręcił się, żwawo ruszył naprzód ku szczelinom i po chwili już znajdował się w ich sieci. Tu krętemi drogami począł się posuwać ku północy, często własnym ciężarem torując sobie drogę po przez węższe kanaliki. Nad wieczorem kry znów się skupiły; musieliśmy stać w miejscu przez całą noc. Na drugi dzień rano pack się rozluźnił, i statek przeciskał się szczęśliwie przez szczelinę przez cały dzień i przez całą noc. Dnia następnego jednak wiatr północno-wschodni zwęził i zatamował kanały. Okręt musiał stanąć, tym razem na czas dłuższy.

Przez te trzy dni, według obliczeń robionych na oko, posunęliśmy się o jakie 15 mil morskich ku północy. Były zjawiska, które pozwalały nam przypuszczać, że znajdowaliśmy tuż przy granicy packu. Pierwszém było stałe ciemne zabarwienie nieba na północy: znak, że morze wolne znajdowało się niedaleko. Powtóre, ilość icebergów zwiększała się bardzo szybko w kierunku północnym; olbrzymy te, których ongi zaledwie kilka było widać około naszéj dawnéj siedziby, teraz otoczyły nas setkami. Wreszcie kry drobniały coraz bardziéj; już nie było widać tych kilkuwiorstowych płyt lodu; pack stawał się coraz luźniejszy, coraz bardziéj potłuczony. I krajobraz jakże się zmienił! Jakże był dla nas świeży, uroczy! Zamiast owego całunu śnieżnego, bez przerwy, bez końca, gdzie wszystko się stapia w jednorodną masę białą, gdzie nic się nie widzi, nic, prócz śniegu, gdzie nawet nierówności powierzchni nikną, ginąc w mgle i jednostajności kolorytu; zamiast téj monotonii nużącéj — śliczna mozaika czerni i bieli, gdzie kontury jednéj i drugiéj zarysowywują się ostro, wyraźnie, jak kredka czarna na białym papierze, białe wysepki o kształtach najrozmaitszych, otoczone czarnemi liniami kanałów i kanalików. A po nad tym gminem poziomym górują pułki icebergów, strażników packu. I wszystko to nie stoi w miejscu, lecz porusza się, porusza się względem nas i względem siebie... Jakże musiała być nam przyjemną taka zmiana otoczenia!

Położenie jednak nasze bynajmniéj się nie polepszało; owszem, zdawało się pogarszać coraz bardziéj.

Wystarczyło dwóch tygodni, aby ten piękny, różnorodny, uśmiechający się krajobraz zamienił się na lodową pustynię jednostajną, w zupełności nam przypominającą ów całun obrzydły, od którego uciekliśmy.

Kry, wolne przedtém, ściskały się nieznacznie, powoli, ale stale. Kanały i jeziora zwężały się coraz bardziéj, aż znikły. Proces ściskania się szedł daléj, a kry, nie mając już między sobą wolnéj przestrzeni, poczęły walczyć z sobą na obwodach, łamiąc sobie boki i tworząc w miejscach dawnych szczelin, gruzy humoków, rosnące szybko. To fatalne duszenie się wzajemne lodów spowodowane było przez ciągłe wiatry od strony wschodniéj, które dla przyczyny zagadkowéj zawsze prowadzą za sobą ściskanie się packu.

Odkąd stanęliśmy w tém miejscu, zauważyliśmy wszyscy rozszerzanie się i zwężanie peryodyczne szczelin, które jednego dnia było silniejsze, drugiego ustawało. Po tygodniu, wszyscyśmy oglądali po raz pierwszy od tak dawna prawdziwe falowanie lodu, bardzo silne. Bliskość morza nie mogła ulegać wątpliwości.

W rzeczy saméj, jednocześnie dostrzeżono z gniazda bocianiego morze, — prawdziwe, wolne morze, rozpościerające się szerokiém pasmem czarném na widnokręgu północy. Odległość tego morza, oceniana na oko, nie była większą od dziesięciu mil morskich... A więc znajdowaliśmy się na saméj granicy packu, tuż przy morzu, od którego marne 10 węzłów nas oddzielało — i nie mogliśmy się wydostać!

Niedość tego: mieliśmy nawet ładną perspektywę zatonięcia okrętu w 10-ciomilowéj odległości od wolnego morza... Dłuższe bowiem oczekiwanie w tém miejscu groziło statkowi niemałém niebezpieczeństwem. Dostaliśmy się do dziedziny packu żyjącego, falującego, jak morze. W braku ciśnienia we właściwém wyrazu tego znaczeniu, powodowanego przez prąd, którego tu nie było, mieliśmy ciśnienie *sui generis*, które w skutkach swych mogło być daleko od pierwszego gorszém. W ciśnieniu właściwém parcie jest ciągłe, odbywając się w tym samym ciągle kierunku: okręt jest ściskany, duszony coraz silniéj. Przy falowaniu zaś, przy peryodycznem podnoszeniu się i zniżaniu poziomu lodów, co pół minuty powtarza się uderzanie mas lodowych o okręt. Takie uderzenia, zdaniem marynarzy, bardzo szybko psują statek. W początkach marca, drobiazg lodu, który przedtém oddzielał boki okrętu od otaczających go dużych płyt lodowych i, grając rolę poduszki, osłaniał nas od zbyt silnych uderzeń, został wyparty, a kry zbliżyły się do samego statku, zczépiając się z nim bezpośrednio. Odtąd w ciągu całéj doby dawało

się słyszéć złowrogie trzeszczenie okrętu. By uchronić się od niebezpieczeństwa, piłowano większe kry i rozsadzać się je starano dynamitem.

Taki stan trwał przez cały tydzień.

Około 10 marca zamarzliśmy. Falowanie ustało; szczeliny mróz zalutował, i otoczyła nas biała puszcza, ciągła, zarzucona humokami, ogrodzona półkolem nieruchomem icebergów od północy. Przygotowani byliśmy wszyscy na konieczność przedłużenia naszego zimowania co najmniéj o rok...

Atoli 11 marca, przy słabym powiewie z południa, łono packu znów zaczęło potężnie falować. Oddawna już nie widzieliśmy tak olbrzymich fal! Pierś packu wyginała się, jak ciało olbrzymiego gadu, w prawdziwe góry, poprzedzielane głębokiemi dolinami.

Prysnęło słabe spoidło, zaczepiające kry.

Płyty lodu poczęły się rozłazić. Szerokość szczelin stała się dostateczną do przebijania się przez lody. Niestety, ta wspaniała okazya nadeszła już po zachodzie słońca, gdy cienie pokryły pack i uniemożliwiając oryentowanie się, uniemożliwiały żeglugę.

Nazajutrz nad ranem, falowanie zaczęło ustawać, a szczeliny zwężać się powoli... Próby poruszania się były daremne.

13 marca lody znów zaczęły się rozluźniać. Już o 2-iéj rano można było, uparłszy się, sprobować żeglugi. Półkole północne icebergów zbliżało się do nas szybko.

O 3-ciéj zahuczała maszyna. Sternik, telegrafista i dowodzący wartą stanęli przy swych czynnościach. Zagrzmiały rozkazy. Statek znowu rozpoczął walkę z lodami: rozpychał kry, łamał im boki, cofał się, to znów nacierał.. Ciężka była robota, jednak szła. Minęliśmy wkrótce zaczarowane półkole icebergów.

Po za tem półkolem pack nieznacznie zmieniał swą budowę. Pośród lodu przeszłorocznego lub z jeszcze dawniejszych czasów pochodzącego, coraz liczniéj zjawiać się poczęły płyty świeżego lodu, o postaciach bardzo charakterystycznych. Przy najrozmaitszym obszarze, przy różnorodności konturów, młode kry wykazywały cechy wspólne, tkwiące zarówno w półłokciowych maleństwach, jak i w tablicach o dziesiątkach metrów średnicy. Czy to był wielobok, zbliżony do kręgu, czy czworobok nieregularny, czy romboid niezmiernie wydłużony, czy trójkąt, zawsze brzegi były okrągławe, czasami nawet faliste, a rogi zawsze zaokrąglone; prócz tego, brzegi były pozawijane lekko do góry; stąd bardzo często wygląd talerzyków. Cechy te pochodzą napewno od potrącania się i obcierania wzajemnego płyt i płytek.

Minęliśmy gromady icebergów. Pack zelżał: małe tegoroczne płyty i talerzyki stały się prawie wyłącznemi. To téż okręt szedł aż miło. Wesoło nam było patrzéć się na szybki ruch statku pośród pospólstwa drobnego lodu.

Wreszcie ku południu, weszliśmy do „morza". Czarne, piękne morze, na nim tylko wyspy lodu, coraz mniejsze, coraz rzadsze. Fale przewalały już okręt z boku na bok. Niektórzy dostali już choroby morskiéj...

Wraz ze zmianą podłoża zmieniało się niebo. Jak przedtém, odbijając śnieżną białość lodów, zawsze miało ono koloryt brudno białawy, zaś odległe morze zaznaczało swą obecność pręgą ciemną, omraczającą horyzont północy, — tak teraz w południowéj części ciemnego płaszcza matowego zarysowywał się błyszczący, brudnobiaławy segment, cień packu....

Wyszliśmy z więzienia...

V.

Powrót.

Przez całą drogę, aż do zachodnich brzegów Ziemi Ognistéj, sprzyjały nam żywioły. Mieliśmy szczęście prawdziwie wyjątkowe. Przebyć przestrzeń od lodów Antarktyku aż do okolic przylądka Horn, należącą do najburzliwszych na kuli ziemskiéj, w marcu, miesiącu w tych miejscowościach najgorszym, — bez burzy, pchani przez umiarkowane wiatry, zawsze przyjazne, — jest to coś bardzo zadziwiającego.

Dopiéro zetknięcie się z lądem przyprawiło nas o kłopoty. 26 marca ujrzeliśmy pierwszy ląd — wyspy i skały na zachód od Ziemi Ognistéj, z wielką radością, ale też i z wielkim strachem, bo burzliwy wiatr pchał nas wprost na skały. Dostaliśmy się przecież ku wieczorowi do zatoki wyspy Noire, gdzie stanęliśmy na kotwicy. Nazajutrz wszyscy zbudzeni byliśmy trzeszczeniem łańcucha kotwicowego. W zatoce, niedostatecznie osłoniętéj, ryczała burza. Nigdy nie widziałem burzy tak gwałtownéj. Uderzenia wiatru były tak raptowne, że z fal podnosiły się słupy kurzu, a morze stało się podobne do pustyni piaszczystéj podczas huraganu. Siła wichru spłaszczała wierzchołki bałwanów... W końcu kotwica się zerwała, a z nią 75 sążni morskich łańcucha poszło na dno.

Szczęśliwie jakoś, bez większych uszkodzeń, wydobyliśmy się na otwarte morze. Burza stopniowo ucichła. Ku południowi weszliśmy już do cichych kanałów Ziemi Ognistéj.

Na drugi dzień, około 8-éj zrana, ujrzeliśmy zdala port Punta Arenas...

Podczas piętnastomiesięcznéj nieobecności naszéj, stary nasz znajomy zmienił się niesłychanie. Pomiędzy drewniane domki wpakowały się wielkie budowle murowane, z olbrzymiemi sklepami. Znaleźliśmy bruki na ulicach, chodniki, oświetlenie elektryczne...

Po trzech tygodniach ci z nas, którzy już nic więcéj do roboty na statku nie mieli, zaczęli się rozjeżdżać. Naprzód wyjechali pp. Arctowski i Amundsen—i ja z nimi, potém pp. Cook i Rakowica.

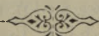
Statek, wymagający reperacyi i odświeżenia, wróci do Antwerpii prawdopodobnie dopiéro w sierpniu.

Taka jest krótka historya naszéj podróży.

Opowiadanie powyższe nie jest pisane dla uczonego lub historyka wypraw polarnych, lecz dla przeciętnego czytelnika. Jest w niém dużo braków, pochodzących po części z wąskich ram artykułu, po części z winy samego piszącego.

Kończąc, nie mogę się powstrzymać od zwrócenia uwagi czytelnika na jedną prawdę, którąm zdobył przez własne doświadczenie, a która, być może, ułatwi mu w pewnéj mierze niezbędne dopełnienie w umyśle powyższego zarysu. Życie nie składa się z zarysów ogólnych, ze streszczeń lub uogólnień, lecz ze szczegółów konkretnych. Błędem byłoby wyobrażać sobie, że awanturnicze napozór życie podróżnika różni się od zwykłego, przeciętnego życia. Wprawdzie wrażenia często są silniejsze i żywsze; ale wypadki te toną w powodzi drobiazgu codziennego, toną tak zupełnie, że, naprawdę, pod względem przeciętnego polotu życia, między podróżnikiem, obracającym się wśród przygód, a porządnym, liczącym grosze kupcem korzennym wcale nie wielka istnieje różnica... Szara powszedniość, zabijająca umysł i serce, wlecze się, jak cień, za człowiekiem, nawet w lodach podbiegunowych nie odczepiając się od niego... Człowiek wszędzie pozostaje człowiekiem...

A. Dobrowolski.



Jerzy Gordon lord Byron.

Z nietłomaczonych poezyi.

Gdy Cię żegnałem *)

Gdy Cię żegnałem
W milczeniu i łzach,
Z sercem zbolałem
Po rozwianych snach —
Zimną twarz była twa,
Całus zimniejszy:
Wróżyła chwila ta
Gorycz dzisiejszéj.

Chłodnéj mi rosy
Padł na czoło szron —
Jak gdyby losy
Moje — przeczuł on.
Twe przyrzeczenia
Zdeptałaś i cześć...
Twego imienia
Dziś mam hańbę nieść.

*) Wiersz ten był napisany do Mary Chaworth, zamężnej Musters. *(Przypisek tłómacza).*

Pogrzebny słyszę
Dzwon, gdy Cię kto zwie;
Dreszcz mną kołysze —
Czemum kochał Cię?
Czyż wiedzieć mogą,
Jak-em Ciebie znał —
Tyś mi zbyt drogą,
Bym to wyznać miał.

Los skrycie działa —
Skrycie ból mam znieść,
Żeś mnie umiała
Zapomnieć i zwieść.
Gdy znów Cię kiedy
Ujrzę, losów grą, —
Powitam wtedy —
Milczeniem i łzą.

Nie przypominaj! *).

Nie przypominaj mi uroku
Téj ukochanéj znikłéj chwili,
Gdy twojem serce moje było...
Téj chwili, co nie zginie w mroku,
Aż czasu fala nie przesili
I mnie i Ciebie pod mogiłą.

Czyż zapomnimy to oboje,
Gdym igrał z złotem Twych warkoczy
Jak szybko serce biło drżące...
Przebóg! Ja widzę jeszcze twoje
Piersi czarowne, mętne oczy,
Usta miłością niemą tchnące.

I tak oparta na mém łonie
Z źrenic wyrzutu ciskasz strzały,
Od których żądzą pierś wybucha,

[1]) Wiersz ten był pisany do Mary Chaworth, zamężnéj Musters.
(Przypisek tłómacza).

I coraz bliżej chylim skronie
A usta płoną, jakby chciały
Śród pocałunków oddać ducha.

Więc nie wspominaj mi uroku
Chwil, co—choć znikły jak omamień
Sen — mogą wrócić na snu fali...
Dopóki w zapomnienia mroku
Nie zginiem, martwi, jak ów kamień,
Głoszący, żeśmy żyć przestali.

Prysł czar...

Prysł czar!... rozwiały się uroki!
Zwykły to życia bieg: weselem
Chcemy zagłuszyć ból głęboki...
Szał jest najlepszym zwodzicielem.

Lecz budzi każda myśli strzała
Ból, co z przyrody praw wynika,
I ten, co jako mędrzec działa,
Ma jednak żywot męczennika.

Ateny 16 stycznia 1810 r.

Pisane po przepłynięciu z Sestos do Abydos.

Jeśli Leander strzały lotem
Miał próć w grudniowej nocy mroki
(Ach! któreż dziewczę nie wie o tem)
Twój Hellesponcie nurt szeroki —

Jeśli na rychłej burzy znaki
Nie bacząc, śpieszył do swej Hero,
A prąd i wtedy był już taki —
To mi obojga żal, Wenero!

Dziś skarlałego rodu dziecię,
Lubo nurt w maju przepłynęło...

Mdłe członki swe napręża przecie
I sądzi, że to wielkie dzieło.

On jednak — jak nam głoszą wieszcze —
Aby umizgać się do lubéj
Dążył... i Bóg wie na co jeszcze...
On dla miłości, ja dla chluby.

Komu łaskawszą dola była
Trudno w moralnym orzec sensie:
Mnie zawiódł kaprys... jego siła...
On zginął... a mnie febra trzęsie *).

Stanze do muzyki **).

Z cór piękności któraż w dziale
Ma podobny tobie czar...
Melodyjnie, jak wód fale,
Twój mi dzwoni słodki gwar;

*) W dniu 3 maja 1810 r., podczas gdy „Salfette" (kapitan Bathurst) stała na kotwicy w cieśninie Dardanelskiéj, lejtenant tejże fregaty Ekenhead wraz z autorem niniejszego wiersza przepłynęli z europejskiego brzegu na azyatycki, ściśléj powiedziawszy z Sestos do Abydos. Cała przestrzeń od miejsca skąd odpłynęliśmy aż do miejsca wylądowania na przeciwnym brzegu, uwzględniając i to, że nas silny prąd znosił z prostej linii, podług zdania osób, znajdujących się na pokładzie fregaty, stanowi przeszło cztery mile angielskie, podczas gdy w prostej linii odległość ta jednéj mili nie przenosi. Siła prądu jest tak wielka, iż żadna łódź w prostym kierunku prześliznąć się nie może i wskutek tego jedni przebywają przestrzeń tę w 1 g. i 5 m., drudzy zaś w 1 g. i 10 m. Woda wskutek topnienia górskich śniegów była bardzo zimna. Już przed trzema tygodniami w kwietniu czyniliśmy próbę, że jednak tegoż ranka przebyliśmy konno całą przestrzeń od Troady, a woda lodowato zimną była, uważaliśmy za konieczne odłożyć to na później, dopóki jeszcze fregata stać będzie na kotwicy pod zamkami. Jakoteż i przebyliśmy cieśninę w sposób wymieniony, przyczem odpłynęliśmy z miejsca położonego znacznie wyżéj od europejskiego fortu, wylądowaliśmy zaś o wiele niżéj od azyatyckiego. Chevalier twierdzi, że pewien młody żyd dla widywania się z ukochaną przestrzeń ową przepływał, Oliver powiada to samo o jednym Neapolitańczyku. Zresztą wielu majtków z „Salfetty" przepływało większą przestrzeń; to jedno tylko dziwi mnie, iż gdy poczęto wątpić o prawdziwości wycieczki Leandra, żaden z podróżników nie starał się przekonać o możliwości uskutecznienia tego. *(Przypisek autora).*

**) Wiersz ten napisany został dla żony w czasie miodowych miesięcy.

Jakby morza toń uśpiła
Czarodziejska jego siła...
Senne fale błyszcząc gwarzą,
A uśpione wiatry marzą.

Księżyc snuje w nocną ciszę
Srebrną przędzę na wód tle,
Których łono się kołysze,
Jak pierś dziecka w lubym śnie;
Tak przed Tobą duch się chyli,
By Cię wielbić w każdéj chwili,
I z przejęciem słuchać tkliwie,
Jak szemrania fal w przypływie.

Stanze pisane na drodze pomiędzy Florencyą i Pizą.

Nie głoście mi imion wsławionych przez dzieje.
W młodości i sława zarazem jaśnieje...
A mirty i bluszcze na skroni młodzieńczéj
Są godne wawrzynu, co sławną skroń wieńczy.

Czem laur jest, gdy czoło zmarszczone oplecie?
To w rosie majowéj umarłe jest kwiecie...
Precz zatem z wawrzynem w sędziwych lat porze...
Cóż wart on, gdy sława dać więcéj nie może.

O Sławo! Jeżelim pił kiedy z Twéj czary,
To nie tak dla hucznéj Twych dźwięków fanfary,
Jak raczéj, by patrząc w toń drogich mi oczu,
Żem godzien miłości w ich czytać przezroczu.

Tam tylko mi Twoje płonęły promienie...
Najświetniéj z Twych blasków Jéj *) lśniło wejrzenie...
Gdy ono jaśniało w dnie życia łaskawe
Jam wtedy czuł razem i miłość i sławę **).

---

*) Poeta ma tu na myśli Teresę hr. Guicciolli.

**) O wierszu tym pisze Byron w swym pamiętniku, w Pizie dnia 6 listopada, 1821 r.

„Strofy te (z wyjątkiem czwartej, dodanej obecnie) napisałem przed paru dniami na drodze pomiędzy Florencyą i Pizą“.

(Przyp. tłom.)

Stanze napisane do indyjskiéj melodyi *).

Osamotnione ty moje wezgłowie!
Gdzie jest mój luby? O! gdzie jest mój luby?
Czym w śnie łódź jego widziała —dla zguby
Kędyś na morskie rzuconą pustkowie?

Osamotnione ty moje wezgłowie!
Tu gdzie on leżał, ja konam z tęsknoty...
Jakże jest długą ta noc bez pieszczoty!
Głowa opada... jam martwa w połowie!

Smutne ty moje, samotne wezgłowie!
Za te łez zdroje bezsennych mych nocy
Ześlij sny lube i dodaj mi mocy;
Póki nie wróci — zachowaj mi zdrowie!

Wtedy samotnem nie będziesz wezgłowie!
Niech go znów w uścisk obejmą ramiona
I niech się życie z rozkoszy dokona!
Serce samotne! — Samotne wezgłowie!

Epigram **).

Na zgromadzenie bronzowników, które postanowiło wręczyć adres królowéj Karolinie.

Bronzownicy zdaje się właśnie nad tém radzą,
Że adres w miedź odziani od siebie podadzą...
Gdzie lord Harry—cóż po tym zbytecznym mozole...
Nie jednego tam ujrzę o miedzianém czole!

---

*) Wiersz ten został napisany przez poetę na krótko przed wyjazdem do Grecyi i stanowi tekst do indyjskiéj melodyi: „Alla Malla Punca", którą ze szczególnem upodobaniem śpiewała hr. Guiccioli. (*Przypisek tłómacza*).

**) Podanie adresu przez brązowników było jednym z najkomiczniejszych epizodów w skandalicznym procesie rozwodowym królowéj Karoliny. (*Przypisek tłómacza*).

Epigramaty na Castlereagh'a *).

O Castlereagh! — Tyś stał się patryotą.
Kato za kraj swój zginął, jak ty oto,
On zginął wprzód nim miał się Rzym zniesławić,
A tyś się zarznął, by kraj mógł się zbawić.

Więc Castlereagh się zarznął?... ach! dlaczego
On nierozpoczął od gardła swojego?

Więc on się zarznął przynajmniej! On! Kto?
Ten co tak długo męczył ziemię swą.

Przełożył z angielskiego
Władysław Nawrocki.



*) Castlareagh — wyrodny Irlandczyk, sekretarz do spraw irlandzkich — do końca życia swego, a nawet i po samobójczej śmierci był celem zgryźliwych epigramatów Byrona i Moore'a. (*Przypisek tłomacza*).

Arcydzieło neo-romantyzmu.



Edmond Rostand. „Cyrano de Bergerac“, comédie héroïque en cinq actes en vers. 182-e mille. Paris, librairie Charpentier et Fasquelle, 1899, p. 225.

Pięcioaktowa komedya bohaterska wierszem, *Cyrano de Bergerac*, przedstawioną była po raz pierwszy w paryskim teatrze *de la Porte Saint-Martin* dnia 28 grudnia 1897 r., i od téj daty, w ciągu kilkunastu miesięcy nie schodziła prawie z afisza, „budząc zachwyt i uwielbienie widzów”. Wydana w książce, „rozeszła się ona w olbrzymiéj, przez najpoczytniejsze powieści najpoczytniejszych autorów nieosiągniętéj liczbie — dwukroć stu tysięcy egzemplarzy”... Przytaczając te fakta, Włodzimierz Zagórski, jeden z pięciu tłomaczów „Cyrana” na język polski, mniema, że już sama ta statystyka świadczy o niepospolitéj wartości dzieła, albowiem — powiada — „jedynie tylko utwór znakomity i górujący nad całą literacką produkcyą chwili bieżącéj, przedewszystkiém zaś utwór, w którym społeczeństwo odczuje żywe tętno swojego ducha, a więc utwór posiadający wszelkie warunki arcydzieła, może osiągnąć powodzenie tak niezwykłe”...

Rozumowanie nie zupełnie jest ścisłém i przekonywającém. Historya literatury powszechnéj zna niemało zjawisk olbrzymiego doraźnego rozgłosu — bez trwałości dalszéj. Sławy szybkie szybko niekiedy przechodzą. W téj saméj chwili, kiedy Edmund Rostand

sprzedaje 200,000 egzemplarzy swego Cyrana, jego współrodak, Jerzy Ohnet, wydaje elukubracye powieściowe, rozchodzące się w 284,000 egzemplarzy, więc celniéj zapewne jeszcze trafia w żywe tętno ducha swoich współczesnych. Zdarzają się, i wcale nie rzadko — epoki tak wielkiego, tak głębokiego upadku pojęć i wyobrażeń, gustów, że wśród nich już nie tylko samopas puszczona kaczka prześcignie spętanego orła, lecz lada osioł dzielniéj i rozumniéj ryknie i bryknie od najwspanialszego lwa osadzonego w swém otoczeniu jak w klatce. Zagórski jest krytykiem zanadto wykształconym i doświadczonym, aby o tém nie wiedział; że zaś, obok tego, w danym wypadku, znakomicie się przyczynił wraz z Maryą Konopnicką, do uzyskania dla Cyrana nobilitacyi w piśmiennictwie naszém, tém samém przeto, udostępnił ogółowi polskiemu wniknięcie w istotną, wewnętrzną wartość komedyi Rostanda, niezależnie od mniéj lub więcéj szerokich i doniosłych jéj tryumfów zewnętrznych, najzwykléj przygodnych i jak wszelki bieżący stosunek idei do wymagań życia — zagadkowych, często nic zgoła nieokreślających.

Dzieło sztuki jest zawsze pewnym wyrównanym zlewkiem pierwiastków różnorodnych, — spiżem, który tém wymowniéj, tém dźwięczniéj do nas przemawia im aliaż w składowych swych częściach bogatszy, im skala tonów rozleglejsza, im ściśléj wiążą się one w całość harmonijną. Estetyczny ten ogólnik w bohaterskiéj komedyi Rostanda uplastycznia się nader obfitym zasobem owych zasadniczych, pierwiastkowych wiązanek, ale ich pełnia napięta stylowo, bardzo nieraz wysoko, nie do każdego ucha wpada doraźnie, nie w każdéj świadomości znajduje oddźwięk jasny, czysty, bezpośredni,—jak to spostrzedz możemy z zestawienia naczelnych motywów oryginału z odpowiedniemi ustępami czterech dotąd dokonanych przekładów polskich: Maryi Konopnickiéj i Włodzimierza Zagórskiego (Warszawa, nakład „Gazety Polskiéj", tomów dwa, 1898), Bolesława Londyńskiego (Warszawa, 1898, w drukarni Karpińskiego), Maryi Chwalibóg (Warszawa, 1899, w drukarni Noskowskiego) i Jana Kasprowicza (Lwów, 1899, nakładem dyrekcyi teatru hr. Skarbka).

Komedya — a właściwiéj dramat Rostanda, trzyma się w swéj wyniosłéj, wielopiętrowéj a wiotkiéj budowie realnością środkowéj swéj kolumny. Realizm to niezaprzeczenie książkowy, autobiograficznie-historyczny, ale w naszych uksiążkowionych czasach wywierać on zaczyna wrażenie większe, niż wysnuty z postrzeżeń życia bieżącego, współczesnego. Bądź co bądź, dobry to omen, że pomimo psychologii wyjątkowéj, wyszukanéj, bohater główny, Cyrano, nie wyrosł z głowy autora: postać to rzeczywista, wydobyta

i oczyszczona z archiwalnego kurzu piśmiennictwa francuskiego, jak nas pouczają pp. dr. Juliusz Bandrowski i Ludwik Heller w przedmowie do przekładu Kasprowicza. Savinien de Cyrano, ze szlacheckiego gniazda Bergerac'ów w Gaskonii, urodzony 6 marca 1619 r., wychowywał się do lat 13-tu życia na wsi, następnie w Paryżu i już na ławach szkolnych, gdzie zawarł ścisłą przyjaźń z Henrykiem Lebret'em, późniejszym wydawcą jego dzieł, odznaczał się nieumiarkowaną popędliwością do walki i bijatyki, do szukania zaczepek i przygód niezwykłych. Mając lat 18, opuścił collegium i zaciągnął się do licznego pocztu uczniów popularnego w owéj dobie filozofa sensualisty Gassendiego, poprzednika Locka. Za przykładem i namową Lebret'a, wstąpił w roku 1638 do kompanii gwardyi królewskiéj, zostającéj pod dowództwem i w części na żołdzie kapitana Carbon de Castel-Jaloux. Tu się zaczyna zawód, którego przebieg faktyczny stanowi dosłowną niemal treść sztuki Rostanda. Charakterystykę zawadyackich tych „kadetów" gaskońskich skreślił autor w scenie siódméj aktu drugiego, słowami Cyrana, podczas prezentacyi kompanii hrabiemu de Guiche, wpływowemu kuzynowi wszechwładnego kardynała Richelieu: „To są kadeci z Gaskonii Karbona de Kastel Żalu! Najpierwsi do łgarstwa i broni, — to są kadeci z Gaskonii... Szlachectwo im bije ze skroni, choć w każdym łotrzyków jest dwu, — to są kadeci z Gaskonii Karbona de Kastel Żalu. Chód czapli, wzrok orli się płoni, a zęby wystarczą i lwu: gdy wgryzą się w podłość, już po niéj! Chód czapli, wzrok orli się płoni, czupryna jak grzywa u koni, choć kołpak, że rzucić go psu! Chód czapli, wzrok orli się płoni, a zęby wystarczą i lwu. Wal—pyski, Pruj — brzuchy, tak oni z krwawego mianują się chrztu. Ich dusze skąpane w chwał toni, — Wal-pyski, Pruj-brzuchy, — to oni! Gdzie drą się i tłuką, tam goni z nich każdy jak wściekły, bez tchu. Wal-pyski, Pruj-brzuchy, tak oni z krwawego mianują się chrztu. Oto kadeci z Gaskonii, co budzą rogali ze snu. Kobietko! któż ciebie obroni? — oto kadeci z Gaskonii! Mąż w zęby z zazdrości niech dzwoni, — hej grajcie, śpiewajcie: ku! ku! — oto kadeci z Gaskonii, co budzą rogali ze snu"... Przytoczyliśmy tłómaczenie Kasprowicza; ale i inni nie dali sobie w kaszę nadmuchać. Spójrzmy np. na waryant Zagórskiego (strofka druga): „Wzrok orli, czapli chód, lwie kłaki, wąs rysi, głód wilczego kłu! W puch walą podły gmin wszelaki — wzrok orli, czapli chód, lwie kłaki. Ich kapelusze to przetaki, lecz za to chód od dyabłów stu! Wzrok orli, czapli chód, lwie kłaki, wąs rysi, głód wilczego kłu!" Drugiéj téj i trzeciéj zwrotki nie powstydzi się też i Marya Chwalibóg: „Orle oko, chód bociani,

rysie wąsy, wilczy ząb; biada temu kto ich gani, orle oko, chód bociani. Czapka w dziury, pióro na niéj, — jeden w drugi chłopak-dąb: orle oko, chód bociani, rysie wąsy, wilczy ząb. Wal-po-trąbie, Płataj-brzuchy, tak się oni słodko zwą. Sławy wiecznie żądne duchy, Wal-po-trąbie, Płataj-brzuchy! Gdzie się tłuką, biją zuchy, tam kadeci lecą ćmą. Wal-po-trąbie, Płataj-brzuchy! — tak się oni słodko zwą"... Dla porównania weźmy wreszcie czwartą zwrotkę oryginału i w przekładzie Londyńskiego:

Voici les cadets de Gascogne
Qui font cocus tous les jaloux!
O femme, adorable carogne,
Voici les cadets de Gascogne!
Que le vieil epoux se renfrogne:
Sonnez, clairons! chantez coucous!
Voici les cadets de Gascogne
Qui font cocus tous les jaloux!

Gaskońscy to kadeci są,
Więc stary mężu, precz co tchu!
Choć żonka jędza, skuszą ją;
Gaskońscy to kadeci są!
Fujarki, piosnkę grajcie swą,
Kukułko śpiewaj im ku-ku!
Gaskońscy to rycerze są
Więc z drogi im precz, precz co tchu!

Wśród hulaszczéj i zabijackiéj téj zgrai Cyrano odgrywa sam jeden wszystkie role, jakie stary Dumas przypisał sławnym niegdyś swoim trzem muszkieterom. Bije się z całemi tłumami jak Podbipięta Sienkiewicza, żga rożenkiem jak Wołodyjowski, prawi słodkie lub moralizatorskie słówka, o jakich się nie zamarzyło Skrzetuskiemu, a jest dowcipnym, jak u nas będą dopiero może praprawnuki Zagłoby, gdy grubą, kuchenną sól staropolskiego animuszu przetłuką na miałki, subtelny pyłek krasomówstwa ateńskiego i blagi paryskiéj... Niewielki dobrze namalowany portrecik francuskiego tego królika szermierki ręcznéj i językowéj, najskładniéj za autorem powtórzyła, z pierwszéj sceny pierwszego aktu, Marya Chwalibóg: „Za wzór go nie obierze, to rzecz niezawodna, muza pana de Champagne, poważna, łagodna: dziwaczny, nadzwyczajny, zuchwały, uparty, fantastyczny, gwałtowny, dziwne stroi żarty; ale byłaby z niego wielce ryba gruba dla nieboszczyka pana de Callot Jakóba, z którego pracowni nie wyszedł warchoł tak szalony: pióropusz ma potrojony, a płaszcz podniesiony z tyłu szpikulcem szpady jak ogon koguta,

kaftan o sześciu połach, — przytem taka buta, że wszystkich tych zuchwalców, których Gaskonia matka od wiek wieków rodzi, — on o sążeń przechodzi. Głowę otacza kryza, a na twarzy przedzie wiedzie on nos przed sobą... ach, jaki nos wiedzie. O, kto spotka takiego nosa nosiciela, ten musi wydać okrzyk: „panie, to zawiele!" — a potem: „on go zdejmie niebawem!" — Tak, ale pan de Bergerac nosa nie zdejmuje wcale"... Ten nos bergeracowski jest również autentycznie historycznym, przynajmniéj tak zapewniają pp. Juliusz Bandrowski i Ludwik Heller, on był sprawcą niemal wszystkich awantur prawdziwego Cyrana, on jest najwalniejszą dźwignią i najmocniejszą sprężyną nieskończenie ruchliwéj akcyi w dramacie Rostanda. Za ułomnością fizyczną szła w Cyranie pewna, — jak na jego czasy za rzadka, zbytnio wygórowana nadczuła wrażliwość obyczajowo-moralna. Ten rubacha i rębajło, siejący jak z rękawa rymowane policzki, stawał się tkliwym, nieśmiałym, delikatnym, bojaźliwym idealistą platonikiem wobec płci słabéj, pięknéj. Nos poskramiał krewkość jego temperamentu w sprawach galanteryi powszedniéj, — natomiast wzniecał burze nieukrócone, zawzięte, ilekroć ktokolwiek z męzkiéj połowy rodzaju ludzkiego zawadził o tę niewinną narość na twarzy — zupełnie naturalną i nawet pospolitą zapewne jak na Gaskonię i południowy jéj klimat, lecz cokolwiek być może za pokaźną i poważną w Paryżu i w północnéj Francyi. Wówczas Bergerac'a do żywego bodły nie tylko umyślne do jego nosa przytyki, lecz nawet mimowolne w tę s t r o n ę spojrzenia przeciwników. Zapalał się wraz jak proch, wygłaszał szorstkie admonicye ofiarom swym, skazanym bądź na śmierć, bądź na ciosy tylko— i zaraz brał się do operacyi. „Płazie, płaskołbie, ścinku niedołężny!— (woła np. do pacholika, który w teatrze zagadnął go ni w pięć ni w dziewięć) — wiedz, że się szczycę wypukłością taką! Wielki nos bowiem, czémże jest? — oznaką serca, dobroci, grzeczności, słodyczy, swobody, męstwa, — a dziczy równie hultajskiéj jak ty — nie przystoi... Próżno dłoń moja na téj pyzie twojéj (uderza go w twarz) rada znaleźć polot, okazałość, liryzm, kunszt, iskrę i nos — jako całość... (Odwraca go tyłem i zarządza wspaniałe kopnięcie nogą)... Ciesz się, że but mój coś z ciebie o c h a p i e... (Pacholik zmyka, wołając: „ratunku, ludzie!" — a Bergerac zwraca się do tłumu): — Dowiedźcież się, gapie, że ktobądź dworuje ze środka méj twarzy, jeżeli szlachcic to wnet go oparzy — zanim w sromocie zapragnie dać nura — z przodu i wyżéj, — ż e l a z o n i e s k ó r a"... (według tłómaczenia B. Londyńskiego).

Ma się rozumieć — na nosie i na szabli zadzierzga się też główny supeł intrygi. Na przedstawieniu, zerwaném przez Cyrana z powodu urazy do głównego aktora trupy królewskiéj Jakóba Montfleury (i ten także szczegół — historyczny), znajduje się hrabia de Guiche i jego dworzanin wice-hrabia de Valvert, za którego w nieskromnych widokach osobistych de Guiche pragnie wydać przepiękną Roksanę, kuzynkę Bergerac'a, przedmiot kryjomych jego zachwytów, niebotycznych westchnień, poetyckich metafor. Podniecony przez Guicha, Valvert zbliża się do Bergerac'a i mówi mu wprost, bez ogródki i zachodu: — „Waść masz nos wielki... bardzo wielki"... — „Ścisłyś, młokosie, — odpiera Bergerac — możnaby podać rzecz w obfitszym sosie" — i po wygłoszeniu cyklopio-pracowitéj, rozpaczliwie długiéj i uciążliwéj tyrady na temat, w jakichby to barwach należało mówić o nosie, — 1) zaczepnie, 2) przyjaźnie, 3) malowniczo, 4) ze zdumieniem, 5) wdzięcznie, 6) drażliwie, 7) ostrzegawczo, 8) czule, 9) uczenie, 10) roztropnie, 11) przesadnie, 12) tragicznie, 13) z uznaniem, 14) z podziwem, 15) lirycznie, 16) po wiejsku, 17) po wojskowemu, 18) praktycznie, 19) klasycznie...—Bergerac zniewala w końcu Valverta do wydobycia szpady. Że zaś, jak wiemy, Cyrano nasz garbuje skórę i płata figle nie gorzéj od obecnego przy zajściu d'Artagnana i bawiącego chwilowo na Litwie Kmicica razem wziętych, jednocześnie zaś szafuje końcówkami chyżéj, niż kiedykolwiek Dumas lub Sienkiewicz szafowali prozą, — przeto z góry zapowiada Valvertowi, w co go naniże na swój rożenek, i kiedy mianowicie, co do sekundy, cios śmiertelny mu zada. Dla obu celów służy zaimprowizowana ballada, którą Bergerac wygłasza do wtóru z gestami, cięciami i obrotami rozpoczynającego się pojedynku. Kunsztowne, lilipucie to cacko poetyckie przetłumaczone zostało na wszystkie żyjące języki i znane jest dziś na całéj powierzchni kuli ziemskiéj; nie weźmie przeto czytelnik za złe, gdy je w pięciu chociaż tylko odmiankach przepiszemy dla „Ateneum".

Wł. Zagórski: „Pełnym wdzięku ruchem dłoni rzucam moje w kąt manatki, i płaszcz zwlekam, co mię słoni, i... dobywam mojéj szpadki. Grzeczny, lekki, zwinny, gładki, trwam, mój Aść, przy słowach mych, że przy końcu méj balladki tym szpikulcem dam ci sztych! Sam bies aści nie ochroni, choć mam kłopot iście rzadki, jaki cel wziąć dla méj broni: brzuch, czy serce téj dzierlatki?... Sieje broń ma skrawe płatki, niby roje muszek pstrych, ach tak! — z końcem méj balladki w brzuszek dam Waszmości sztych. Tu mi rymu brak na o n i; waść pobladłeś jak opłatki, bym mógł rzec: ha, w piętkę goni!... Czach!... odbiłem sztych w przysiadki, i rznę młyńca

wprost z paradki, gładko, równo jak pod sztrych!... Czuj duch! idzie kres balladki, a przy końcu będzie sztych!... Módl się waszeć!... Idą jatki, za spełniony żałuj grzech; prima!... tercya!... kres balladki... Tusz!... Mówiłem, będzie sztych"... Bol. Londyński: „Z wdziękiem pilśń odrzucam precz, teraz zdjąwszy płaszcz powoli, jako tu zbyteczną rzecz, ciągnę szpadkę, starciu gwoli, w Scaramuccia skocznéj roli, jak Celadon staję w słup... Mirmidonku, strzeż swéj doli, bo w przesłance będzie trup! Trusią byłeś, teraz skrzecz! Gdzie szpikować wskaż mi koléj, czy pod pasek wtłoczyć miecz, czy jendorek w serce woli? Mój cios — muszka, nie zaboli... Szpadki grają: ciup, ciup, ciup! To głos dzwonu, on wyzwoli, bo w przesłance będzie trup! Cóż, że rymu brak na ecz! — bielszym jesteś waść od soli. Tchórzu! musisz runąć wstecz. Gdzie twój spryt, gdzie mózgu oléj? Pilnuj szpady, werwy doléj! Wiatrak, kwinta — szkoda prób! Larydona mgła okoli, ciach! — w przesłance będzie trup! Módl się, giniesz mimowoli! Nogi w kwartę, siły skup!... Z grobem podstęp cię zespoli... Tu cię mam! — W przesłance trup!" Jan Kasprowicz: „Z gracyą zrywam pilśń z mych skroni i powoli płaszcz ten złożę, który ciało moje słoni. Dobyć szpady się nie trwożę! Nic ci tu już nie pomoże, karłowaty mój rarogu! Zwinny, zręczny w każdéj porze, ja-ć dogodzę w epilogu... Pocoś ciekaw mojéj broni? Gdzież cię nadziać mój jędorze? W bok cię zmacać, aż zadzwoni moja stalka w tym ferworze? Lub pod wstęgę, w serce może? Wiem już, wiem już — dzięki Bogu! Patrz jak macham!... brzuch otworzę, dogadzając w epilogu. Tu mi rymu brak na oni... Zbladło twoje liczko hoże, bym mógł rzec, iż tchórz przegoni twą odwagę... Na złym-ś torze: z parowaniem się nie dożę — brzęk! i jesteś w kozim rogu! Trzymaj pręcik swój, potworze, boć dogodzę w epilogu! „Panie w niebie, ja ć się korzę," — tak się skrusz u Jego progu... Kwarta!... finta!...—Masz, nieboże!... Dogodziłem w epilogu". Marya Chwalibóg: „Wionął mi kapelusz z czoła, gładko płynie wiersz ballady i płaszcz zsunął się dokoła, więc dobywam mojéj szpady, grzeczny, zwinny, pełen swady. Dowiedz się, mój dudku-wrogu, któryś ze mną szukał zwady, że cię zmacam w epilogu. Po co wtykać palce w koła? — teraz nie ma na to rady, że cię moja szpada goła naszpikuje do nasady. Wstęgi, taśmy i zakłady na twem sercu, mój rarogu? — by ukarać twe brawady, w brzuch cię trafię w epilogu... W tem mi przepadł rym na oła, aleś ty jak płótno blady, bym mógł rzec, że tchórz dokoła cię obleciał, — szepcąc rady... Brzęk! paruję twoje zdrady, gdy już jesteś w kozim rogu. Wzywaj Marsa lub Pallady, lecz cię zmacam w epilogu... Idzie chwila twéj zagłady, mości

panie, zleć się Bogu! Finta, sztyszek dla parady... Tusz!... Ot koniec epilogu!" Edmund Rostand: „Je jette avec grâce mon feutre, je fais lentement l'abandon du grand manteau qui me calfeutre, et je tire mon espedan; elégant comme Céladon, agile comme Scaramouche, je vous préviens, cher Mirmydon, qu'à la fin de l'envoi je touche. Vous auriez bien dû rester neutre; où vais-je vous larder, dindon?... — dans le flanc, sous votre maheutre? au coeur, sous votre bleu cordon?... — Les coquilles tintent, ding-don! — ma pointe voltige: une mouche! Décidément... c'est au bedon, qu'à la fin de l'envoi, je touche. Il me manque une rime en eutre... Vous rompez, plus blanc qu'amidon? C'est pour me fournir le mot pleutre! — Tac! je pare la pointe dont vous espériez me faire don;—j'ouvre la ligne,— je la bouche... Tiens bien ta broche, Laridon! A la fin de l'envoi, je touche. Prince, demande à Dieu pardon! Je quarte du pied, j'escarmouche, je coupe, je feinte... Hé! là donc... à la fin de l'envoi, je touche".

Przepięknie, przewytwornie. Wszelakoż, nie warto byłoby brudzić stalki w kałamarzu, gdyby wszystkie takie wysilenia ozdobniczo-złotnicze, rzeźbiarskie, koronkarskie, zacierające granice między sztuką a sztuczką i sztucznością, wytrzaskać się i wybłyskać miały na owe eleganckie ciup-ciup-ciup i ciach-ciach-ciach pięści, klingi lub fantazyi. Bizantynizm nie przestaje wprawdzie być bizantynizmem, czy wyhaftujesz na jego krosienkach chustkę do nosa, podwiązkę, chorągiew bojową lub ornat; wyznajemy jednak, że u Rostanda wolimy ornat, niż chustkę. Tymczasem, oto jest jeszcze akt trzeci: pocałunek Roksany. Otrzymuje go, — ów pocałunek, czyli, według boskiego przekładu Konopnickiéj, ów

malcńki ust zadatek na serca rachunek,
punkt różowy po słowie kocham postawiony,
sekret luby nie uchu lecz ustom zwierzony;
moment wieczności, który brzęczy niby pszczoła,
komunia lilii białéj z ust wzięta anioła,
sposób, by dyszeć chwilkę słodką serca wonią,
i pokosztować duszy z warg, co ci się kłonią —

otrzymuje ten pocałunek najmłodszy z kadetów gaskońskich, Chrystyan de Neuvillette, którego, na prośbę Roksany, Cyrano bierze pod swoją protekcyę, pisuje za niego, w jego imieniu i na jego dobro miłosne listy do kochanki, w chwili zaś stanowczéj, gdy przychodzi do deklaracyi ustnéj, chowa się w cieniach nocy pod balkonem ukochanéj kochanki i z po za pleców Chrystyana, wciąż za niego i dla niego składa wyznanie miłości,—rozkoszne sam na sam,—powiadając do siebie, na

odgłos „maleńkiego ust zadatku”, spływającego z balkonu: „Aj, jak w sercu kole! Otom Łazarz zgłodniały przy bogacza stole... Lecz i mnie okruszyna z stołu tego spada... Tak... I Łazarz w téj uczcie cząstkę swą posiada, — bo wszak na jego ustach Roksana całuje moje słowa, moją duszę... Ja to wiem... ja czuję”... Spieszymy dodać, dla osłodzenia goryczy wszelkich na świecie nochalów, mańkutów, kulasów, garbusków, ślepych Pawłów i głuchych Gawłów, że bez porównania większa jeszcze okruszyna spadła... na czoło Cyrana w kilkanaście lat później, kiedy już Chrystyan de Neuvillette zginął na wojnie, pod Arras, unosząc z sobą jedynie pomieniony przed chwilą „zadatek” (chociaż historycznego dowodu na to nie ma, misterna zaś kombinacya Rostanda o efektach wodewilowych nie składa przekonywającéj pod téj względem rękojmi), — kiedy Roksanie, pędzącéj żywot klasztorny, jeszcze nie stary i po dawnemu jary pan Bergerac przynosił co tydzień, o jednéj najregularniéj dnia porze, wieści ze świata, ze stolicy, ze dworu królewskiego, jak to „dziewiętnastego, w sobotę, król objedzion zbytnio powidłami, dostał gorączki; dwoma lancetu cięciami uśmierzono ją przecież, i chociaż źle z głową, najjaśniejszy puls znowu bije prawidłowo; u królowéj na balu, spalono w niedzielę siedmset sześćdziesiąt cztery pochodnie; don-Juan austryacki pobity nareszcie, czterech czarnoksiężników powieszono w mieście, pieskowi pani d'Athis lewatywę dano... — we środę hrabiemu de Fiesque powiedziała zmienna Monglat: nie; czwartek, bal u kardynała, młody król do północy brał udział w zabawie, — piękna Mancini Francyi królową, lub prawie; w piątek znowu: tak — rzekła Monglat do hrabiego; a w sobotę”... (tłóm. Zagórskiego).

Co się stało w ostatnią sobotę, opiewają to nam, na podstawie świadectw historycznych, pp. dr. Juliusz Bandrowski i Ludwik Heller. Nie tyle wskutek nadwątlonego zdrowia i ciężkiéj rany, otrzymanéj pod Arras, ile z zamiłowania do nauk, porzucił Cyrano tak chlubnie rozpoczętą karyerę wojskową. Nie zmniejszyło to jednak jego niepowściągliwéj żądzy walki, którą teraz przeniósł głównie na pole stosunków literacko-towarzyskich. Codzień prawie miał jakiś pojedynek, a jeśli liczba zatargów zwolna się zmniejszała, to nie tyle z jego przyczyny, jak raczéj z powodu coraz mniejszéj liczby przeciwników, których na wodzy trzymała jego sława jako nieustraszonego i niezwyciężonego... Z pomocą nieustannych studyów i różnorodnéj działalności autorskiéj zdobył obszerną i gruntowną wiedzę, szczególniéj w zakresie filozofii i nauk przyrodniczych. Poetą-publicystą czyniła go żywa, silna, śmiała, czasami dzika jego wyobraźnia. Nie mógł dla niéj znaleźć dość wyrazu w szczególnych pomy-

słach, wyskokach myśli, jako też w dziwacznych obrazach i porównaniach. Jednakże, rzutka, odważna myśl i bezwzględna miłość prawdy wieje ze wszystkiego co pisał... Mimo ubóstwa, w czasie gdy każdy trzymał się tylko klamki pańskiéj, nie brakło mu przyjaciół, którzy nad nim czuwali, — nie brakło i współczucia, „szczególniéj ze strony jego pięknéj krewnéj Magdaleny Robineau, baronowéj z Neuvillette (Roksany), która po bohaterskim zgonie swego męża (Chrystyana), przyoblekła szaty zakonne". Ale nie brakło też panu Bergerac'owi i wrogów zawistnych... „Pewnego dnia, gdy wracał do domu, przypadkiem czy też umyślnie rzucona, spadła mu na głowę ciężka kłoda; odniósł wskutek tego śmiertelną ranę, któréj już uledz musiał"... Było to późną jesienią 1665 r., w sobotę...

W sobotę, jak zwykle, czekano w klasztorze na przybycie Cyrana i jego „gazetki"... Słychać zegar bijący godzinę. Roksana czémprędzéj zasiada w parku klasztornym do krosienek, na które, zmieszana, spuszcza swe oczy: ni razu jeszcze od zgonu męża nie podniosła ich na Cyrana. Jesień. Dużo cienia wśród wspaniałych alei i chodników, wijących się dokoła kaplicy, widniejącéj z pośród gałęzi. Wszystkie krzewy, po nad świeżymi zielonymi trawnikami, są poczerwieniałe. Ciemne plamy bukszpanów i cisów mocno odbijają na tle grubego kobierca zżółkłych pod niemi liści, do połowy zaścielają taras i ławki... Streszczamy tu daléj Kasprowicza:

Roksana (sama) Gdzież moje motki?... Wybiła godzina... A!... jakto?... więc mój przyjaciel spóźniać się zaczyna?... To mu się nie zdarza... Eh, snadź siostra-furtyana... gdzież znowu ten naparstek?... z nim się przekomarza... Tak z pewnością! — on przecież spóźnić się nie może... liść zwiędły?... (strąca palcami liść spadły na krosna). Zresztą... a gdzież są, ach mój Boże, nożyczki?... prawda, w worku... Lecz, czyliżby miano rzeczywiście mu przeszkodzić?... A?... *Jedna z sióstr* (zjawiając się na tarasie): Pan Cyrano! (Ukazuje się Cyrano, bardzo blady, w kapeluszu głęboko naciśniętym na czoło i po odejściu siostry, która go przyprowadziła, zaczyna schodzić z tarasu, powoli, z widocznem wysileniem, aby się utrzymać prosto, opierając się na lasce). *Roksana* (haftując daléj, do siebie) O czémże to mówiłam?... Te zblakłe kolory! — jakby je tu odświeżyć? — Stare, piękne wzory!... (zwraca się do Cyrana, w tonie przyjacielskiéj wymówki)...

Tak jest, — powiedzmy to nareszcie od siebie — tak jest, tym razem to co innego. Rozmowy te przedśmiertne Cyrana z Roksaną, te zakonnice, milknące z przerażenia na widok nadludzko stłumionych bólów śmierci i kochania, ten list Chrystyana z kroplami krwi i łez, od

lat tylu noszony na wdowiéj piersi kobiety i do odczytania dany wielbicielowi-poecie, dopiero gdy dogorywa; czytanie to, wśród coraz gęściéj sypiących się liści jesiennych i zapadającego nocnego mroku,— na głos: „Roksano, bądź zdrowa, mnie umrzeć sądzono — dziś, pod wieczór zapewne, a choć niewysłowioną miłością wzbiera serce rzewne, ja umrzeć muszę, i nigdy już, nigdy z upojenia od twych słów, skinień, uśmiechów, słodkiego wejrzenia, co w błękit niosą zachwyconą duszę, całować cię nie będę pragnienia oczyma, które drżąc i płonąc w twoich, płaczą gdy cię niema"; te zmartwychwstające nad krawędzią grobu wspomnienia zatajonych tęsknot, zaginionych snów, ta w ciemnościach świtająca świadomość przeznaczeń złamanych niepowrotnie, ten okrzyk zbudzonego z letargu niewieściego przeczucia, które naraz widzi, czyja krew naprawdę, łza czyja spoczęła na zbutwiałym liście, to omdlałe, gasnącym wargom odmawiające posłuszeństwa zaparcie się jego: „łza moja, krew Chrystyana",— tak zaiste, niewątpliwie, to już zupełnie tym razem co innego. Obecnie to już nie piramida tryoletów z ciastek lub podsłonecznych kopnięć nogą, — to rzetelny poemat nieśmiertelnych wzlotów ludzkiego ducha ku przyszłości, która teraz, w epilogu, przy zamknięciu obrachunków Cyrana z życiem, w tym jego ostatnim pojedynku z wrogiem „płaskonosym" — z widmem nadchodzącéj śmierci i jéj wiernych ziemskich służek, pochlebstwa, przeniewierstwa, podłości, zdrady, — sieje istotnie szekspirowskie, — archanielskie niemal błyski: — „Zdaje mi się, że spoziera... że z ukosa na mój nos... śmie patrzeć, ta beznosa! (Dobywa szpady). Co po-wia-dasz?... — że bez celu?... że mój kres już teraz blizki?... żeś nie sama, że was wielu?...- - Phi, gościniec ten mój ślizki znam od dziecka. Nic nie wskóra tu zdradziecka z losem zgoda... Tyłu nigdy duch nie poda! Tem wspanialsza wyjścia brama, że nadzieja w niéj zamiera!... (Tnie). Masz podstępie — to za chamstwo!... Masz przesądzie — to za zyski!... A? i ty tu, stare kłamstwo?... twój, obłudo, wzrok padalczy? (tnie).. twoja, nędzo, twarz ponura?. . twój, głupoto, pokłon nizki?... (słania się). — Nie! nie ginie świat gdy walczy! (pada)"...

Co za szkoda, że jeden, choćby stropowy słup, gmachu nie tworzy, ani szczyt, choćby najwyżéj podniebny, za pełne i całe arcydzieło nie starczy! Może zresztą sama ta wyniosłość stropów i dachu w utworze Rostanda narzuca nam złudne wrażenie, jakoby podwaliny w komedyi téj czy w tym dramacie wspierały się na figlarnych podpórkach z młynków, które Cyrano dla parady zadaje innym, i z prztyczków, które sam, przy pierwszéj znajomości otrzymuje od Chrystyana, — i jak gdyby zamiast ścian były tu tylko karmelkowo

rymowane rusztowania, — gatunek muru pruskiego, wypchanego jedwabnemi słówkami bilecików miłosnych, splecionemi po offenbachowsku obchodami zaślubin małżeńskich, lub przepisami z „kucharki litewskiéj": jak się w gospodzie poetów robią liry z konfitur i kremy mazgajskie (w tłómaczeniu B. Londyńskiego):

Ubij kilka w swą kopiankę
Jaj na piankę,
Zaś do pianki téj
Cytrowy sok wolniusienieczko
Wléj,
I słodkie migdałowe mleczko.

Ciasta zwykłych bab kawałek
Weź pod wałek
I na cząstki krusz.
Zaś brzeżki ich ostrożnie wielce
Złóż...

Oczywiście — na widelce. Potrzebne to wszystko — powiadają nam — dla zaznaczenia znamiennych rysów XVII stulecia. Ale kto tam, gdzie i kiedy słyszał u nas o tym XVII wieku we Francyi. W gzemsach dekoracyjnych, w giętych i łamanych *à la rococo* liniach ornamentyki utworu, jużcić czuje się niejaka różnica z romantyką głośnéj niegdyś w ciągu kwartału „Córki Rolanda" i rozchwytywanego przez jeden sezon zimowy „Człowieka, który się śmieje". Kilka esów i floresów, rozwieszonych dokoła postaci Cyrana, zdają się nieźle trzymać jego koguciego płaszczyka, ale i to jedynie dla tego, że część ich spora wysnutą została z jego podmiotowości, z jego jaźwi i forsownie uprzedmiotowiona, ba! — uscenizowana nawet. Pomysł może szczęśliwy, ale wykonanie doszczętnie niekiedy chybione. Cyrano np. miał pisać, czy też napisał, między innemi, „Podróż na księżyc". Gdyby Rostand z pustego tego kapelusza chciał był wyciągnąć wstążkę, no, to jeszcze; ale wywlec kropidło, kapucyna, kościół, morze, niedzwiedzicę wielką... — nie, to przechodzi nawet p. Rybki siły. Idzie o to, aby hrabiemu de Guiche zagrodzić drogę do mieszkania Roksany w czasie obrzędu zaręczyn jéj czy téż ślubu z Chrystyanem, a wpuścić go akurat wtedy i po to, aby s k u t k o m ceremonii w porę zapobiedz. Autor każe swemu bohaterowi wskakiwać na drzewo przed pałacykiem uroczéj kuzynki—i w chwili nadejścia de Guiche'a spadać przed nim plackiem na ziemię, u progu. Poczém, dla zabawienia natrętnego gościa, Cyrano urządza gadanie o tém, jak z księżyca runął — i jak się wpierw dostał był na księżyc. Jest sześć — na to drugie — sposobów. *Primo*, „mogę nagi,

jak turecki święty, uzbroiwszy się w flaszki pełne srebrnéj rosy, którą w majowy ranek spłakały niebiosy, wyjść na żar słońca, iżby potężną swą siłą ssąc rosę i mnie z rosą wessało, wypiło... *Secundo*, mogę — mechanik tęgi, jak się patrzy — grzbiet szarańczy, o cynglach ze stali, dosiadłszy, strzał po strzale z saletry dając, użyć jazdy po tych błękitnych błoniach, gdzie się pasą gwiazdy... *Tertio*, i z dymem mogę, co rwie się do góry, zamknąwszy go w glob mocny, zerwać się pod chmury"... Dzięki potędze odtwórczego talentu Konopnickiéj daje się to czytać — i z przyjemnością. Ale trzebaby połknąć całego Michelet'a wraz z olbrzymią jego „Historyą Francyi", ażeby się dowiedzieć, czy mógł być kiedykolwiek nad Sekwaną — już nie książe krwi królewskiéj, lecz prosty tragarz, co by się dał wziąć komu na takie bajanie, na taki kawał.

Bezwątpienia, wyjątek reguły nie stanowi. Są w sztuce Rostanda godniejsze, poważniejsze wzory objektywizacyi estetycznéj i psychologicznéj. W obrębie sposobów elementarno-illustracyjnych, wcale niepoślednie miejsce zajmuje u niego nuta lokalnego patryotyzmu francuskiego, ujętego w dziejowe ramy okresu, który do niedawna jeszcze nie cieszył się bynajmniéj sympatyą publiczności europejskiéj. Jak wiadomo, pogodzono się nieco z wiekiem XVII u nas i na Zachodzie dopiero w ostatnich czasach, odkiedy, w następstwie kilku prac specyalnych, przekonano się dowodniéj, że epoka owa, frondystowska nie w jednym tylko, wstecznym sensie, była, obok tego, jakby zaraniem, jakby zawczesną, przedzimową orką dla zasad i kierunków, których rozkwit i plon pierwszy tak wybujał późniéj, w wielkim przełomie z końca wieku XVIII. Owionęło i Cyrana parę ziarnek z téj siejby przednówkowéj. Nie wielki z nich jednak dla nas pożytek. Warunki etnograficzne i cywilizacyjne, odmienne nieco we Francyi, niż gdzieindziéj, tudzież skutki polityczne, zupełnie, inne w ojczyźnie Bergerac'a niźli w ojczyźnie np. Zagłoby, sprawiły, że o ile na punkcie owego kolorytu lokalnego, raz po raz w utworze Rostanda występującego na wierzch soczystemi plamkami archaizmów, Francuz słusznie utrzymywać może, że w nowem dziele pozyskał pełen blasków okaz realizmu historycznego, o tyle znowu dla nas, dla postronnych, blaski te wszystkie dziwnie jakoś zdają się maleć i zasępiać obcością szarą, niepoddającą się najmisterniejszéj próbie przyswojenia. Ten, co przygody Cyrana przebiega lotnym wzrokiem, myślą, ominie szkopuł, przeinaczy to i owo i z pomocą współczującéj wyobraźni, w duszy resztę dośpiewa; ale najsprawniejsza dykcya artystyczna, utknie chyba z niemocy na deskach teatral-

nych w takich nawet prześlicznych miejscach, jak scena aktu czwartego, gdzie Cyrano, ku pociesze i pokrzepieniu towarzyszów broni, umierających z głodu pod Arras, każe staremu lutniście grać dla nich melodye ojczyste, langwedockie, i woła (w języku Kasprowicza), wskazując na grajka:

Słuchajcie, Gaskończycy! to nie gwizd bojowy
Wytryska mu z pod palców, to fletnia dąbrowy.
To nie jest poświst walki. To łagodny, świeży
Odgłos prostéj fujarki tych naszych pasterzy.
Słuchajcie! to doliny, stepy, las, zagony,
Pastuszek ogorzały w czapeczce czerwonej.
To łąki, które wodą swą Dordonia zrasza —
Słuchajcie Gaskończycy, to Gaskonia nasza.

Libretto zaznacza w tem miejscu, że wszyscy pochylili głowy, wszyscy ukradkiem ocierają łzy rękawem albo połą płaszcza. Konia z chomontem aktorowi we Lwowie, w Łodzi, w Wilnie lub Warszawie, co odgłosem téj fletni gaskońskiéj, widokiem téj czapeczki czerwonéj, rozrzewnićby zdołał — siebie lub słuchacza — choć do stopnia, przy którym zażycie tabaki stałoby się — albo potrzebnem, albo też zbytecznem...

Łatka naszym poetom. Nie tym, broń Boże, których nieco za tłumnie ściągnęło świetne widowisko w teatrze de la Porte-Saint-Martin w Paryżu, — gdyż ostatecznie, (cokolwiekby głupi krytyk wydłubał tam sobie z Cyranowego nosa, — a jest z czego! — utwór Rostanda nie przestanie być dziełem wykwintném, w dobrym smaku i wpływowém, jako od początku do końca utrzymane na stosunkowo wysokim poziomie utalentowanych, a uczciwie pojętych zadań i obowiązków pisarza, myśliciela, przewodnika swojego społeczeństwa. Przestroga dotyczy pozostałych — i tych *à venir*. Bo czyliż dziś trzeba perswadować swoim, że z wyjątkiem twórczości i mitologii ludowéj, gminnéj, zawierającéj w sobie skarby stwardniałych, skrystalizowanych, kopalnych wzruszeń i rzutów ducha człowieczego w zaświat — to jest, względnie do stacyi wyjścia, w stronę przyszłości; tudzież, z wyjątkiem takichże, ale już na tegoczesną modłę skoncentrowanych w sobie prądów myśli, uczucia, woli i wyobraźni, — prądów zagarniających i utowarzyszających całą rodzinę ludzką ku skierowaniu, wspólnemi usiłowaniami, wspólnym geniuszem, niemych we wszechświecie, ciemnych, bezdusznych potęg przyrody fizycznéj na drogi upragnionych, uprawnionych i uświadomionych dążności do ładu, prawdy, sprawiedliwości i powszechnie a nieśmier-

telnie trwałego szczęścia, — z wyjątkiem, powiadamy, tych dwu dziedzin, poezya polska, — po Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim, po Goszczyńskim, Zaleskim, Lenartowiczu, Syrokomli, Ujejskim, Asnyku — u żadnych postronnych i efemerycznych źródeł natchnienia zapożyczać się nie potrzebuje — i być może — nie powinna.

Kazimierz Włostowski.



Unia kobiet chrześciańskich

w Anglii.

Czy dobroczynność jest znamieniem mądrości społecznéj, stanowi to jedną z kwestyi spornych, zaprzątających umysły socyologów, kwestyą zyskującą na doniosłości w miarę, jak ludzkość rozrasta się i ciasno się robi w staréj Europie, jak warunki bytu stają się trudniejsze, walka o chléb powszedni sroższą, jak tysiączne zakłady dobroczynności obarczają ogół niemałym ciężarem. Podnoszą się głosy, wśród których najgłośniéj grzmi apostół skrajnego indywidualizmu, Nietzsche, prorokujące zgubne następstwa systematycznéj i rozgałęzionéj dobroczynności. Wszelako społeczeństwa rozstrzygnęły tę kwestyę zgodnie z duchem chrystyanizmu, a przedewszystkiém zgodnie z przyrodzonym, humanitarnym popędem, który nie pozwala człowiekowi zamknąć oczu na niedolę bliźniego, odwrócić się obojętnie od nieszczęścia, które może dotknąć jego samego I niby jak prostaczek, zapychający szpary lepianki swéj chrustem i gliną, ludzkość poczyna sobie z gmachami społecznemi, głucha na wywody teoretyków, którzy muszą mozolnie zaszczepiać swe poglądy w organizm społeczny, oddziaływać silnie na umysł zbiorowy i wywalczać dla swych dogmatów prawa obywatelskie.

We wszystkich zbiorowiskach cywilizowanych panuje wiara w zbawienny skutek zorganizowanéj dobroczynności, lubo nikt bodaj nie łudzi się, aby jałmużna była radykalnym środkiem leczniczym na pauperyzm. I z tego źródła wiary wyłaniały się coraz to nowe i inne instytucye i towarzystwa, częścią upaństwowiane, częścią spoczywające wprost na barkach ogółu tak, iż dzisiaj jesteśmy świadkami ogromnego wzrostu takich związków i już samo wyszczególnienie kategoryi, na jakie rozpadają się, zajęło-by kilka stronnic.

Zanim jeszcze człowiek przyjdzie na świat, już społeczeństwo gotuje mu przyjęcie, otaczając opieką matki. Czuwa ono nad niemowlęciem, przygarnia podrzutka, troska się o wyrostka, by nie przeciążano go pracą, i nie spuszcza go z oka, gdy doszedł do pełni sił i zajął stanowisko. Jak w zaraniu, tak i w zimie życia jest on przedmiotem troskliwości ogółu. Chorzy, rekonwalescenci, nędzarze, wyjątkową dotknięci biédą ludzie, potrzebujący opieki lub informacyi, wydziedziczeni, nawet zbrodniarze odbierają pomoc z jego ręki. Wreszcie społeczeństwo usiłuje zapobiedz złemu wszelakiéj natury. Jakoż na każdym kroku odkrywamy objawy bujnéj wegetacyi miłosierdzia.

Wiadomo powszechnie, że W. Brytania wyprzedziła inne kraje w tym kierunku. Już w zeszłém stuleciu gorliwie zajmowano się bytem warstw nieuprzywilejowanych, jak świadczą o tem między innemi uwagi ks. Izabelli Czartoryskiéj z r. 1789 w jéj pamiętniku, znanym niestety tylko ze skąpych cytat. W roku 1815 wydawała Anglia sama 16 milionów f. szt. rocznie wyłącznie na utrzymanie ubogich, czyli trzecią część budżetu zjednoczonego królestwa. W dalszym ciągu ustawodawstwo borykało się z nędzą nieustannie; bardzo wysoki podatek na ubogich t. z. *poor-tax* wpływa do skarbu państwa na domy robocze t. z. *work-houses*. Niezależnie od tego społeczeństwo wydaje sumy, z pewnością przewyższające kilkakrotnie *poor-taxes*, na szpitale, przytuliska, ochronki, szkółki, łaźnie, czytelnie bezpłatne, sale koncertowe, biura informacyjne i stręczące pracę oraz tyle innych instytucyi, które na ziemi angielskiéj istnieją jedynie dzięki inicyatywie prywatnéj i dobrowolnym składkom.

Fakt ten wyda się naturalnym, jeśli weźmiemy na uwagę liczbę gęsto zamieszkałéj ludności i dobrobyt, atoli zastanawia, gdy zważymy, że ma on miejsce w kraju, gdzie indywidualizm i *self-help* zapuściły głęboko korzenie, gdzie niby na progu dantejskiego piekła rozsiadł się cerber egoizmu, *fiera crudele e diversa*.

Skutkiem tego miłosierdzie w Anglii posiada swą odrębną cechę ogólną. Płynie ono nie tyle ze wzruszeń, z sympatyi, która winna splatać w jedno ognisko dzieci ziemi, ogrzewając je ciepłem miłości bratniéj, lecz głównie z poczucia obywatelskiego, co w tym wysoko uspołecznionym narodzie stawiło sobie pomniki trwalsze od spiżu. Albowiem przewaga pierwiastku rozumowego nad uczuciowym ujawnia się w charakterze narodowym, a świat i życie tak wyziębiły i ukształtowały współczesnego człowieka, iż zamiast widzieć w innych swych braci, czuje w nich instyktownie rywali i uczucia obawy, niechęci czy ostrożności nie może wyzbyć się względem bliźniego nawet wówczas, gdy tenże jest niemocą złożony. W tym stanie duszy człowiek jest niezdolny iść za podszeptem serca. Powtóre w społeczeństwie kupieckiém, a więc zmateryalizowaném, które nauczyło się wielbić sukces tak, że on jeden może spowodować pewien zawrót trzeźwéj głowy, metafizyczny instynkt każe odwracać się od ubóstwa, upadku i nieszczęścia, jako od widoku nieestetycznego. Niebuhr twierdzi, że „w Anglii jest występkiem nie być bogatym”, albo powiedzmy właściwiéj „nie mieć powodzenia”, co w tym razie wychodzi na jedno, dlatego osoba dotknięta losem w ten lub ów sposób, chociażby położenie jéj nie dało się przypisać własnéj winie, nie przemawia do strun sercowych. Najwięcéj szczerego uczucia otacza tych, co nie mogą ani szkodzić, ani blaskiem swym zaćmić — niemowlęta i zwierzęta. Inni, w pojęciu anglika-indywidualisty, winni byli cios przewidzieć, zapobiedz mu lub ubezpieczyć się na wszelki wypadek.

A zatém z punktu widzenia chrystyanizmu, nie można miłosierdzia w Anglii poczytać za wielką zasługę. Nie poruszy ono bram niebieskich. Zasługa zaś tém mniejsza, skoro stan materyalny pozwala przeciętnemu obywatelowi na jałmużnę bez znacznego uszczerbku, w dodatku anglik nie jest z natury ani skąpy ani drobiazgowo oględny w wydatkach.

Atoli, jak powiedzieliśmy, brak uczuciowości i wrażliwości na niedolę zastępuje poczucie obywatelskie oraz ogromna duma narodowa, która wzdryga się na widok wykolejonego ziomka i podsyca dążność do pracy dla dobra społeczeństwa. A anglik wogóle nie robi nic przez pół; oddaje się on swéj idei niepodzielnie, często w usługach jéj posuwa się nawet do śmieszności. Wszelako ów fanatyk, oryginał i śmieszny maniak, jakiego nieraz napotykamy nad Tamizą, nie zasługuje na pogardliwy uśmiech i lekceważenie, bo nie przestaje być pożytecznym członkiem społeczeństwa. Nie jeden z nich téż przyczynił się do rozkwitu dobroczynności, poruszył umysły ziom-

ków, zapoczątkował lub dźwignął instytucye, budzące dzisiaj podziw i uznanie.

Prócz cech specyficznych współdziałają na niwie téj w Anglii pobudki, jakie spostrzegamy w życiu wszystkich nowoczesnych społeczności, a mianowicie próżność. Lecz charakter narodu uwydatnia się nie mniéj w dziełach jego, ich zakroju i przeprowadzeniu. I tak, nie zapominając o chorych, biednych, dziatwie, wyrzutkach i zbrodniarzach, duch obywatelski i rozum społeczny nakazują otaczać troskliwą opieką i chronić przed upadkiem, zarazą moralną i spaczeniem te masy ludności, co pracując, chcąc i mogąc pracować, stanowią jądro narodu, rękojmię dobrobytu, a są wystawione zewsząd na niebezpieczeństwo.

„Stowarzyszenie młodych kobiet chrześciańskich" jest jedném z najświetniejszych dzieł społeczeństwa angielskiego i może za wzór posłużyć w krajach, gdzie ogół poczyna dopiero liczyć się z kobietą, jako czynnikiem społecznym [1]).

[1]) Warszawa zdaje się należeć do tych większych centrow, gdzie daje się uczuć brak podobnej instytucyi. Do wniosku tego upoważnia artykuł w 36-tym numerze r. z. „Głosu" w którym *ex-re* zdarzenia, jakie przytrafiło się kobiecie w Skierniewicach, czytamy następujące uwagi:

„I my też mamy bony i nauczycielki, pozbawione opieki rodziny. Któż się niemi opiekuje? Przypomnijmy sobie nauczycielkę w Skierniewicach uciekającą przez okno od napaści, przypomnijmy sobie pannę T. w Kowlu, która wyrzucona przez chlebodawców w chorobie, zmarła jak pies pod płotem, nie mając przy sobie w ostatniej chwili nikogo, żadnej twarzy życzliwej! (Głos 1896 Nr. 22). Pomyślmy o tém, że zastępy kobiet, zmuszonych do zarobkowania, zwiększają się coraz szybciej i tym należało-by ułatwić swobodę ruchów przez niesienie im pomocy w podróży i w nagłych wypadkach, kiedy jedna wskazówka, chwilowe podanie ręki może kobietę na nogi postawić — coś w rodzaju pogotowia ratunkowego dla chorych.

„Jak szpitale wobec pogotowia, tak istnieć powinny niezależne instytucye specyalne dla kobiet pracujących: biura, stowarzyszenia pomocy, ale obok nich potrzeba instytucyi ratunkowej dla kobiet, znajdujących się w szczególném położeniu np. w podróży i wogóle po za miastem rodzinnem, któraby przez rozsianych wszędzie członków informowała i pomoc niosła doraźną.

„Opieka nad dziewczętami, pragnącemi pracować uczciwie, należy do pierwszorzędnych obowiązków tego coraz większego grona kobiet, wstępujących na drogę pracy obywatelskiej. W Warszawie łatwiej stosunkowo znaleźć dziewczętom pomoc, ale po wsiach i miastach drobnych zostawiane są losowi, często bezlitośnemu. Tymczasem rodzi się konieczność rozsiedlania kobiet pracujących po całym obszarze kraju. Warszawa z powodu nadmiaru kobiet staje się otchłanią rozpusty, rynkiem żywego towaru na Europę i Amerykę. Wynajdywać trzeba ro-

I.

Instytucya tak ogromna i tak szerokie ogarniająca niwy, jak *Young Women Christian Association* musiała kiełkować długo, jak ziarno w ukryciu, zanim wystrzeliła i rozwinęła się bujnie. Powstała ona ze zjednoczenia dwóch towarzystw, duchowo spowinowaconych, a pędzących samoistny żywot.

W połowie bieżącego stulecia istniała kongregacya kobiet, mająca na celu wspólną modlitwę, czytanie pisma świętego oraz działalność w duchu chrześciańskim. Przy boku zaś tego grona nabożnych niewiast rozwijała się wielka organizacya, zakładająca ochronki i instytuty dla kobiet, naprzód w Londynie, a późniéj w wielu znacznych miastach zjednoczonego królestwa. Te dwa stowarzyszenia podały sobie ręce w roku 1877 i, przybrawszy miano „chrześciańskiego stowarzyszenia młodych kobiet" rozwinęły działalność wspólnemi siłami, pod zarządem odnośnych założycielek i przełożonych: pani Pennefather i lady Kinnaird. A niebawem instytucya rozrosła się do tego stopnia, iż ogarnęła Szkocyę, Irlandyę i Walię i, odłączywszy Londyn od prowincyi, ukonstytuowała się w pięć osobnych „departamentów", dążących do „duchowego, moralnego, socyalnego i intelektualnego dobra młodych kobiet". Przygarnia ona pod swe skrzydła opiekuńcze owe nieprzebrane zastępy pracujących kobiet, napływających tłumnie do wielkich miast za chlebem, rzucanych w wir, pochłaniający tyle ofiar, pozbawionych opieki, towarzystwa i podpory moralnéj, a mianowicie panien, zatrudnionych w sklepach, szwaczek, nauczycielek freblowskich, sług domowych tudzież guwernantek.

Przyjmując wszystkie chrześcianki, bez uprzedzeń sekciarskich, w poczet członków, stowarzyszenie stawia im za jedyny warunek, aby nie uchylały się od praktyk religijnych, pozostawiając im zresztą zupełną swobodę. Prócz tych kobiet, zamieszkujących w specyalnych domach stowarzyszenia i korzystających z instytutów, wchodzą w skład unii t. z. stowarzyszeni członkowie, kobiety życzące sobie pozostać pod wpływem instytucyi i, w razie gdy przenoszą się z miejsca na miejsce, zapewnić sobie pomoc i odpowiednie to-

botę po wsiach i miasteczkach i wypychać kobiety z Warszawy, ułatwiać im podróż i opiekować się tam niemi. Na to potrzeba stowarzyszenia się kobiet.

„Przydałoby się również jakieś towarzystwo zapobiegania upadkowi dziewcząt przez zakładanie dla robotnic i szwaczek szkół niedzielnych, szerzenie po szwalniach i warsztatach książek umoralniających" i t. d.

warzystwo, dalej członkowie czynni, biorący udział w rozlicznych pracach unii. Czwartą kategoryę stanowią członkowie honorowi.

Główne siedlisko departamentu londyńskiego — którym będziemy się wyłącznie zajmować — mieści się w najruchliwszéj części zachodniéj dzielnicy (przy: 26. George street. West) w nadzwyczaj okazałym domu, który nietylko robi wrażenie ze wszech miar dodatnie, ale uderza wytwornością, dając świetne wyobrażenie o rozmiarach i zasobach materyalnych unii. Tutaj łączą się téż wszystkie nici całéj instytucyi: wszystkich pięciu sekcyi oraz „stowarzyszenia światowego". Zwiedzając gmach ten, poweźmiemy już niejakie wyobrażenie o tém, jakiemi drogami dąży stowarzyszenie do osiągnięcia celu, określonego powyżéj ogólnikowo.

Opodal wejścia wije się wzdłuż ściany przedsionka stół zasłany wydawnictwami peryodycznemi i książkowemi, naprzeciwko znajduje się główne biuro pracy, daléj biuro wpisowe i duża sala gimnastyki. Na piętrach mieszczą się czytelnia i pokój przeznaczony do zebrań towarzyskich, biura sekcyi londyńskiéj i instytutu centralnego oraz klub dam, sympatyzujących z unią, które opłacają 21 szyl. rocznie, tutaj się zbierają i w razie potrzeby zamieszkują w pokojach na ostatniém piętrze, dla nich wyłącznie przeznaczonych. Na czwartém piętrze znajdujemy biura wydziału kolonialnego i „stowarzyszenia światowego". Wreszcie w obszernych suterynach kryje się biuro wydawnictw, pokój jadalny, kuchnia i t. d. Przez cały dzień panuje tutaj ruch jak w ulu, a wieczorem gmach przybiera inną fizyognomię, zamienia się w wielki zakład wychowawczy.

Pod zarządem domu centralnego stoją trzy domy mieszkalne, położone w téj saméj dzielnicy, jeden zawierający 56 sypialni i przeznaczony dla panien sklepowych, opłacających po 4—4$^1/_2$ szyl. tygodniowo, a drugi dla guwernantek i studentek o 70 pokojach. W ostatnich czasach przybył trzeci *home* tego rodzaju o 26 sypialniach, tak iż w jednym punkcie miasta może znaleźć stosunkowo tanie i przyzwoite pomieszkanie — jak z dumą podnosi to uprzejmy sekretarz sekcyi londyńskiéj Mr. Kidner — około stu pięćdziesięciu kobiet. A popyt na mieszkania jest tak wielki, że stowarzyszenie krząta się około otworzenia nowych *home*'ów w pobliżu.

Niemniéj w innych częściach miasta napotykamy domy, których latarnie noszą napisy *Y. W. C. A.*, ale centralny instytut przy George street odpowiada finansowo tylko za trzy wzmiankowane *bourding houses*. Wszystkie inne zaś pozostają pod opieką osobnych komitetów, które składają się z obywateli odnośnéj parafii, zobowiązujących się pokrywać ewentualny niedobór w kasie. Niemal wszyst-

kie te *home*'y zamykają rachunki deficytem, co tłomaczy się wysokością czynszu, usługi i nizką ceną pokoi. Powtóre usiłowania komitetów rozbijają się o skałę kastowych uprzedzeń: i tak np. w domu zajętym przez sługi domowe nie chcą mieszkać sługi z garkuchni, a tém mniéj szwaczki, uważając się za osoby stojące wyżéj w hierarchii społecznéj. Ten śmieszny objaw kastowości i angielskiéj *respectability* zniewala zarząd do ograniczania się na przyjmowaniu tylko jednego zawodu kobiet. Wreszcie nie wszystkie domy urządzono tak, aby przyciągały interesowaną klasę, która jest materyalnie dobrze postawioną i posiada odpowiednie wymagania.

W dzielnicy ubogich, w braku komitetu lokalnego, co zdjąłby kłopot i ciężar z ramion stowarzyszenia, sekcya londyńska musi ponosić koszta. W skutek tego głównie roczny deficyt jéj wzrasta do siedmiu lub ośmiu tysięcy fun. szt., jak mówi Mr. Kidner. Dla dobra zatrudnionych w fabrykach kobiet stowarzyszenie nic nie przedsięwzięło w tym kierunku, gdyż w tym wypadku należało-by chwycić się zupełnie innéj metody: budować odpowiednie domy i t. d. A kwestya pomieszkań dla proletaryatu jest dotąd nierozstrzygnięta, być może, iż dopiéro ruch, jaki wrze obecnie w społeczeństwie angielskiem, rozjaśni ją i wskaże właściwą drogę postępowania. Istniejące bowiem domy dla robotników nie znajdują u nich uznania. Powtóre dla klasy roboczéj pracują na wyścigi specyalne stowarzyszenia (ze skutkiem niestety arcywątpliwym), a stowarzyszenie kobiet chrześciańskich ma na oku przeważnie płeć żeńską stanu średniego.

Przy wielu domach mieszkalnych urządzono restauracye dla członków tak, że nawet w godzinach obiadowych nie brak im towarzystwa. Odpowiadają one pod każdym względem wymaganiom panien sklepowych, a że powstały pod naciskiem rzeczywistéj potrzeby, dowodzą wykazy statystyczne, z których okazuje się, że np. w jednéj restauracyi bywało dziennie w przecięciu sto sześćdziesiąt kobiet. Powodzenie owo zawdzięczają te lokale jeszcze téj okoliczności, że nie w każdym punkcie miasta znajdują się restauracye przystępne dla kieszeni szwaczek, a do garkuchni odwiedzanéj przez dorożkarzy uczęszczać by one nie chciały.

Stosownie do regulaminu kobiety mieszkające w *home*'ach unii zbierają się w sobotę wieczorem na wspólną modiltwę, a na wykłady pisma świętego mogą uczęszczać do t. z. instytutów, które stowarzyszeniu nadają wyraźny charakter edukacyjno - religijny. Posiada ono w Londynie dwadzieścia pięć instytutów i taką samą ilość *home*'ów z restauracyami, a sto *home*'ów na prowincyi. Zakła-

dy te nie przypominają w niczém pokrewnych instytucyi na lądzie stałym; ukształtowano je bowiem w duchu, odpowiadającym zasadniczym poglądom Anglików na wychowanie. Nie istnieją one przeto w tym celu, aby nauczyciele ładowali gwałtem wiedzę książkową w umysły nieprzygotowane, znużone całodzienną pracą, które z tym balastem nie wiedzą co począć, nie mogąc przetrawić go duchowo. Mają one zadość uczynić trzem najważniejszym postulatom młodych kobiet pracujących, mają dostarczyć im: 1) dobrych znajomości, 2) dobrych książek i 3) rozrywki po pracy.

Aby dać dokładne pojęcie o téj cennéj instytucyi unii, przytaczam plan wieczorów w domu centralnym. Po zamknięciu biur bowiem gmach ten nie stoi pustką; w jednym pokoju odbywa się lekcya kroju, w biurze innén lekcya stenografii, z trzeciego pokoju dochodzą dźwięki fortepianu. I tak w niedzielę: wspólna modlitwa, lektura biblii, po podwieczorku śpiewanie psalmów.

W poniedziałek: śpiew chóralny, język francuzki. We wtorek: zebranie towarzyskie dziewcząt a raz w miesiąc wieczorek. W środę: lekcya gotowania, lekcya gry na gitarze. *Meeting* pracujących dla dobra robotnic kobiet oraz *meeting* bractwa wstrzemięźliwości i t. d.

Lekcye muzyki i gimnastyki odbywają się codziennie, tak wielka liczba kobiet zapisuje się na nie. Od czasu do czasu urządza stowarzyszenie wykłady z dziedziny historyi, sztuki i innych przedmiotów, nie objętych planem, oraz gremialne przechadzki po muzeach i galeryach. W ogóle wydział edukacyjny, którego pieczy oddano instytuty, stara się uprzystępnić naukę i zachęcić młode umysły do kształcenia się. Jakoż płeć żeńska, będąca pod wpływem Stowarzyszenia, jak wszyscy ludzie, których umysłów za młodu nie przeciążano, uważa książkę za swą wierną przyjaciółkę. Powszechnie wiadomo, że w Anglii rozchodzą się gazety w ogromnéj ilości egzemplarzy, mimo znaczną cyfrę analfabetów, dlatego nie zdziwi nikogo, że jeden z miesięczników stowarzyszenia odbija się w 75,000 egzemplarzach, a trzy inne czasopisma liczą po kilka lub kilkanaście tysięcy czytelników. Cena ich nie przechodzi jednego pensa. Oprócz tych wydawnictw istnieją czasopisma przeznaczone dla sekretarzy i członków czynnych, tudzież niezliczony szereg broszur i książek. Nadto w każdym zakładzie stoją otworem dla członków bezpłatne czytelnie.

Przy jednym z instytutów londyńskich powstał t. z. *Preparation home*, który wychowuje armię kobiet zdatnych do pracy dla dobra swych siostr. Zasługuje on na podkreślenie. Dobra wola, zapał, miłość idei i ludzkości nie wystarczają wcale misyonarzom; ileż

to razy widzieliśmy w życiu społeczném, iż z ziarna pszenicy kąkól wyrasta. Doświadczenie jest najlepszym nauczycielem i najlepszą rękojmią pomyślnego skutku, bo, chcąc oddać bliźnim rzeczywiste usługi, trzeba poznać zblizka ustrój psychiczny, sposób rozumowania i istotne potrzeby odnośnéj warstwy lub klasy ludzi, trzeba wiedziéć, jak zbliżać się do niéj; a wówczas dopiéro, przystąpiwszy do pracy chociaż bez entuzyazmu, można liczyć na dobre owoce. Doświadczenia, którego nic nie zastąpi, mają sposobność nabyć adeptki w przygotowawczym zakładzie, który nie ogranicza się na teoretyczném przysposobianiu, ale szczególny kładzie nacisk na praktyczną stronę swéj działalności. Mieszkając i przestając z wypróbowanemi szermierkami, młode siły dojrzewają same przez się, a uczęszczając w ich towarzystwie na zebrania, stawiając pierwsze kroki pod ich okiem, postępując według wskazówek i korzystając z doświadczenia innych, wyrabiają się w daleko krótszym czasie na dzielne apostołki i nauczycielki.

Indywidualnym ich zamiłowaniom i popędom nikt nie stawia hamulca; obierają sobie specyalną gałąź działalności i oddają jéj się wyłącznie. Jedne nauczają dziatwę w wieczornych szkółkach, inne urządzają w fabrykach krótkie *meetingi* w godzinie obiadowéj, inne uczęszczają do klubów dla dziewczyn zatrudnionych w przedsiębiorstwach przemysłowych i t. d.

O instytutach Stowarzyszenia panuje jednozgodne przekonanie, iż odpowiadają swemu założeniu i nieoszacowane oddają usługi pracującym kobietom i społeczeństwu. Tutaj uciekają one przed osamotnieniem i nudą, tutaj chronią się przed wpływem kobiet, co uważają pracę za karę niebios, a mężczyzn za drabiny, po których można się wspiąć do eldorado, do używania życia i przepychu, i mimowoli sprowadzają kobiety, zmuszone do zarobkowania z drogi, jaką mogą zapewnić sobie uczciwe utrzymanie. W instytutach oddychają one zdrowém powietrzem, nabierają poczucia godności osobistéj, wyrabiają charakter, zdobywają siłę odporną na czyhające zewsząd pokusy, wzmacniają ciało, kształcą umysł i znajdują rozrywkę. A lubo stowarzyszenie wyciska na członkach pewien wyraźny stempel, nie zabija w nich indywidualności. Nie grozi im pod tym względem niebezpieczeństwo.

Charaktery angielskie mają tak silnie i dobitnie narysowane kontury, że nie uginają się, nie przeistaczają pod naciskiem. Zarówno tradycya, sposób wychowania, jak ustrój społeczny, podsycają poczucie niezależności duchowéj, wytwarzają z jednostki osobny

cosmos, co nie zna pana [1]). A więc arbitralne postępowanie zarządu zraziłoby młode kobiety i obróciło w niwecz wysiłki stowarzyszenia. Ale dyrekcya nie przybiera wobec członków dyktatorskiéj postawy; rządzi w duchu angielskim t. j. republikańskim. Anglosasi, bodaj jedyni w rzędzie cywilizowanych narodów, przychodzą na świat z głębokiém poszanowaniem indywidualności. Jakoż anglik i yankes nie wymaga od żony, aby wymodelowała się na wzór jego ideału, nie wywiera na jéj skłonności nacisku, który nie prowadzi do niczego lub wydaje złe skutki, lecz uznaje jéj prawo do życia własném życiem, do posiadania odrębnych upodobań i indywidualnych cech charakteru czyli innemi słowy poczytuje ją za równego sobie człowieka. Dzięki téj właściwości, wyłaniającéj się z pozytywizmu angielskiego, płeć żeńska stanęła na tak wysokim szczeblu uspołecznienia.

Być może spoglądając z ubocza na te instytuty wychowawcze, bylibyśmy skłonni krytykować działalność zarządu w niektórych szczegółach. Wszelako należy zważyć, że zarys instytutów wyszedł z pod pióra osób, które w ciągu wielu lat obracały się między pracującemi kobietami, że interesowane sfery same nadały idei odpowiednią dla siebie formę. Jak w Anglii piastuje najwyższą władzę nie królowa, ale opinia publiczna, tak w stowarzyszeniach kobiet chrześciańskich zarząd instytutów jest poprostu wykonawcą woli *gremium* członków.

II

Na pytanie, jakiemi drogami dąży unia do osiągnięcia celu, odpowiedzieliśmy dotąd tylko w części. Bo działalność stowarzyszenia rozstrzeliła się w rozlicznych kierunkach i powstał cały szereg sekcyi i kongregacyi, stanowiących integralne części unii. Ogólne pojęcie o ogromie zadania téj instytucyi, która nie ma sobie równéj, da nam wykaz pojedyńczych biur.

Pierwsze z nich zajmuje się choremi, rekonwalescentkami oraz uprzystępnieniem wakacyjnych podróży;

2) wydawnictwami;

3) instytutami wychowawczemi;

---

[1]) Charakterystycznym objawem tego stanu są strejki żaków, wywołane niepopularnym przepisem władzy szkolnej.

4) emigracyą kobiet;
5) dostarczaniem pracy;
6) szerzeniem ducha ewangelii;
7) robotnicami;
8) rozdawaniem kwiatów;
9) kobietami po za obrębem W. Brytanii;
10) innoszczepowemi kobietami w W. Brytanii;
11) udzielaniem rad i wskazówek dziewczętom;
12) zachęcaniem do kształcenia się w domu;
13) małoletniemi;
14) czytelniami;
15) kobietami w Indyach;
16) „ pielęgnującemi chorych;
17) ratowaniem bezdomnych i zrozpaczonych;
18) restauracyami;
19) nauczycielkami;
20) zachęcaniem do oszczędności, do przestrzegania schludności i porządku domowego;
21) propagowaniem wstrzemięźliwości od gorących trunków.

Pod auspicyami stowarzyszenia stoją: związek „kobiet wspomagających robotnice" oraz towarzystwo pomocy w podróży. Prócz tego grupują się wkoło unii i stałe utrzymują z nią stosunki inne związki, jak np. międzynarodowa liga „przyjaciółek młodéj kobiety", stowarzyszenie chrześciańskie oficyalistek urzędu pocztowego i t. d.

Niezawodnie zwróci uwagę czytelnika na téj liście misya, zajmująca się „rozdawaniem kwiatów" i nie znając Anglii i Anglików, można by zagadnąć: „nie chleba?" Nie; walka z nędzą nie wchodzi w zakres działalności unii, a służące i robotnice, którym dostają się raz w tydzień bukieciki kwiatów, nie cierpią wcale niedostatku, ale nie zawsze mogą ponieść nadzwyczajne wydatki chociaż drobne, nie mogą nabyć kilku kwiatów, które zdobią surdut odświętnie przywdzianego robotnika z *East-end'u.* Bo wszystkie stany rozmiłowały się w kwiatach tak, że nigdzie handel kwiatami nie przybrał takich rozmiarów jak w Anglii. Służące przeto i robotnice nie są wcale obojętne na drobne podarki, jakiemi unia pragnie im sprawić przyjemność; przeciwnie same przypominają się „misyonarkom", które przypisują kwiatom niemal magiczny wpływ na ludzi, jakby woń „posłańców miłości" budziła w sercach, oschłych w prozie codziennego życia, tkliwe tony i zaszczepiała w nich coś z niewinności kwiatu. Sekcya ta nie uszczupla funduszów stowarzyszenia wcale, bo kwiaty nadsyła regularnie grono dam do głównych siedlisk. Przy

układaniu ich w bukieciki biorą udział także panny z wyższego towarzystwa, które tym sposobem zbliżają się do uspołecznionych żywiołów, przypominają sobie może o istnieniu zarobkujących sióstr. Okazuje się przeto, że nawet ta sekcya, która na pierwszy rzut oka wyda się czczą zabawką, posiada swą doniosłość. A rozdając kwiaty, członkowie czynni mają pożądaną sposobność przyjrzéć się nieokrzesanym kobietom przy pracy i poznać je bliżéj.

Najważniejsze zadanie spoczywa na osobach, wchodzących w skład pierwszéj sekcyi, które czuwają nad zdrowiem cielesném pracujących legionów niewieścich, starając się nietylko usunąć lub zmniejszyć zło, istniejące już, ale i zapobiedz mu. Chore kobiety mają zapewnioną pomoc ze strony grona znanych lekarzy oraz niewiast oddających się zawodowo pielęgnowaniu chorych. Rekonwalescentki zaś wysyła unia do tak zw. *Convalescent homes*, domków wiejskich z ogrodami, położonych w pobliżu Londynu.

Okoliczni obywatele, sympatyzując ze spracowanemi mieszczankami, wyposażają *home'y* w fortepiany, sprzęty domowe, zasilają bibliotekę, przesyłają kwiaty, jarzyny i owoce. Domki te w malowniczém położeniu, urządzone dostatnio, są istotném dobrodziejstwem dla wielu osób, zwłaszcza że całe utrzymanie tygodniowe wynosi tylko dziesięć szylingów (pięć rubli). Naturalnie nie brak w nich nigdy gości; tutaj zbiedzona szwaczka zapoznaje się ze wsią, z życiem wśród przyrody, blada buchalterka z City, szuka powietrza, ruchu i zagubionego rumieńca. Ponieważ wakacye nie są w Angli przywilejem pewnych klas pracujących i zgłasza się ogromna ilość kobiet do tych przystani spoczynku, stowarzyszenie nie mogąc zadość uczynić samo wszystkim petycyom, poleca potrzebujące wytchnienia kobiety specyalnym związkom, utrzymującym na wybrzeżach morskich tego rodzaju *home'y*. W razie, gdy kto nie jest w możności pokryć kosztów utrzymania, unia udziela mu zapomogę pieniężną. A znaczna liczba kobiet dostaje zaproszenia na ferye ze strony zamożniejszych przyjaciółek z instytutów.

Unia przykłada rękę do wysyłania na wieś kilkuset kobiet corocznie. Nadto urządza co tydzień jednodniowe wycieczki, wielce popularne. Majówki te zyskują szczególny powab i interes przez to, iż odbywają się w pięknych siedzibach magnatów, którzy chętnie otwierają swe wille i parki spragnionym świeżego powietrza pracownicom.

Społeczeństwo, zajmując się gorliwie kwestyą zdrowotnosci od lat wielu, wytknęło drogoskazy i ułatwiło zadanie towarzystwom, działającym w tym kierunku. Natomiast w walce z kwestyą pracy,

z którą boryka się ogół, napróżno szukając jéj rozwiązania, napotyka Stowarzyszenie kobiet chrześciańskich nieprzezwyciężone trudności. A smutniejszy widok od schorzałego przedstawia człowiek zdolny do pracy a pozbawiony zajęcia, cięży on na sumieniu społeczności, jako żywy objaw chorobliwego stanu. Wszelako w Anglii zawiła kwestya robotnicza inną przybrała postać, a trudności, z jakiemi ma do walczenia unia, nie polegają na umieszczaniu kobiet w domach prywatnych, szwalniach i magazynach, ale na dostarczaniu rąk chlebodawcom. Pewne światło na te stosunki rzucają cyfry, wyjęte z listy sekcyi pracy. Liczba zapisanych na niéj chlebodawców wynosi około pięciu tysięcy a obok niéj figuruje tylko cztery tysiące poszukujących miejsca, z których bardzo znaczna część — jak można wnosić na podstawie doświadczenia—nie zdolną jest pełnić obowiązków, jakich się pragnie podjąć. Mianowicie daje się uczuć ogromny i coraz większy brak sług domowych, pomimo że pomiędzy ludem wiejskim panuje stały ruch emigracyjny do miast i ów „*rural exodus*" rozciąga się także na płeć żeńską. Pochodzi to z téj przyczyny, że służba domowa dąży do swobody za jakąbądź cenę i pokojówki szukają zajęcia w kawiarniach, lub szynkach, chociaż dzieje się to z ich uszczerbkiem materyalnym. W kawiarni bowiem pobierają ośm do dwunastu szylingów tygodniowo bez jedzenia i utrzymania, które mają w domach prywatnych przy prawie takich samych zasługach. A chlebodawczynie przestrzegają, aby służby nie przeciążano pracą, i pozostawiają jéj dużo wolności; wogóle jeżeli uda się pani domu dostać sługę, odpowiadającą chociaż jakokolwiek wymaganiom, czyni wszystko w swéj mocy, aby ją u siebie zatrzymać. Mimo tak korzystne warunki wstręt do służby domowéj nie ma granic, bo... lada kelnerka patrzy z góry na pokojówkę, uchodzi wobec niéj za osobę lepszego towarzystwa! Można powiedzieć, że w Anglii nie ma już prawie wcale kobiet, tylko—damy, *ladies*. Skutkiem tych aspiracyi oraz niekompetencyi lub wygórowanych wymagań służebnic, sekcya pracy nie może poszczycić się, aby wynik jéj usiłowań odpowiadał oczekiwaniom.

W porównaniu z klasą służebną, z rękodzielnikami i robotnikami los osób z wyższém wykształceniem nie przedstawia się wcale świetnie. Pod dobremi pozorami kryje się często biéda, bo walka o byt ujawnia się w najstraszniejszéj postaci pomiędzy inteligencyą. Z jednéj strony widzimy bezwzględność, wyzysk, butę i nepotyzm, z drugiéj służalczą uniżoność, pochlebstwo i niewolę. W pogoni za zarobkiem niezależny Anglik gubi swą niezależność, bo gdy wchodzi w grę stanowisko, staje się skłonnym do kompromisu, jak za-

ręcza znany pisarz, Grant Allan, z téj przyczyny nazywając swych ziomków „tylko Anglikami". Dlatego zastępy emigrantów rekrutują się głównie z téj klasy.

Płeć żeńska jednak okazuje się lękliwą, potrzebuje zachęty i pomocy ze strony towarzystw w rodzaju *British Women's Emigration Society*, aczkolwiek złożyło się wiele przyczyn na to, aby ją do wychodźtwa nakłonić. Według ostatnich obliczeń z przed lat kilku mieszka w W. Brytanii 1,200,000 więcéj kobiet niż mężczyzn, w Londynie na jednego mężczyznę przypada pięć kobiet, w Nottingham — dziewięć, a ten nienormalny stosunek liczebny obu płci zaostrza się bez przerwy. Tymczasem w koloniach rzecz się ma przeciwnie, nawet takie ziemie, jak Australia i Nowa Zelandya, do których emigracya mężczyzn ustała z przyczyn ekonomicznych, nęcą ku sobie pracujące kobiety. W życiu społeczném antypodów grają kobiety bardzo wybitną rolę, zdobyły sobie prawa, o jakich niewiele skrajnych emancypantek w Europie marzy, w życiu towarzyskiém i przy ognisku domowém zajmują stanowisko tak uprzywilejowane jak amerykanki, wreszcie mają tam lepsze widoki znaleźć lukratywne zajęcie — i męża. W świeżo dla cywilizacyi zdobytych terytoryach jak np. w Rhodezyi panuje ogromny brak kobiet, oddziaływający źle na kolonię.

Sekcya emigracyjna stowarzyszenia przychodzi emigrantkom z pomocą pod każdym względem: zapewnia im opiekę w podróży, przyjęcie na miejscu przeznaczenia a nawet stara się dla nich o pracę w koloniach. I wówczas nie spuszcza z oka swych przyjaciółek.

W każdém położeniu kobieta szanująca się może liczyć na stowarzyszenie, które z troskliwością przezornéj matki chroni ją od złego. W skład unii wchodzi kilka sekcyi opiekuńczych, a ręka w rękę z niemi działa Towarzystwo pomocy w podróży. Nie łatwo pojąć ludziom, co zżyli się z życiem miejskiém, jakie wrażenie robi gorączkowy ruch w labiryncie ulic na dziewczynie, przeniesionéj z cichego zakątka wiejskiego w wir miejski, na jakie niebezpieczeństwa jest ona narażona przez swą prostotę, naiwność i zaufanie do ludzi. Aby ominąć zdradliwe prądy, potrzebuje pilota i tu Towarzystwo pomocy w podróży oddaje wielkie zasługi. Gdy w porcie lub na dworcu kolei urzędnik spostrzeże kobietę bez oparcia i bez przyjaciół, wysyła ją do najbliższego biura téj instytucyi, która daje jéj przytułek i zajmuje się dalszemi jéj losami. A przytrafia się bardzo często, iż podróżujące kobiety skutkiem nieprzezorności własnéj lub krewnych, skutkiem braku pieniędzy albo nieprzewidzianych okoliczności znajdują się w przykrém położeniu, z którego nie widzą

wyjścia. Dla tego na wielkich stacyach dróg żelaznych bywają codziennie osoby z ramienia tegoż towarzystwa i przygarniają do siebie opuszczone i bezradne istoty. Nadto dzięki rozgałęzionym stosunkom instytucya zapewnia podróżującym opiekę w drodze, udziela wskazówek co się tyczy hoteli i t. d.

Wogóle kobiety opuszczone, zrozpaczone i bezdomne leżą na sercu stowarzyszenia, które ustanowiło osobny wydział zajmujący ratowaniem wykolejonych niewiast (*Park Mission*). Działalność téj sekcyi polega na rozdawaniu kart z adresem stowarzyszenia i w tym celu założonego przytułku osobom, które zdają się potrzebować podpory. Zwłaszcza w parkach londyńskich błąkają się niewiasty w rozpaczliwém położeniu i tutaj zarzucają sieci ratunkowe członkowie unii. W tym samym duchu działa Armia Zbawienia z tą różnicą, że przyjmuje pod swe skrzydła także upadłe kobiety, któremi unia równocześnie zajmować się nie może ze względu na żywioły, jakim głównie służy. Natomiast posiada ona *home*, w którym uczą się służby domowéj dziewczęta i przyjmuje do niego za małém wynagrodzeniem służące bez miejsca.

Przy boku niemal wszystkich sekcyi stoją instytucye, będące wcieleniem ich myśli przewodniéj. Jakoż wydział dwudziesty nie ogranicza się na gołosłowném zachęcaniu do oszczędności, schludności, porządku w mieszkaniach i do zabezpieczania sobie starości, ale ustanowił przy swych instytutach wychowawczych kasy oszczędności t. z. *Penny Banks*, na wzór kas rządowych, istniejących przy urzędzie pocztowym, wszedł w styczność ze spółką, zabezpieczającą na wypadek choroby, a przestrzegając w domach mieszkalnych porządku, przyzwyczaja młode kobiety do czystości i wyrabia w nich estetyczne poczucie. Nie pozostaje to bez zbawiennego wpływu na moralną stronę człowieka, bo kobieta, która troszczy się o ład i porządek w swém otoczeniu, pragnie również rozłożyć swoj czas i ukształtować życie na taką samą modłę.

W zakres działalności téj sekcyi wchodzi także zachęcanie do wstrzemięźliwości od gorących napojów. A troska to wcale nie zbyteczna, jak może się wydawać nad Wisłą, przeciwnie aż nadto uprawniona w społeczeństwie, w którém płeć żeńska pragnie dorównać mężczyznom nawet przy piwie i wódce. Pijaństwo między kobietami grasuje jak szarańcza, pochłaniając tysiące ofiar. Najjaskrawiéj maluje stan rzeczy fakt, że przed kilkunastu laty zaszczytnie znana lady Jeune utworzyła bractwo wstrzemięźliwości dla dam z arystokracyi. W istocie największe niebezpieczeństwo grozi kobiecie z téj strony; przeciętna angielka przy swéj chłodnéj rozwa-

dze, swym zdrowym rozsądku, pozytywnym zakroju umysłu, przy swéj znajomości natury ludzkiéj i jasnym na świat poglądzie steruje pewną ręką po falach życia, ale alkohol wytrąca jéj wiosła, zabija godność osobistą, rzuca ją na pastwę losu. Zdając sobie sprawę z tego, stowarzyszenie założyło bractwo wstrzemięźliwości, liczące kilka tysięcy członków.

Z pośród biur i kongregacyi służących poszczególnym kategoryom kobiet pracujących wyróżnia się przez swój cel, znaczenie i rozwój *the Factory Girl's Union*, stowarzyszenie, które utworzyło się w łonie téj instytucyi w r. 1866 i stanowi poniekąd samodzielną unię w unii. Z natury rzeczy wynika, że przybrało ono poważną postać, bo owe tysiące dziewcząt zatrudniane w pralniach, w fabrykach zapałek, płótna, papieru i innych wołają o moralną podporę. Proletaryat londyński przedstawia obraz może bezprzykładnéj nędzy moralnéj, nie wytrzymuje porównania z ludem innych wielkich centrów ani pod względem zdolności i ukształcenia, ani pracowitości i przezorności. Próżno szukalibyśmy w nim dodatnich cech charakteru, zdobiących oświecone warstwy. A przyczyna tego nie leży w nędzy materyalnéj; lubo podział kapitału w Anglii nie jest prawidłowy, byłoby błędném przypuszczenie, iż niziny społeczne pogrążone są jeszcze w kałuży niedostatku. Wybiły się one na wierzch i zjednoczone w wielkie a sforne związki t. z. *trades-union'y* zawładnęły sytuacyą. Ufne w swą potęgę *trades-union'y* zajęły stanowisko zaczepne i tak bezwzględne, iż zadają przemysłowi angielskiemu ogromne i niepowetowane klęski. Ponieważ dyrekcye zakładów przemysłowych są absolutnie zmuszane przyjmować robotników, należących do związku, i płacić im zasługi ustanowione przez *trades-union*, robotnik nie ma żadnego interesu w produkcyi, żadnéj podniety do kształcenia się, jego zapał stygnie, i staje się najgorszym robotnikiem. Tylko wolna konkurencya wytwarza dzielny i postępujący naprzód z czasem stan rzemieślniczy i roboczy, natomiast monopol sprowadza zastój, zabija energię. W dzisiejszych warunkach bytu robotnik angielski spoczywa na wawrzynach, dla tego też pod względem biegłości w zawodzie i ukształcenia technicznego stoi bez porównania niżéj od robotnika zagranicznego. A zwycięstwa odniesione w walce z kapitalizmem przejęły go bezgraniczną pewnością siebie. Wszystkie humanitarne zakusy klas wyższych poczytuje za oznakę słabości, a wpływ umoralniający spływa po nim jak po skale. Jakoż tytaniczne wysiłki ogółu w tym kierunku wydają tylko nikłe, a często niezdrowe owoce. Atoli płeć żeńska proletaryatu okazuje się wrażliwszą na wpływ idący z góry i członko-

wie unii pomagającéj robotnicom mają nieco wdzięczniejsze zadanie od związków pracujących dla dobra robotników.

Działalność unii „*of Factory Helpers*” polega przedewszystkiém na odwiedzaniu pralni i fabryk z pozwoleniem chlebodawców. Tutaj w godzinach obiadowych i podwieczorkowych urządzają członkowie krótkie zebrania religijne, połączone z przemową, wnosząc z sobą powiew z innego świata. Aby utrwalić i wyhodować zaszczepione w duszach poczucie moralności, związek stworzył kilka instytutów i wieczornych zbiorowisk, gdzie dziewczyny mogą spędzić wieczór na pożytecznéj nauce i rekreacyi, słuchać wykładów biblii i zawrzeć znajomość z sympatycznemi osobami, gotowemi podać im rękę w każdém położeniu. *Factory Helper's union* odwiedza 300 fabryk, około 200 pralni i wchodzi w styczność z około dwudziestu tysiącami dziewczyn, a jak bardzo leży na sercu kobiet angielskich dola dziewczyn klasy robotniczéj, dowodzi fakt, iż w tym samym duchu i kierunku pracuje nie mniéj jak ośmdziesiąt i jedna misya. W zakładach, utrzymywanych z funduszów téj unii, dziewczyny mają sposobność nauczyć się szyć i gotować i spędzić czas przyjemnie na śpiewaniu i gimnastyce. W jasnych i ciepłych pokojach snują się téż zwykle tłumy robotnic, korzystających chętnie z dobrodziejstw instytucyi. Przestając z niemi, członkowie usiłują zaszczepić w nie zdrowe zasady, odzwyczaić je od gorących napojów i zachęcić do regularnego, hygienicznego trybu życia. W razie choroby pierwsza sekcya stowarzyszenia kobiet chrześciańskich spieszy z pomocą, dostarczając lekarstw i wysyłając chore lub spracowane robotnice do wiejskich i nadmorskich *home*'ów.

Niektóre z wydziałów unii pomijam milczeniem jako pozbawione z natury swéj większéj doniosłości lub wyrosłe na gruncie specyalnie lokalnych stosunków i skutkiem tego nie przedstawiających interesu dla społeczeństwa warszawskiego. Wszelako należy się kilka słów sekcyom o międzynarodowym charakterze.

Poczęte z ducha humanitarnego stowarzyszenie nie mogło zamknąć się w granicach geograficznych. W Brytanii i przedewszystkiém musiało zwrócić oczy na masy ciemnoskórnych kobiet pod berłem cesarzowéj Indyi. Aby wytworzyć łącznik pomiędzy płcią żeńską W. Brytanii a hinduskami oraz zbliżyć je do cywilizacyi europejskiéj, utworzyła się potężna liga t. z. *Loving Service League* z wielu ogniskami w Indyach. A przed czterema laty stanęło przy boku unii „światowe stowarzyszenie młodych kobiet chrześciańskich” (*World's Y. W. C. A.*) celem zaopiekowania się cudzoziemkami na ziemi angielskiéj, angielkami przebywającemi na lądzie

stałym, tudzież współdziałania z pokrewnemi związkami zagranicą. Niejednokrotnie członkowie téj unii wyjeżdżają na kontynent na wezwanie komitetów zakładających podobne instytucye, które pragną korzystać z doświadczenia i dobrych chęci dam pracujących dla dobra sióstr bez względu na ich narodowość i wyznanie [1]).

Gazety zapisują często wypadki, na jakie wystawiają się młode kobiety pozbawione opieki i znajomości zwabione do obcych miast przez ogłoszenia obiecujące złote góry. Wpadają w zastawione pułapki, z których w najlepszym razie wydostają się na wolność sponiewierane i pobite. Gdzie mają się zwrócić po pomoc i radę?

Stowarzyszenie światowe kobiet i zjednoczona z niém „*union international des amies de la jeune fille*”, mająca główne siedlisko w Neuchâtelu, oddają kobietom zarobkującym zdala od rodziny ogromne usługi. Polecają one swéj opiece wzajemnie młode osoby w tém położeniu, starają się o stanowiska i czuwają nad ich losem. Każda kobieta, chcąc przyjąć miejsce w nieznaném mieście, może zasięgnąć wiadomości o swych przyszłych chlebodawcach od stowarzyszenia, jakby od biura wywiadowczego. Jeżeli wybiera się w podróż przed otrzymaniem posady, powinna zapytać się w stowarzyszeniu o odpowiednie dla siebie pomieszkanie i adresy dam, które należąc do stowarzyszenia, służą radą samotnym.

Członkowie unii, opłacający rocznie pięć szylingów, podają również nazwiska swych znajomych, którzy chcą podjąć się opieki nad emigrantkami, tak iż na wypadek nieobecności członka dziewczyna nie pozostaje bez podpory. Przy wielkiéj liczbie członków, rozsianych po całéj niemal Europie, udało się unii ułożyć listę osób zaufanych w najodleglejszych zakątkach i przygotować się na wszelką ewentualność. Nadto gorliwsi członkowie utrzymują stosunki osobiste lub za pośrednictwem listów z młodemi kobietami, które przyjęły obowiązki w ich miejscu zamieszkania, mając na względzie, że młode te istoty mogą czuć się osamotnione, potrzebować przyjacielskiego słowa i sympatyzującéj z ich losem opiekunki. Na pozór drobna to przysługa, a przecież jak wysoko musi ją sobie cenić stęskniona za domem dziewczyna? A list lub słowo mogą

---

[1]) W r. b. Miss A. M. Reynolds, generalna sekretarka tej unii, wzięła czynny udział w założeniu tego rodzaju instytucyi w Pradze, przemawiając po niemiecku na zebraniach i udzielając komitetowi wskazówek praktycznych na podstawie doświadczenia. W danym razie przyłożyłaby także rękę do takiego dzieła w Warszawie.

nieraz przyjść w krytycznym momencie, gdy szczęście i przyszłość się ważą.

Każda sekcya, misya i liga i wszystkie razem, spojone węzłem miłości pracującéj kobiety, służą dobréj sprawie, a unia młodych kobiet chrześciańskich nie ustaje w wysiłkach; pragnie ogarnąć coraz to większe zastępy niewiast, wniknąć nawet tam, gdzie nie sięga władza Anglii, zjednoczyć płeć żeńską pod jednym sztandarem. A że ten posiew wydaje piękny plon, dowodzą dziękczynne listy, napływające zewsząd nieustannie do zarządu. Większéj zaś pochwały i zachęty nie może unia otrzymać nad poklask i uznanie tych sfer i ludzi, dla których istnieje.

Mogłoby się wydawać, iż wytknąwszy sobie cel tak ambitny a rozstrzeliwszy się na wiele wydziałów, instytucya osłabia się i nie dość intensywnie może pracować. Wszelako należy pamiętać, że pod skrzydłami unii skupiło się kilkaset tysięcy kobiet, rozpadających się stosownie do stanowiska i wykształcenia na różne klasy, że potrzeby ich są rozmaite, a w skład członków czynnych wchodzą osoby o różnych skłonnościach i uzdolnieniach, które unia chce wyzyskać z jaknajwiększą korzyścią dla interesowanych osób. Nie skierowuje przeto zapału do pracy społecznéj w jeden lub kilka kanałów, w których nie każdy członek mógł-by rozwinąć indywidualny talent, lecz pozostawia im zupełną swobodę, zachęca do otwierania nowych sekcyi i dróg wiodących do wspólnego celu — zdrowia cielesnego i duchowego pracującéj płci żeńskiéj.

Postępując tak unia okazuje się wierną zasadom indywidualizmu czyli woluntaryzmu, zapomnianym przez dzisiejszy świat polityczny, owiany socyalizmem, a przekazanym Anglii przez dawne czasy i złożonym w dziełach nieśmiertelnego Edmunda Burke'go. Wogóle unia wydaje się wcieleniem tych zasad, którym W. Brytania zawdzięcza swój rozkwit.

Nosząc cechę chrześciańską, instytucya nie odwraca się od niechrześcianek — istnieje dla wszystkich uczciwie pracujących młodych kobiet. Ta tolerancya religijna przyczyniła się niemało do tak świetnego rozwoju i zjednała stowarzyszeniu mnogich przyjaciół we wszystkich obozach.

Powtóre, dlatego jeszcze można uznać unię za dziecko indywidualizmu i ducha angielskiego, że wymaga zawsze osobistego współudziału, tylko w wyjątkowych wypadkach przyjmując kobiety do swych wiejskich domów bezpłatnie. Zapomogi zaś, udzielane dość często, wywierają zbawienny wpływ na młode kobiety, bo zaznawszy raz przyjemności życia wiejskiego, starają się one zaoszczędzić

sobie kwotę pieniędzy, która dozwoliła-by im wypocząć i poratować zdrowie następnego roku. Na podstawie doświadczenia i bacznéj obserwacyi zarząd powziął przekonanie, że zapomogi są doskonałym bodźcem do oszczędności i pracy. A cała działalność instytucyi skierowaną jest tak, aby wyposażyć młode żywioły w energię, wytrwałość i hart ducha.

Inne towarzystwa dobroczynności zwracają się z jałmużną tam, gdzie wyciągają się do nich ręce, przyzwyczajając ludzi do liczenia na pomoc obcych, do opieszałości i żebrania, albo też wspomagają podupadłych wtenczas dopiero, gdy smutne okoliczności wyssały z nich soki żywotne i nie mogą już ani podnieść się i stanąć na nogach, ani też dorzucić cegiełki do gmachu społecznego. A dobroczynność jednostek, podobna do fantazyi z zawiązanemi oczyma, błąka się bez steru niezbadanemi drożynami i niestety zwykle zagląda do tych, co najmniéj warci pomocy.

Tymczasem stowarzyszenie to idzie za głosem serca i — rozumu szerokim gościńcem życia przed dzielnemi zastępami kobiet, oczyszcza drogę z kamieni, zasypuje wyboje, zagrzewa szeregi mężkiem słowem, pomaga tym, co najwięcéj na to zasługują, bo sami starają się sobie pomódz a są skarbem narodu, pracuje dla pracujących i żyje dla życia.

M. Wierzbiński.



Własność rolna w Galicyi.

Reformy ustawodawcze, czy zmiana kultury rolnéj?

I.

Maksyma dawniejszego liberalizmu, zalecająca usuwanie się rządu od udziału w regulowaniu stosunków gospodarczych, nie znajduje obecnie tak powszechnego, jak niegdyś posłuchu. Na miejsce jéj występuje coraz wyraźniéj to, co nazywają polityką socyalną; jest to dążenie, mające na celu przystosowanie się społeczeństwa do wytworzonych przez kapitalizm warunków bytu a to za pośrednictwem szeregu reform, zaprowadzenie ładu i systemu tam, gdzie dawna zasada *laisser faire* wywołała dezorganizacyę i walkę żywiołów sobie sprzecznych, stworzenie możności współżycia dla warstw ludności rozdzielonych dążnością ekonomiczną.

Przejawia się to w całym szeregu reform, które zacząwszy od ustawodawstwa przemysłowego i praw ochronnych dla robotników, objęły również i sprawy agrarne. Tu, nie mniéj jak w zakresie przemysłu, potrzebują pomocy i ochrony interesy różnych warstw społecznych, a więcéj jak w przemyśle, domaga się jéj materyalny substrat tych interesów, ziemia. Bo kiedy w walce drobnego prze-

mysłu z wielkim, wytwórczość sama doskonali się i wzmaga, a ofiarą pada tylko część wytwórców, kiedy zagrożoną jest tylko samodzielność przedsiębiorstw drobnych, które ideą w służbę wielkiego kapitału, albo się z nim poprostu zlewają, to rolnictwo niewiele skorzystało na tém przeobrażeniu, którém zagrożone są wszystkie stany, zarówno własność większa, jak i drobna.

Galicya, jako kraj należący do większéj całości państwowéj, prowadzić nie może samodzielnéj polityki agrarnéj; każda ustawa wydaną być musi najprzód zasadniczo dla całego państwa, zanim poszczególne kraje wprowadzać ją u siebie poczną. Nie to jest przecież główną przyczyną opóźnienia u nas ustawodawstwa agrarnego, bo Galicya nie była nigdy pierwszą w szeregu krajów, które korzystają z prawa zaprowadzenia reform. Winne tu raczéj pewne ospalstwo władz krajowych, znany austryacki szlendrian, mała wrażliwość na korzyści, które z reform wyniknąć mogą, a na dnie tego wszystkiego wyziera brak funduszów. Owa osławiona galicyjska biéda wszystko opóźnia i wszystkiemu staje na przeszkodzie. Zamożność zaś wzrastać i rozpowszechniać się nie może, o ile we wszystkich przejawach życia publicznego zawsze się spóźniamy i stoimy za innymi w tyle. Każda reforma przecież, czy będzie nią oddawna niezbędna komasacya gruntów, czy uregulowanie sprawy gruntów wspólnych, czy rozszerzanie instytucyi kredytowych, czy też na szeroką skalę prowadzone melioracye i popieranie kultur intensywnych, wymaga przedewszystkiém nakładu pieniężnego. Kraj przy wydatkach autonomicznych skazany jest na odwoływanie się do kieszeni swych współobywateli, dodatki do podatków pokrywać je wszystkie muszą, a jak wykazały rezultaty poborów podatku osobisto-dochodowego, skala zamożności w kraju jest przerażająco nizką.

Odbieglibyśmy od naszego przedmiotu, omawiając jego rezultaty, trudno przecież powstrzymać się od przytoczenia cyfr najważniejszych. Jak w każdym kraju tak i w Galicyi nie został prawdopodobnie wykazany cały dochód, bo nie jesteśmy zapewne społeczeństwem sumienniejszém od innych, wszędzie zaś kontrybuenci starają się obniżyć swoje dochody, a przez to i świadczenia do kasy państwa. Nie mamy wszakże żadnego powodu przypuszczać, aby utajanie dochodów dokonywało się u nas w większéj mierze, niż gdzieindziéj, zwłaszcza, że sprawdzały je komisye szacunkowe. Choćbyśmy jednak sumy dochodów przyjęli o dwa lub trzy razy większe (co wcale nie jest niemożebném, jak wykazują przykłady

innych krajów), stosunek dochodów, a zatém i zamożności Galicyi do innych krajów austryackich, pozostanie bez zmiany.

Podatkowi osobistemu podlegają jedynie dochody, począwszy od 600 złr. rocznie, a zatém niższe dochody nie są wcale uwzględnione w cyfrowych rezultatach. W Galicyi na 7,217,907 mieszkańców tylko 55,731 osób, czyli 0,78% całéj ludności posiada więcéj niż 600 złr. dochodu, w Czechach zaś wyższe dochody wykazało 169.818 osób, t. j. 2.77% całéj ludności, a w Austryi Niżnéj 266.575 osób, czyli 9% całéj ludności. Obliczając te stosunki na 1000 mieszkańców okazuje się, że w Galicyi 7 osób na 1000 ludności ma dochód wyżéj 600 złr., w Czechach cztery razy więcéj to jest 28, a w Austryi Niżnéj 21 razy wyższa cyfra to jest 90‰. Cały dochód surowy do opodatkowania wynosił w państwie austryackiem 1337 milionów, z tego na Galicyę wypadało 112 milionów, czyli 8.39%, a po potrąceniu pozycyj na długi, podatki, asekuracye, liczbę dzieci i t. d. 90 milion. rocznego dochodu czyli 7.81% całego dochodu w państwie.

Miasta galicyjskie są ubogie, wykazują w porównaniu z innemi miastami Austryi ubóstwo stanu średniego i małą liczbę ludzi bogatych, ale to samo zjawisko powtarza się i na wsi, a więc wśród naszego ziemiaństwa. Potrąciwszy miasta większe: Lwów, Kraków, Przemyśl, Stanisławów, Tarnów, Tarnopol i Kołomyję, na całą resztę Galicyi przypada 33.727 osób opłacających podatek osobisty, których dochód wynosił 50.981.759 złr. Na miasta wypada tedy na 100 kontrybuentów opłacających podatek 39.6, dochód ich zaś stanowi 43.3% całego, gdy na resztę Galicyi 60.4% opłacających podatek i 56.7% dochodu [1]).

Porównanie stosunków w Galicyi z innemi krajami austryackiemi, świadomo, że Austrya pod względem zamożności stoi na szarym końcu Europy, dowodzi wielkiego zubożenia społeczeństwa, a świadczy, że czas najwyższy pomyśleć o ratunku. Nie mamy miast wielkich, ani przemysłu, nie jest tedy niespodzianką, jeżeli powiemy, że ludzi bogatych o dochodzie wyższym niż 6000 rocznie żyje w Wiedniu 8149, w Pradze 1076, a we Lwowie tylko 290, bo Lwów jest jakieś 15 razy mniejszy od Wiednia, a 1½ raz mniejszy, niż Praga. Ale bardziéj przygnębiającém jest, że nasza wieś uboższą jest od miast i że licząc wraz z drobnemi miasteczkami nie ma ona nawet takich dochodów wśród kategoryi zamożniejszych mieszkańców, jak miasta małoludne.

---

[1]) Cyfry podane podług artykułu Witolda Lewickiego: „Zamożność Galicyi" Słowo polskie z 27/1 1899 r.

W świetle tych suchych cyfr budzi się wyrozumiałość, gdy rozwój naszego społeczeństwa powolniejszemi, niż gdzieindziéj postępuje drogami, ale powstaje również krytyka gospodarki, która do podobnego stanu doprowadzić mogła.

Okres reform dawno już nastał, prowadzić je należy choćby kosztem najwyższych wysiłków i to nie ograniczając się do pracy ustawodawczéj, ale czynnie regulując i pobudzając w odpowiednim kierunku produkcyę, zwłaszcza, że dopomaga w tém państwo, asygnując zwykle sumę takiéj saméj wysokości jaką daje kraj.

II

Przedewszystkiém reform i zmian domaga się własność włościańska. Stan jéj obecny, stosunek do własności tabularnéj i wynikające z dzisiejszego podziału roli następstwa staraliśmy się przedstawić w pierwszéj części téj pracy. Już i tam jasno występowało wyosobnienie stanu włościańskiego, nie mającego nawet lokalnéj instytucyi, w któréjby się z bardziéj oświeconą i zamożniejszą warstwą ziemiaństwa spotykał. Istniejące dotąd w Galicyi obszary dworskie, to przeżytek nie spotykany w żadnym z krajów austryackich, forteca szlachetczyzny, któréj stronnictwo konserwatywne broni dotąd zacięcie, jakkolwiek czuje, że przez to zupełne wyosobnienie pozbawiło się wpływu na stan włościański i że stan ten w miarę, jak wzrastać będzie jego oświata, uświadomienie polityczne i zamożność, coraz więcéj wyodrębniać się musi, a kto wié, czy nie stanąć we wrogim wprost do własności większéj stosunku.

Potrzebę reformy gminnéj odczuwają dziś wszystkie stronnictwa, ale gdy stronnictwa ludowe żądają zniesienia obszarów dworskich (socyaliści), połączenia ich z gminami (ludowcy) co jest równoznaczném, gdy nawet należący do Związku chłopskiego [1]), poseł Stanisław Potoczek stawiał (dnia 7/III 1892 r. wniosek wcielenia obszarów dworskich do związku gmin [2]), to stronnictwo konserwatywne proponuje dogodniejsze dla wielkiéj własności utworzenie

---

[1]) Związek chłopski oparł się na zasadach katolickich, na jego czele stoją księża, cel—odpieranie prądów radykalnych, zakładanie i czynne popieranie towarzystw przemysłowych, kółek rolniczych i t. p.

[2]) „dla wzmocnienia gmin wiejskich i małomiejskich przez pomnożenie ich siły podatkowej i równoczesne przydanie im członków więcej wykształconych“.

ciał zbiorowych autonomicznych, do których należałyby obszary dworskie i gminy [1]).

Ostatecznie sejm obradował nad projektem prawicy, postawionym przez J. E. posła Dunajewskiego o zaprowadzenie gminy zbiorowéj, albo okręgowéj, czyli administracyjnéj, w któréj skład weszłoby kilka gmin i obszarów dworskich, przyczém gmina miałaby jeden głos, a każdy obszar dworski również jeden. Takie niezaprzeczone faworyzowanie większéj własności (obszar dworski reprezentuje zwykle pojedynczego właściciela, gdy gmina jest ciałem zbiorowém) mogłoby włościanom przynieść korzyść tylko w tym razie, gdyby w zbiorowéj gminie nie występował antagonizm interesów dwóch odrębnych stanów, ale chęć zamożniejszéj, a często i oświeceńszéj braci w dopomożeniu mniéj zaradnym i uboższym. Ponieważ dotychczasowe doświadczenia nie wykazały w niczém tak humanitarnych stosunków, a obywatelstwo, zwłaszcza we wschodniéj części kraju, raczéj wrogo, niż przyjaźnie wobec chłopa jest usposobione, trudno od zamierzonéj reformy oczekiwać korzystnéj zmiany stosunków. Reforma gminna jest przecież konieczną, dotychczasowa gospodarka gmin ulega ogólnéj krytyce, ale celem byłoby tu wyrabianie ludzi, wskazywanie im kierunku i pracowanie dla ich dobra, nie zaś korzystanie ze zmiany aby włościan nowéj opiece i władzy szlachty poddać.

Stworzenie taniego i dostępnego kredytu dla włościan, to kwestya pierwszorzędnéj doniosłości. Po części rolę tę spełniają towarzystwa zaliczkowe, które, oprócz składek członków, rozporządzają od 1890 r. 500.000 złr. rocznego kredytu w banku krajowym, w części zaś kasy gminne, lub kasy oszczędności. Niema już dziś prawie powiatu bez kasy oszczędności lub zaliczkowéj, a lichwa, tocząca do niedawna bez podzielnie włościaństwo w Galicyi, została ograniczoną prawnie i w części zastąpioną przez pożyczki, instytucyi kredytowych. Powiaty zakładają dziś kasy z własnéj inicyatywy. Tak np. w latach 1896 i 1897 powstały kasy w Gródku, Nowym Targu, Horodence, w Lisku, w Sokalu, w Dobromilu, w Kolbuszowie, w Tarnobrzegu, w Białéj, na żądanie saméj że ludności.

Nie tu miejsce opisywać stosunki kredytowe w instytucyach, które mają głównie na celu udzielanie pożyczek włościanom, powiedzmy raczéj, jakim powinien być kredyt, aby istotnie odpowiadał ich potrzebom.

---

[1]) Wniosek Tadeusza Pilata z 27/IV 1893 r.

Przedewszystkiém, jak każdy kredyt rolny, tak i pożyczki dawane włościanom powinny być długoterminowe i umarzane ratami. Obok hypotecznych potrzebne są i osobiste, a jak jedne, tak i drugie powinnyby schodzić aż do sum najmniejszych. W banku krajowym np. prawne *minimum* pożyczki jest 500 złr., często jednak koniecznemi są pożyczki niższe, czego dowodem, że na 1410 pożyczek hypotecznych wypłaconych w ciągu 1889 roku włościanom, 257 wahało się między kwotą 250 — 500 złr. [1]). Gdyby ustanowioném było niższe *minimum*, prawdopodobnie nie omieszkaliby włościanie zeń skorzystać, bez uszczerbku dla banku. Włościanin bowiem, o ile tylko może, często z uszczerbkiem najpierwszych wygód życiowych, stara się spłacać swoje zobowiązania. Jako typowy przykład téj sumienności przytoczyć można fakt, że powiatowa kasa w Trębowli zażądała w banku krajowym oddzielnego kredytu 47,000 złr. w celu dopomożenia ludności włościańskiéj i wypożyczyła tę sumę na 387 weksli akceptowanych i poręczanych przez miejscowych włościan w kwotach 20 — 100 złr. Żaden z powyższych wekslów zaprotestowanym nie był [2]). Włościanie zatem rozumieją przyjęte zobowiązania i nowoczesną ich formę, a korzystaliby znacznie częściéj z kredytu, gdyby był on przystosowany do ich potrzeb.

Najodpowiedniejszą tu instytucyą zdaje się być tak spotwarzona w ostatnich czasach kasa gminna. Gminnych kas pożyczkowych było 1896 r. 3,427, czyli przeszło połowa gmin (z 6,234) w Galicyi posiadała kasy, których kapitał wynosił z końcem 1895 roku 6,080,433 złr. Na zachodzie kraju, gdzie włościanie chętnie korzystają z pomocy towarzystw zaliczkowych, gminne kasy pożyczkowe rozwijają się słabo.

I tak np. w powiecie	Chrzanów	gmin	84	kas	4
„	Wadowice	„	111	„	4
„	Myślenice	„	67	„	7
„	Żywiec	„	70	„	2

Tymczasem w pow. Tarnopol gmin 81, kas 81 z kapitałem 256,000 złr.
„ Brzesko „ 112 „ 109 „ 253,000 „

Kapitał kas podwoił się w powiatach Tarnopol, Bóbrka, Skałat (z 63,965 złr. do roku 1895 wzrósł do 139,895 złr.). W Czortkowie, Dąbrowie, w Mielcu szkontrum kasy wykazazało rezultaty bardzo dodatnie [3]).

---

[1]) Alegat 171 (do rozpraw sejmowych) rok 1890.

[2]) Tamże.

[3]) Alegat 245 do sprawozd. z sesyi sejmowej z 1898 r.

Nie można tedy twierdzić, aby kasy gminne były instytucyą która przy odpowiedniéj reformie i sumiennėm prowadzeniu potrzebom kredytu włościańskiego odpowiedzieć nie może. Przeciwnie kasy gminne mają dla Galicyi specyalnie wiele stron dodatnich. Przedewszystkiém są instytucyą już znaną włościanom, gdy każda inna musi dopiero zżyć się ze stosunkami miejscowemi, zarządzane są przez samą zwierzchność gminną i, o ile ta składać się będzie z ludzi zaufanych i światłych, na co oddziaływać trzeba, i kasa może być dobrze administrowaną. Przytém, udzielając pożyczki włościanom, należy mieć na oku nie tylko jéj spłatę, a więc interes saméj kasy, lecz także i pieczę nad dłużnikiem, aby istotnie użył pieniędzy według ich przeznaczenia, na melioracye, zakupno ziemi, narzędzi, przedsiębiorstwo jakieś i t. p. Włościanin potrzebuje wielekroć wskazówek i wychowania, a zadaniu temu najlepiéj odpowiedzieć mogą instytucye lokalne[1]).

Kasy gminne przeciwstawia się dziś w Galicyi kasom systemu Raiffeisena, których dotąd założono 15-cie. Te lokalne instytucye kredytowe posiadają istotnie właściwości dodatnie kas gminnych, a przewyższają je tém, że przyjmują udziały i oszczędności od członków. Zarząd ich jest bezpłatny, a poręka członków nieograniczona. Ostatni ten warunek przecież, zarówno jak niezbędne dla rozwoju kasy inteligentne i chętne siły są powodem, że tworzenie się kas Raiffeisena postępować musi bardzo powoli, przedewszystkiém tam, gdzie brak kas gminnych. Na ich założenie wyasygnował tegoroczny sejm milion złotych płatnych w ciągu lat pięćdziesięciu.

Niewłaściwémby też było znosić kasy gminne, o ile funkcyonują poprawnie, aby na ich miejsce założyć kasę Raiffeisena. Obie instytucye istnieć mogą w kraju jednocześnie, a najważniejszą każdéj z nich zaletą jest zaopatrywanie potrzeb lokalnego kredytu. Kasy Raiffeisena obejmują nie jedną, lecz zwykle kilka gmin.

Wogóle sprawa kredytu włościańskiego nie schodzi z porządku dziennego i zaprzeczyć nie można, że się dla niéj coś robi, że nawet jest na dobréj drodze, tylko, że nie dość energicznie jest popieraną. Na daleko idących postanowieniach nie zbywa, a działa się powoli i półśrodkami. Postanowiono np. (uchwałą sejmową z 15 lutego

---

[1]) Charakterystyczny fakt opowiadał poseł Wachnianin podczas zeszłorocznej sesyi sejmowéj: Pewien włościanin otrzymawszy w banku pożyczkę 400 złr. połowę użył na bieżące wydatki, drugą połowę zaś schował na spłatę rat bankowych. Gdy pieniądze wyszły, zaciągnął pożyczki lichwiarskie w tym samym celu.

1897 r.), aby bank krajowy wydawał obligacye kredytu komunalnego do 10 milionów złr. dla kas gminnych, towarzystw zaliczkowych i in. mających głównie na celu kredyt włościański. Rząd nie zatwierdził dotąd téj uchwały, ale czy nie jest ona wogóle przedwczesną, gdy ze sprawozdań bankowych widzimy, że i kwota półmiliona (patrz wyżéj) nigdy nie była wyczerpaną i schodziła często aż do 250,000 złr. Ten sam sejm z 1897 r. uchwalił dotacyę 5,000 złr. na zapomogi kas zaliczkowych i gminnych do rozporządzenia Wydziału krajowego. Z dotacyi na r. 1896 pozostało 3,100 złr. jako zaoszczędzenie, z 1897 r., w którym Wydział krajowy rozporządzał już 8,100 złr., pozostała oszczędność 5,786 złr. [1]).

Wiadomo, że oszczędność jest chwalebną cnotą w życiu prywatném, ale stanowi często dowód braku inicyatywy w działalności publicznéj.

Zresztą powolnemu szafowaniu kredytem dziwić się nie można, dopóki nie zażądają go w zwiększonéj mierze sami interesowani. Ci zaś wobec ostrożności właściwéj charakterowi chłopskiemu, żądać i potrzebowaćby go w znacznych rozmiarach mogli tylko w takim razie, gdyby otwierały się przed nimi widoki nowéj i wielce intratnéj działalności. Nowe pola produkcyi, przedsiębiorstwa przystosowane do warunków, w jakich żyje wieśniak galicyjski, mogą go dopiero wyrwać z apatyi, a rezygnacyę wobec biedy zamienić na przedsiębiorczość i energię. Naturalnie że pomysł i inicyatywa o ile oddziałać mają na całą ludność włościańską, muszą być dziełem polityki społecznéj prowadzonéj energicznie i wytrwale, która nie ogranicza się do reform prawnych, ale na nowe tory samą produkcyę wprowadza.

Przypatrzmy się przedewszystkiém, co zostało już dokonaném i czego od najbliższéj przyszłości oczekiwać możemy.

Za pierwszy krok w uregulowaniu stosunków własności włościańskiéj uznano komasacyę gruntów, sprawy gruntów wspólnie używanych w gminach, oraz ograniczenie podzielności ziemi włościańskiéj. Ustawy odnośne, dawno już wydane przez rząd centralny, doczekały się wreszcie w 1897 r. przedłożenia sejmowi przez wydział krajowy.

Komasacya (o którą już w 1885 r. dopominały się u nas kółka rolnicze) przeprowadzoną już jest na Morawach, w Karyntyi, Krainie i na Szlązku. W Galicyi zaś, wskutek nieustannych zmian, ja-

---

[1]) Sprawozdanie z czynności Wydziału krajowego za r. 1897.

kim podlega własność włościańska, stała się więcéj palącą, niż gdziekolwiek. Jak powiada T. Pilat, uzasadniając wniosek wydziału, przybywa rocznie koło 100,000 nowych parcel, często tak małych, że nie można ich uwydatnić na mapie kadastralnéj. Wynika z tego układ gruntów, nie nadających się często pod uprawę, tak są rozrzucone i drobne. Po skomasowaniu zaś, jakkolwiek pociąga ono za sobą znaczne koszta przez konieczność dokładnych pomiarów i oceny gruntów, wartość ich wzrośnie o 1/3 a nawet połowę. Przed rokiem (18 lutego 1898 r.) ustawa o komasacyi została przyjętą i odesłaną do Wydziału krajowego. Za minimum parceli uznano 25 arów dla pól, a $1^1/_2$ hektara dla lasów. Ogrody mogą być dowolnéj wielkości. Od komasacyi wyłączone będą grunta budowlane, winnice, sady, gdyż bez szkody przenieśćby ich nie można na innego właściciela, zasadą zaś jest, aby właściciel otrzymał tę samą przestrzeń, jaką stanowiły jego parcele. Ponieważ niezawsze jest to możliwe, najwyższa różnica dochodzić może do 20%. Komasacya udawała się tylko tam, gdzie postanowiła ją prosta większość interesowanych, dla Galicyi przyjęto zatém tę samą zasadę. Mogły się pojawić głosy, żądające pewnych zmian powyższéj ustawy w szczegółach jéj wykonania, w zasadzie przecież każdy uznać musi jéj słuszność, tembardziéj, że przedewszystkiém zależy od zgody samych uczestników.

Poważniejsze wątpliwości nasuwają się w kwestyi uregulowania i podziału gruntów wspólnych, jakkolwiek dotychczasowa gospodarka gmin ogólnie uznana jest za wadliwą. Pozbawić gminy własności gruntowéj przez podział jéj między członków znaczyłoby naruszyć zdawna istniejące prawo i zwyczaj, a jednocześnie wywołać spory i niezadowolenie. To téż gdy w 1891 r. wydział krajowy rozesłał do powiatów kwestyonaryusz dotyczący gospodarstwa na gruntach wspólnie używanych, znaczna mniejszość oświadczyła się za ich przymusowém podzieleniem, wszystkie zaś oprócz powiatu Zbaraskiego, głosowały za uregulowaniem gospodarstwa gminnego. Te 617,000 mg. gruntu, które wobec małorolności włościan galicyjskich olbrzymie dla nich mogłyby mieć znaczenie, dziś, jak mówiliśmy o tém wyżéj, żadnego prawie nie przynoszą dochodu, a nawet raczéj ujemnie, niż dodatnio oddziaływają na uprawnionych. Włościanin bowiem właśnie dla tego, aby jak najwydatniéj zużytkować swoje prawo do pastwiska, trzyma więcéj bydła, niż może wyżywić, a przez to ma krowy małomleczne, a koniki chude, które zdają się być całkiem innym gatunkiem zwierzęcia, gdy postawimy je obok meklenburskich koni pociągowych, lub pięknego arabczyka. W sprawie

gruntów wspólnie używanych należałoby tedy oddziałać na gminę, aby racyonalniejsze na nich prowadziła gospodarstwo, zamieniała je w sady, lub dobrze utrzymane pastwiska, nie dopuszczała do rabunkowego gospodarstwa po lasach, a pomimo nieudolności i przysłowiowego niedbalstwa, z jakiém gospodarstwa gminne są często prowadzone, możnaby przecież łacniéj oddziałać na ciało zbiorowe, publiczne, niż na drobnego, prywatnego przedsiębiorcę włościanina. Ostatni nietylko odnosiłby korzyści z umiejętnéj gospodarki na obszarach, których jest współwłaścicielem, lecz nawet wzorowaćby mógł na nich własne kultury.

Tymczasem ustawa, nad którą sejm obradował w roku zeszłym, zawiera reformę prawodawczą, a ustanawiając udziały w stosunku do całości, reguluje prawa użytkowników. Dzieleniu podpadać mają grunta sporne między gminą i obszarem dworskim i t. zw. własność spółek, to zn. obszary dawniéj jednolite, które przeszedłszy do kilku właścicieli nie zostały podzielone. Ponieważ każdy rości sobie do nich jak najwięcéj praw, a nikt praw swoich na czas dłuższy nie jest pewnym, gospodarka obliczoną nie jest na jak najwyższą wydajność przez dłuższy przeciąg czasu, lecz często wprost rabunkową. Niewątpliwie, że ustawa usunąć tu może spory i przywrócić niejednego do praw mu należnych, ale nie wzmoże produkcyi, o co w stosunkach galicyjskich wszędzie i zawsze przedewszystkiém chodzić powinno.

W sam rdzeń kwestyi włościańskiéj chcą trafić projekta do ustaw o ograniczeniu dowolności dzielenia gruntów włościańskich, rozpoczęte wnioskiem Grocholskiego jeszcze w 1883 r. a wypracowane ostatecznie wraz z dwoma poprzedniemi przez Wydział krajowy w 1897 r. Rozumowanie jest mniéj więcéj tego rodzaju. Ustawa z 1868 r. pozostawiła właścicielowi gruntu zupełną swobodę dzielenia pomiędzy spadkobierców, traktując ziemię na równi z kapitałem pieniężnym. Następstwem téj ustawy jest dzisiejsze nadmierne rozdrobnienie posiadłości włościańskich, *ergo* ograniczenie prawa spadkowego niezbędném się stało jako środek zaradczy.

Statystyka i oparte na niéj reformy, wypracowane w ścianach biurowych gabinetów, niejednego już zaprowadziły na manowce, jakkolwiek nawet wykazywały najlepszą wolę swego twórcy. Ze stanem wytworzonym przez coraz daléj idący podział gruntów włościańskich zgodzić się dziś musimy o tyle, że posiadanie najmniejszéj choćby zagrody chroni często włościanina od zupełnéj zagłady. Własność karłowa przy dzisiejszym stanie uprawy jest klęską dla kraju, gdyż jak widzieliśmy zmusza ludność do najniższéj skali życiowéj, obniża

zarobki, nie pozwala prowadzić intensywnéj gospodarki rolnéj, a niekiedy uniemożliwia ją prawie. Czy jednak można ustanowić jakąś kategoryę posiadłości, którychby prawo dzielić nie pozwalało? Przedewszystkiém musiałyby to być zagrody obejmujące *minimum* niezbędne do prowadzenia samodzielnéj gospodarki. Znaną jest norma 20 morgów, jaką dla Królestwa postawił p. Ludwik Górski. Przyjąwszy nawet *minimum* 15 morgów nie znalazłoby się prawie w Galicyi zagród włościańskich w tym obszarze, chyba w górach wschodniéj części kraju, gdzie o właściwém gospodarstwie rolnem nie ma prawie mowy. To już pierwsza trudność. Drugą nie mniéj wielką stanowiłyby spłaty współspadkobierców, na które włościanin galicyjski bardzo rzadko posiada środki. Trzecią wreszcie najważniejszą, a przynajmniej nie mniéj ważną byłaby okoliczność, że podniosłaby się liczba bezrolnego proletaryatu wiejskiego, dla którego absolutnie niema sposobów utrzymania. Nic téż dziwnego, że podczas obrad ankiety agrarnéj, która zasiadała we Lwowie w grudniu 1897 r., głosy delegatów włościańskich, nie znających wprawdzie zasad ekonomii politycznéj, ani ustawodawstwa agrarnego Niemiec, na którém wychowali się galicyjscy politycy agrarni, ale za to rozumiejących i odczuwających potrzeby włościan, odzywały się stanowczo przeciw ograniczeniu swobody dzielenia.

A jednak zaprzeczyć trudno, że dzisiejsza dowolność jest zgubną, że pod jéj działaniem ziemia się proszkuje, a właściciel, karłowy rolnik, musi być istotą, dla któréj najważniejszym problematem myślowym jest jak ograniczyć potrzeby swéj rodziny, nie mającéj możności korzystania z najniższych nawet zdobyczy cywilizacyi współczesnéj. Pomimo to ograniczenie dowolności dzielenia jest eksperymentem nader ryzykownym.

Stwórzmy możność zarobkowania po za gospodarstwem rolném przez rozwój przemysłu, dajmy włościaninowi tani i dogodny kredyt, któryby umożliwił spłaty współspadkobierców, a wtedy jeżeli samodzielenie się nie zatrzyma, czas będzie nałożyć prawne ograniczenia.

Te wszystkie względy stwarzają wśród opinii publicznéj kraju silną opozycyę przeciw ograniczeniom prawa dzielenia gruntów. Ta negatywna opinia nie oddziaływa przecież na obecne położenie drobnéj własności, a położenie to gwałtownie domaga się środków zaradczych.

Na wzór Niemiec pragną niektórzy politycy galicyjscy stworzyć samodzielną własność włościańską przy pomocy t. zw. włości rentowych. Projekt tego rodzaju wniesiony został w październiku

1893 r. do wiedeńskiéj Rady państwa, w kilka miesięcy potém przedstawiał go sejmowi krajowemu poseł Pilat, a jakkolwiek nie przyszedł jeszcze pod obrady, wielekroć poruszany był w prasie, w krakowskim klubie konserwatywnym i podczas ankiety agrarnéj. Instytucya włości rentowych łączy się z odpowiednim bankiem. Pomysł utworzenia banku rentowego wysunął w sejmie poseł Połoczek (8/V 1893 r.), należący do konserwatywnego związku chłopskiego.

Bank rentowy miałby udzielać włościanom pożyczek na kupno, na spłatę współwłaścicieli i na wykupno ciężarów gruntowych. Pożyczka wypłacana w 4%-owych obligacyach służyłaby na kupno włości, któréj spłata dokonywała by się w ciągu 28½ lat, po 6% od pożyczonéj sumy. Włości rentowéj nie wolno sprzedać, wydzierżawić, ani zaciągnąć na nią długu, oprócz pożyczki w obligacyach rentowych. Posiadacz byłby tedy zupełnie zabezpieczonym i po 28½ latach staćby się mógł panem gospodarstwa samodzielnego. Instytucya tego rodzaju korzystną byłaby raczéj dla jednostek, aniżeli dla milionowéj masy, którą z dzisiejszego położenia wybawić trzeba. Środkiem zaradczym na włościańską biedę bank rentowy stać się nie może, jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że w niektórych wypadkach bardzo użytecznie mógłby działać.

Gdyby akcya energiczna w jednym kierunku nie musiała z konieczności oddziałać niekorzystnie na inną, która prowadzoną być powinna równolegle, a nawet przedewszystkiem projekt włości rentowych, które przy pewnym nadzorze staćby się mogły wzorowemi fermami dla włościun, powitaćby można sympatycznie. Galicya nie jest przecież polem odpowiedniém dla spokojnych eksperymentów, ale raczéj wycieńczonym chorym, który co najprędzéj domaga się wzmocnienia i posiłku, bo inaczéj wszystkie dokonywane na jego ciele operacye udadzą się doskonale, a chory przecież skona.

III.

Rozpatrując istniejące stosunki i zamierzone reformy, zadać sobie musimy pytanie, czy w ogóle reformy prawodawcze dla poprawy bytu drobnéj własności w Galicyi wystarczą, czy dość wytworzyć instytucye kredytowe, aby stały się dostatecznym środkiem do podniesienia dobrobytu?

Przedewszystkiem bowiem liczyć się musimy z faktem olbrzymiego rozdrobnienia posiadłości włościańskich, a stąd małego ich rozmiaru i ogromnéj liczby posiadaczy, którzy dotychczas skazani

są na wielką nędzę, a którym w zakresie tych posiadłości dopomódz trzeba? Jest tu tylko jeden sposób: podnieść produkcyjność ziemi i zaprowadzić takie rodzaje kultury, które na małéj przestrzeni daćby mogły wysoki dochód, gdzie użyteczném i konieczném byłoby zastosowanie dużéj ilości pracy, zamieniając czysto rolniczy typ gospodarki na rolniczo-przemysłowy i handlowy. Już w ciągu téj pracy wskazywało się na to, dając przykład krajów, które potrafiły zużytkować wielkie rozdrobnienie ziemi tak, że nie stało się ono, jak u nas, powodem zubożenia ludności, ale nawet oddziałało na podniesienie dobrobytu.

Potężnym i dającym się szeroko zastosować środkiem byłoby rozpowszechnienie uprawy ogrodniczéj. Uzasadniając to powtórzyć nam wypada argumenty, których użyliśmy przed paru miesiącami na inném miejscu, a które niedostateczny znalazły wtedy oddźwięk [1]). Mylném jest mniemanie, jakoby uprawa ogrodnicza udawać się mogła tylko w bliskości miast. Przeciwnie każdy produkt ogrodniczy albo jego przeróbka znosi nawet najdalszy transport, tak np. niektóre warzywa jak kalafiory, główki kapusty, przybywają do Galicyi z Włoch lub Węgier. Odpowiednie zapakowanie owoców pozwoli na najdalszy ich przewóz. Zresztą im lepszy jest gatunek warzywa, czy owocu, tém większą jego cena, przyczém opłacają się koszta przewozu i opakowania. Przy produkcyi nasion zaś do *minimum* redukowałyby się koszta i trudności przewozu, gdyż cena nasion jest z reguły wysoką, względnie do ich objętości. Kwiaty przybywają do nas przez całą zimę z Włoch i Nicei, nie będą one przecież nigdy odpowiednim dla gospodarstwa włościańskiego artykułem.

Odległość od miast nie jest szkopułem dla kultury ogrodniczéj. Brak arteryi komunikacyjnych, takich jak koleje żelazne, jak nie jest ostatecznym argumentem przeciw rozwojowi przemysłu, tak nie będzie nim przeciw powstaniu ogrodnictwa. W obu wypadkach powstać one mogą, jako zjawisko wtórne wywoływane przez rozwój gospodarczy.

Nie dla wszystkich gospodarstw rolnych zalecać można kulturę ogrodniczą, ale właśnie dla najdrobniejszych. Ich właściciele stają prawie w jednym rzędzie z proletaryatem chałupniczym, a dla braku przemysłu w robotników przemysłowych zamienić się nie mogą. Na posiadłości kilkunastomorgowéj, a nawet przy obszarze 8

---

[1]) Słowo Polskie № 155 i 181 z 1898 r.

lub 10 morgów uprawa ogrodnicza nie byłaby możliwą, gdyż włościanin musiałby utrzymywać obce siły pomocnicze, gdy najłatwiéj mu jest zużytkować pracę członków własnéj rodziny. Dałby się zapewne uczuć brak nawozu, który jest koniecznym, aby uprawa ogrodnicza wydajną była. Zbytecznem byłoby również zalecać prowadzenie ogrodnictwa w tych gospodarstwach podmiejskich, gdzie główny nacisk położono już na mleczarstwo. Taki włościanin jak wykazują istniejące już w saméj Galicyi przykłady (np. pod Krakowem) nie tylko nie sprzedaje ziarna, ani paszy, ale jeszcze dokupuje dla bydła i świń. Sprzedaż świeżego mleka, masła, prosiąt lub wieprzy przynosi bardzo dobry dochód, a hodowla ich daje pracę wszystkim członkom rodziny, a czasem i sile najemnéj.

Uprawa ogrodnicza nie będzie tedy jakimś powszechnym środkiem zaradczym dla gospodarstw włościańskich, gdyż nie należy jéj zalecać, ani tam, gdzie dostateczny obszar pozwala na intensywną kulturę rolniczą, ani w tych osadach, które prowadzą gospodarstwo nabiałowe lub przeważnie opasowe.

Same warunki odżywiania naszego ludu świadczą, jako mało rozpowszechnioném jest ogrodnictwo: używanie owoców świeżych a tém mniéj suszonych, nie wchodzi do jego kuchni, jarzyn, oprócz kapusty, ziemniaków i grochu nie używa prawie. Lepsze i więcéj urozmaicone pożywienie byłoby pierwszą korzyścią z rozpowszechnienia kultury ogrodniczéj.

Jak widzieliśmy kultura ogrodnicza zajmuje w Galicyi bardzo małą przestrzeń. Jednak i te 109,259 hektarów stanowiłyby pewne bogactwo, gdyby te ogrody nie składały się przeważnie z sadów zarosłych przez zdziczałe drzewa, z zagonów warzywnych, zwykle niezdrenowanych, nawet w okolicach podmiejskich, zarosłych kapustą na długich jak bociany nogach, lub inném takiém i źle utrzymaném warzywem. W całéj Galicyi liczono na 100 hekt. przestrzeni rolnéj 1.40 ogrodów. Według stref rozdzielały się one w następujący sposób. W Krakowskiém 1.2%, na Powiślu 0.4, na glinkowatych pagórkach zachodnich 0.96, na podgórzu zachodniém 0.7, na wschodniém Podgórzu 0.65, w porzeczu Sanu i Dniestru 1.5, w powiatach wschodnich i środkowych 1.7, w powiatach północno-wschodnich 1.9, na Podolu 2.96.

N. Cybulski [1]) wspomina o trzech powiatach (Mielec, Tarnobrzeg i Turka), w których sadownictwo wcale nie istnieje, a o in-

---

[1]) Cyt. wyżéj s. 141 i 142.

nych 12-tu, w których bardzo mało ma być rozpowszechnioném. W Saksonii np. istnieje nietylko mnóstwo sadów, ale drogi i nieużytki obsadzone są drzewami owocowemi, Galicya nie wywozi dziś już owoców, które parę dziesiątków lat wstecz płynęły całemi galarami choćby do Królestwa. Warzywa i owoce są drogie, a przez to małą odgrywają rolę w spożyciu nawet u klas zamożniejszych, stąd niewielki zbyt, a przez to mały zarobek. Dziś kiedy minęła wiara w znaczenie mięsa, jako jedynego pokarmu odżywczego, kiedy wiadomo nam, że dobre i silne pożywienie polega głównie na umiejętnym doborze i mieszaniu jego składników, jarzyny i owoce, produkowane na wielką skalę, mogłyby właśnie przynieść korzyść.

Ogrodnictwo nie wymaga specyalnych warunków gleby. Na wielkich przestrzeniach do gleby stosować trzeba odnośne rośliny, gdyż zmiana gleby wymagałaby w przeciwnym razie wielkiego nakładu pracy i kapitału, co nie zawsze opłacićby się mogło. Ogrodnictwo prowadzoném bywa zwykle na małéj przestrzeni, gdzie łatwiéj sztucznie stworzyć odpowiednie dla roślin warunki gruntu. Zależy tedy nietyle od gleby, co od klimatu. Przez dodanie wapna, gliny, piasku, marglu lub humusu i odpowiednie nawożenie zmienić możemy każdą prawie ziemię na ogrodową, tém bardziéj, gdy dla podjęcia téj pracy mamy odpowiednią ilość rąk, co może mieć miejsce w rodzinie włościańskiéj. Nawozy zdobywa najdrobniejszy nawet rolnik, o ile umiejętnie wziąć się do tego potrafi. Należy tu zużytkowanie odpadków, robienie kompostów, skrzętne zbieranie nawozów po drogach, namuliska [z rowów i stawów (tak zw. stawarka). Wszystko z pomocą bydlęcego nawozu wytworzyć powinno nawet zdaleka od miast dostateczną ilość nawozu na ogrody i sady. Należałoby również zwalczyć przesąd, nie pozwalający używać zanawóz kału ludzkiego, tego najlepszego z nawozów, który nieocenione daćby mógł bogactwo. Nie byłoby to tak trudném, gdyż sami włościanie we wsiach pod Krakowem, takich jak Bienanów, Bronowice lub Dąbie używać poczęli kloacznego nawozu.

Różnice klimatu niekoniecznie stanowią przeszkodę, ale są warunkiem, do którego rodzaj ogrodniczéj kultury zastosować należy. Galicya, jak widzieliśmy wyżéj, posiada różnorodne warunki klimatyczne, ale niema krańców temperatury, któreby wzrost roślinności uniemożliwiały. Stosując się do tych warunków wytwarzaćby mogła prawie wszystkie rodzaje owoców i warzyw i prowadzić produkcyę nasion na wielką skalę. Mamy przecież pas południowy dokoła Zalenczyk, gdzie kultura moreli stanowi poważny przemysł. Klimat górski sprzyja hodowli śliwek, w zachodniéj części kraju udają

się wyborne jabłka. Nasze brzoskwinie, morele, śliwki i gruszki stanowićby mogły poważną konkurencyę dla Węgier. Różnice klimatu w różnych częściach kraju dopomogłyby do urozmaicenia różnorodnych nasion.

Za kulturą ogrodniczą w Galicyi przemawia jeszcze rozbicie parcel gruntowych, wiele niw włościańskich ma zaledwie 6—10 metrów szerokości, a komasacya zajmie w każdym razie długie lata. Dla ogrodnictwa szkopuł to znacznie mniejszy, niż dla uprawy rolnéj. Każda parcela użyć się da pod odrębne warzywo. Ogrodnictwo potrafi nawet dostrzedz dla siebie korzyść w owém rozbiciu, mianowicie przy hodowli nasion. Sadząc plantacye nasienne o kilka lub kilkadziesiąt sążni, ogrodnik będzie bezpiecznym, że mu się rośliny nie pokrzyżują. Przy grodzeniu, o ile ogrody, choćby różnych właścicieli, przytykają do siebie, płot może być wspólny, a więc wypada znacznie taniéj.

Oprócz znanéj i wielkiéj wydajności za kulturą ogrodniczą przemawiają względy ogólniejszéj natury. Przedsiębiorstwo drobne pomyślnie tu współzawodniczy z wielkiém, gdyż z natury swojéj równie dobrze, a niekiedy lepiéj prowadzoném być może na małéj, jak i na wielkiéj przestrzeni. Ogrodnictwo nie wyjaławia gruntu, ale go przeciwnie poprawia. Już samo kopanie, poruszanie gruntu, rozbijanie brył polepsza fizyczne jego właściwości. Przy uprawie tępi się szkodliwe dla roślin pędraki, myszy, podjadki; wyrywając i wybierając chwasty zmniejsza się ich liczbę. Silne nawożenie zwiększyć też musi płodność gruntu i mierną rolę nawet zamienić na pierwszorzędną, gdyż raz wszedłszy na tor ogrodnictwa, włościanin zastosuje również nawozy sztuczne a ulepszenie gruntowe łatwiéj dostępném mu się stanie.

Kultura ogrodnicza wymaga przeważnie roboty ręcznéj, jak sadzenie, pielenie, okopywanie, podlewanie i nieustannego a pieczołowitego nadzoru. Warzywnicza uprawa ogrodu na jednéj mordze wymaga mniéj więcéj 3 robotników. Uprawa ogrodnicza drobnéj nawet posiadłości dawałaby tedy zajęcie całéj rodzinie włościańskiéj. Robota odmienna przy każdym gatunku warzywa równomierniéj byłaby podzieloną na całą wiosnę i lato. Zbiór owoców, przyrządzanie roli, zbiór warzyw, sortowanie, pakowanie, suszenie owoców, robienie powideł, regulówka zającby musiały jesień. W zimie przyszłoby wyrabianie palików, kołów, koszów, robienie mat, czyszczenie, oskrobywanie i cięcie drzew, słowem rok cały zajęłyby zajęcia użyteczne i do tego samego skierowane celu.

Równomierniejszemu podziałowi robót odpowiadałby również powolniejszy, a stały wpływ dochodu. Dziś jeżeli gospodarstwo włościańskie ma cośkolwiek do sprzedania, sprzedaje odrazu. Przypuszczając rzadki, a korzystny wypadek, że uzyskanego dochodu nie pochłonęły podatki i lichwiarz, chłop posiada go jednorazowo, przez co powstaje pokusa jednorazowych zbytkownych wydatków. Naturalnie, że cały rok pokutować za nie musi. Przy uprawie ogrodniczéj zyski są większe, a obrót kapitału szybszy ciągle się powtarza, zamożność wzrasta. O ile nagłe zbogacenie, jak to np. widzimy wśród chłopów-nafciarzy, mały wpływ kulturalny wywiera na rodzinę włościańską, to stałe podniesienie dochodów zmienićby mogło zupełnie stopę życiową. Dokona się to tém prędzéj, że ogrodnik musi być poniekąd przemysłowcem i handlarzem. Sprzedaż owoców i jarzyn, wyszukiwanie dla nich rynków zbytu, rozbudzą ruchliwość i przedsiębiorczość, któréj właśnie brak naszym wieśniakom. Tu nie wystarcza już automatyczne sadzenie kartofli lub sianie zboża tak jak czynił dziad i ojciec, ogrodnik musi mieć inicyatywę, musi natężać nietylko ręce, ale i myśl. Im wyższym będzie otrzymywany lub spodziewany dochód z ogrodu, tém intensywniejsza pobudka do czynu. Kultura ogrodnicza więcéj od rolnéj zbliża się do zajęcia przemysłowego, wymaga umiejętności, przygotowania, staranności i pracy. Nie sądzimy, aby tych dodatnich przymiotów brakowało naszemu wieśniakowi. Przeciwnie przejawiają się, ilekroć się do tego nadarzy sposobność. Pod Bochnią, np. gdzie dziś już całe wioski zajmują się ogrodnictwem, wynajdują nawet proste a doskonałe sposoby uprawy, wytwarzają nowe gatunki ziemniaków, starając się o ile możności zataić swoją umiejętność. Wioski te, pomimo wielkiego rozdrobnienia gruntów, (kto posiada 8 morgów uważany jest za bogacza) cieszą się dobrobytem, a ludność niezwykle jest inteligentna, zdarzały się przypadki, że wieśniacy tamtejsi wykupywali posiadłości niemieckich kolonistów.

Przykładów takich przytoczyć można więcéj:

W Krzywczycach pod Lwowem pomimo rozdrobnienia posiadłości włościańskich zamożność jest niezła dzięki spieniężaniu wszelkich produktów rolnych, a szczególniéj nabiału i w a r z y w. W pow. Żydaczowskim, gdzie wogóle uskarżają się na biedę, wyjątek stanowi gmina Rozdół, któréj mieszkańcy z zamiłowaniem i niepoślednią znajomością rzeczy sadownictwem się zajmują i u których stanowi ono w y b i t n e ź r ó d ł o d o c h o d u.

W pow. Brodzkim, gdzie wogóle zamożność jest nizka, wyróżnia się gmina Załoźce, posiadająca rozległe sady po kilka i kilkana-

ście morgów. Składają się one z doborowych gatunków grusz, jabłoni, śliw i wiśni „amaryle" zwanych. Ostatnie rozsyłane bywają nawet do miast niemieckich. Właściciele sadów mają téż znaczne dochody.

W gm. Bartniki (pow. kołomyjski) sadownictwo stanowi jedną z najważniejszych gałęzi dochodu; w gm. Sowliny (pow. limanowski) przynosi sporą korzyść gospodarzom, to samo powtarza się w Męcinie, Szecyrzycach, gdzie sadownictwo zaprowadzili Cystersi, w Krasnéj Zasocicy, w Stroniu, w Kamienicy, Porębie i Małéj Kamionce. Niektóre z tych gmin zaniedbują nawet gospodarstwo rolne, a starannie prowadzą sady, które są dla nich główném źródłem dochodów. Podobne stosunki panują w niektórych gminach pow. Myślenickiego [1]). Włościanie sami dali zatém początek kulturze ogrodniczéj.

W porównaniu z zajęciem przemysłowém ogrodnictwo i sadownictwo mają tę wyższość, że nie czynią z ludzi kółek maszyny, nie obezwładniają ich monotonią i jednostronnością zajęcia. Wieśniak nasz zamieniony w przemysłowca domowego łatwo traci rzeźwość i zdrowie, a przytém zarabia bardzo niewiele. Ogrodnik więcéj jest samodzielny, może osiągnąć większy dochód, a tak samo jak rolnik pracuje na świeżém powietrzu, nie zmienia więc trybu życia. Do zajęć przemysłowych w ogrodnictwie zaliczyć należy hodowlę nasion i przygotowywanie przerobów owocowych i warzywnych.

Galicya wydaje rocznie koło 5 mil. złr. na nasiona [2]). Czy te 5 milionów nie powinnyby zostać w kraju, zasilając ubogie kieszenie chłopskie? Dziś węgierski przekupień (bo nawet nie hodowca) Mauthner ma w Galicyi cztery tysiące odbiorców na swoje nasiona. Pozornie przygotowywanie nasion wydaje się zbyt trudną dla chłopskich mózgów i zbyt delikatną dla rąk chłopskich robotą. Jest jednak inaczéj. Chłop francuski pod względem rozwoju umysłowego nie stoi wyżéj od naszego, choć przewyższa go zasobem wiadomości technicznych, które przy staraniach i pracy i u nas rozpowszechnić się dadzą. Otóż wieśniak francuski jest właściwie wytwórcą nasion, które Francya w wielkiéj liczbie rozsyła po Europie. Główny, a prawie że jedyny na całą Francyę przedsiębiorca nasion, firma Vilmorin

---

[1]) Cyt. prawie dosłownie wedł. sprawozdania Zarządu głównego Tow. kółek rolniczych za r. 1895.

[2]) Wedł. referatu p. Szarka, wypowiedzianego w r. z. w krakowskiem Tow. Ogrodniczém.

w Paryżu, skupuje nasiona od chłopów, prowadzących specyalnie w tym celu kultury ogrodnicze. Agenci jego zamawiają nasiona po całéj Francyi. Nasiona czyszczone są u hodowców przy pomocy maszyn lub też na miejscu pod Paryżem, tu również wysiewa się je na próbę na kilkunastu przeznaczonych na ten cel morgach, a sprawdziwszy wartość puszcza się w sprzedaż. Taki przedsiębiorca prywatny nawet w Galicyi mógłby nietylko zrobić majątek, ale zużytkować siły tysięcy gospodarstw włościańskich.

Więcéj gwarancyi, niż spekulacya prywatna, dałaby inicyatywa kraju, lub kółek rolniczych, które zajęły się już sprowadzaniem nasion zbożowych. Dla produkcyi nasion ogrodniczych kraj wytworzyćby musiał specyalistów, aby udzielali włościanom odpowiednich wskazówek. To chyba ważniejsze od kształcenia ogrodników dla większych właścicieli ziemskich, ku czemu się dotąd główne zwraca usiłowania.

Mówiąc o przerobach owocowych i warzywnych mieć należy na uwadze najprostsze, które i dziś wyrabiaćby można. Kwaszenie ogórków w odpowiednim czasie, przygotowywanie powideł na zbyt, to tajemnice poczęści już wieśniakowi znane, do których potrzeba mu tylko większéj ilości ogórków i śliwek. Dodaćby można suszenie owoców w piecach po chlebie i robienie pasty owocowéj. Konserwy warzywne, czy owocowe wymagają już dokładniejszéj roboty, oraz kapitału na blachy, słoiki, etykiety. Wyrób ten w chłopskiéj chacie napotykałby na wielkie trudności, a spodziewać się można, że produkcya fabryczna wzrosnąć powinna. Poprzedzić ją, a przynajmniéj towarzyszyć jéj musi hodowla owoców i warzyw, na których brak uskarżają się dziś istniejące suszarnia warzyw w Bochni i fabryka konserwów w Lubyczy królewskiéj.

Do rozpowszechnienia ogrodnictwa konieczną jest pomoc kraju i towarzystw ogrodniczych. Zorganizowane i wytrwałe usiłowania w postaci szkół ogrodniczych, nauki ogrodnictwa w szkole ludowéj, sadów i ogrodów wzorowych, jakie powstaćby mogły u nauczycieli lub na gruntach gminnych, rozrzucanie broszur i pisemek i t. p. skierowaćby mogły włościan na tę nową, a tak odpowiednią dla nich drogę [1]). Największe znaczenie mogłaby tu mieć systematyczna

---

[1]) Postanowionem jest już założenie szkoły ogrodniczéj dla włościan w Zaleszczykach. Co zaś do nauczycieli ludowych, których do ich przyszłéj roli przygotować trzeba, to akcyę w tym kierunku rozpoczęło już Towarzystwo Ogrodnicze w Krakowie: 10 nauczycieli kształci się co roku.

nauka ogrodnictwa, jako przedmiot obowiązujący w szkołach ludowych dla chłopców i dziewcząt. Ogrodem demonstracyjnym i naukowym mógłby być ogród nauczyciela, obrabiany przez dzieci. Istnieją przykłady np. w Ujściu Solném pod Bochnią, że zajęcia ogrodnicze nie przeszkadzały bynajmniéj nauce czytania i pisania.

Ogrodnictwo byłoby tedy najdostępniejszym może sposobem zaprowadzenia intensywnéj kultury wśród najdrobniejszéj własności. Mleczarstwo bowiem, zdaniem znawców, wymaga już urządzeń i maszyn, które dostępnemi są zaledwie dla spółek włościańskich, lecz nigdy dla posiadaczy gospodarstw karłowych. Intensywne gospodarstwo rolne możliwém jest zaledwie w nieznacznéj części gospodarstw włościańskich większych, które co do obszaru swego należą do samodzielnych.

Że jednak intensywna uprawa rolna i zamożność stanu włościańskiego możebną jest nawet przy wielkiém rozdrobnieniu ziemi, o tém świadczą stosunki w innych krajach. Jako przykład weźmy tutaj Francyę.

W 1892 roku własność rolna we Francyi dzieliła się na następujące kategorye:

Przedsiębiorstw rolnych	Ilość posiadłości w 1892 roku	Zajmowana przestrzeń w hektarach w 1895 r.
Poniżéj 1 hektara	2,235,405	1,327,253
od 1 — 5 „	1,829,259	5,489,200
„ 5 — 10 „	788,299	5,755,500
„ 10 — 40 „	711,118	14,313,417
Powyżéj 40 hektarów	138,671	22,493,393[1])

Wśród tych 4,814,870 przedsiębiorstw rolnych spotykamy wprawdzie dość poważną liczbę osad (od 5 do 10 hektarów), które przy uprawie czysto rolniczéj, nawet tak prowadzonéj, jak u nas, zaliczoneby być mogły do samodzielnych i przedstawiać stan chłopski. Ale obok nich istnieje wszakże przeszło 4 miliony osad, które nie dosięgają przestrzeni 5 hektarów, a zatem 20 morgów, a pomimo to stan włościański jest we Francyi zamożny. Porównywając rezultaty statystyki z lat 1882 i 1892 widzimy w pierwszéj kategoryi (poniżéj 1 hektara) wzrost o 67,738, w drugiéj zaś (od 1 — 5 hekta-

---

[1]) Statistique agricole de la France. Resultats généraux de l'enquête decennale de 1892, s. 357.

rów) obniżenie się liczby osad o 36,619 [1]). Trudno zatém powiedzieć nawet, czy rozdrobnienie własności wzmaga się lub zatrzymuje. W każdym razie nie jest zjawiskiem nowém, a Levasseur powiada, że „przedsiębiorstwa rolne nie były bardziéj rozdrobnione w XVIII stuleciu, niż są obecnie" [2]). Rozmiary uprawy przetrwały tedy od stu lat przeszło, ale zmieniło się zupełnie położenie ludności wiejskiéj. Jeszcze lat temu pięćdziesląt rolnik francuski nie mniejszym był od naszego nędzarzem. Jak powiada Leroy Beaulieu „dwie trzecie ludności obywało się bez mięsnego pożywienia, a nawet bez pszenicznego chleba, żyjąc chlebem żytnim, kartoflami, kukurydzą i kasztanami. Dziś podstawę pożywienia stanowi chleb pszeniczny, a mięso i wino lub cydr codziennie zjawiają się na stole" [3]). Ten wzrost zamożności przypisać należy intensywniejszéj uprawie roli, a przyrost najniższéj kategoryi gospodarstw (do 1 hektara, czyli 4-ch morgów) wraz z tém co wiemy o rozwoju ogrodnictwa we Francyi świadczy, że owa intensywniejsza uprawa roli musiała być ogrodniczą. Dzisiejsze stosunki w Galicyi, co do stopy życiowéj ludności, panowały we Francyi przed 50-u laty; porównywając płace zarobkowe cofnąćbyśmy się musieli jeszcze daléj. I tak przeciętny dochód roczny wyrobnika rolnego w Galicyi według wykazów kas chorych był 90 złr. rocznie. We Francyi roczny dochód robotnika rolnego wynosił według de Forille'a w 1700 roku 180 franków (a zatém 90 złr.). W 1813 roku 400 franków, a w 1882 r. 880 [4]).

Kultura ogrodnicza w żadnym kraju europejskim nie jest tak rozpowszechnioną, jak we Francyi. Jak oblicza Baltet [5]) same warzywa zajmują 430,000 hektarów, a dzięki téj wielkiéj wytwórczości „spożycie warzyw rozpowszechnioném jest wśród wszystkich warstw społeczeństwa, targi warzywne potworzyły się po wszystkich miastach, dobroć warzyw się podniosła". Wieśniak francuzki obok gospodarstwa rolnego hoduje szparagi, karczochy, kapustę, groch, fasolę, rzepę, osiągając przytém wysokie zyski. I tak np. karczochy dają czystego dochodu z hektara 2,000 franków, szparagi, zależnie od miejscowości 3, 4 a nawet 5,000. Warzywa francuskie wywożą

[1]) Tamże, oraz Resultats de l'enquête decennale de 1882, s. 280.

[2]) „La culture (je ne dis pas la proprieté) n'était assurément pas moins divisée un XVIII siècle que de nos jours". Des progrès de l'agriculture française... Revue d'économie politique. Styczeń 1898.

[3]) Traité d'économie politique. Paryż 1896.

[4]) Cyt. u Leroy Beaulieu t. II s. 305.

[5]) L'horticultureq dans les cinq parties du monde.

do Hiszpanii, Algieru, Belgii, Stanów Zjednoczonych A. P. Od 50 lat suszenie i prasowanie jarzyn okazało się wybornym środkiem ich konserwowania, pozwalając rozszerzać skalę przedsiębiorstw. Do 10 milionów klg. jarzyn przerabia się corocznie na konserwy. Uprawa truskawek olbrzymio jest rozpowszechnioną i daje od $1\frac{1}{2}$—2 tysięcy franków czystego dochodu z hektara [1]). Ogrodnictwo we Francyi nie jest zależném od bliskości miast, jakkolwiek najwięcéj rozwinęło się pod Paryżem, gdzie powstały podmiejskie fermy, poświęcone wyłącznie kulturze jednego gatunku. Olbrzymią pomoc znajduje jednak w wybornych środkach komunikacyi, które wywołały powstanie sadów i stacyj owocowych, a wśród nich fabryki przerobów na wielką prowadzone skalę. Znaczna ilość sadów należy do wieśniaków, a jak powiada cytowany już autor „kasy oszczędności po wsiach liczą tém więcéj wkładek, im bardziéj rozpowszechnione są sady i łąki".

Nie tyle piękny klimat Francyi, bo wszak i Hiszpania cieszy się dobrym klimatem, co opieka, jaką rząd i stowarzyszenia otaczają ogrodnictwo, przyczyniła się do olbrzymiego rozpowszechnienia tegoż. W szkołach rolniczych wyższych i departamentalnych ogrodnictwo stanowi obowiązkowy przedmiot, wzorowe fermy służą do nauki hodowli warzyw, stacye agronomiczno-ogrodnicze zaopatrzone są w laboratorya, departamentalne wykłady rolnictwa i ogrodnictwa odbywają się z 200 katedr, a wreszcie do szkół gminnych wprowadzono ogrodnictwo, jako przedmiot obowiązkowy, który nauczyciele i nauczycielki znać muszą.

Téj akcyi rządowéj odpowiada inicyatywa prywatna w postaci szkół rolniczych i ogrodniczych oraz stowarzyszeń centralnych i lokalnych. W zakładach rolnych dla sierot ogrodnictwo jest przedmiotem równorzędnym z rolnictwem. Porównywać Galicyę z jéj trzema młodemi Towarzystwami ogrodniczemi i jedyną szkołą w Tarnowie, z dzisiejszą Francyą byłoby śmieszném. Ale warunki bytu ludności wiejskiéj na tyle są podobne, że za wzór postępowania Francyę postawić sobie można.

Jak dotąd pomoc ze strony kraju i rządu skierowana ku podniesieniu intensywności gospodarstw rolnych idzie jeszcze w całkiem

---

[1]) W 1891 r. świeżych jarzyn wywieziono z Francyi $37\frac{1}{2}$ mil. kilogr., suszonych i prasowanych 12.7 mil. kil. (Baltet, cyt. wyż.).

innym kierunku. Główną uwagę zwrócono na bydło rogate [1]) i na gospodarstwo zwierzęce wogóle.

Dla własności większéj, a nawet dla włościańskiéj samodzielnéj jest to niewątpliwie bardzo ważne, témbardziéj że chodzi o wytworzenie przystosowanéj do warunków kraju rasy bydła. Najmniejsi właściciele korzystają z tego przecież nader mało, są zbyt ubodzy, aby prowadzić hodowlę bydła wymagającą znacznych wkładów kapitału. Na intensywną uprawę zaś, na ogrodnictwo i sadownictwo kraj i państwo dawały dotąd nadzwyczaj małe sumy.

I tak w sprawozdaniach Towarzystw rolniczych krakowskiego i galicyjskiego (pierwsze obejmuje zachodnią Galicyę, drugie wschodnią) za rok 1897 wypada z subwencyi rządowych i krajowych na

1.	gospodarstwo zwierzęce	99.502
2.	wydawnictwa, cele naukowe, nauczycieli wędrownych	16.612
3.	uprawę rolną (nasiona, nawozy sztuczne, próbne uprawy)	10.069
4.	ogrodnictwo tylko	4.552

Blizko połowa z wydatków na ogrodnictwo bo 2000 idzie na szkołę ogrodniczą, pozostaje minimalna 2,552 złr., suma która w roku 1898 wzrosła, daleką przecież jeszcze od zaspakajania istotnéj potrzeby rozpowszechniania kultury ogrodniczéj.

V.

W nagłówku części drugiéj niniejszéj pracy postawiło się pytanie: Reformy ustawodawcze, czy zmiana kultury rolnéj? Pytanie to niezupełnie ściśle oddaje właściwą myśl naszą. Nie chodzi tu o wybór między rozporządzeniami ustawodawczemi, a samopomocą, zdążającą do przeobrażenia nizkiéj kultury rolnéj w wysoką handlową, lecz o taki szereg działań wśród organów ustawodawczych, stowarzyszeń, wreszcie ludzi i stronnictw, zajmujących się sprawą agrarną, któreby na pierwszym planie postawiły sprawę podniesienia wydajności gospodarstw włościańskich. Na drodze samopomocy wśród włościan, o ile nie będzie ona zwróconą w określonym kie-

---

[1]) Ponieważ różne importowane rasy bydła, jak np. szwajcarska, okazywały się niedość wytrzymałe na warunki klimatu w Galicyi, chodziło o wytworzenie lub odnalezienie rasy krajowej, przystosowanéj do warunków. Uczynił to prof. Adametz, który odnalazł krajową, silną i mleczną rasę czerwonego bydła.

runku, zasilaną odpowiednim kapitałem, o ile nie usunie się przeszkód w rodzaju rozbicia parcel gruntowych, nie zaprowadzi melioracyi, nie ułatwi zbytu produktów, marzyć nie można o dokonaniu czegokolwiek. Najlepszym tego dowodem stan dotychczasowy, pomimo dawno już trwającéj i wzmagającéj się nieustannie potrzeby zmian. Droga ustawodawstwa, droga idącéj z góry reformy społecznéj jest jedyną i konieczną, ale droga ta może być różną.

Reforma społeczna w sprawach agrarnych zdążała dotąd przeważnie do zmiany niektórych punktów stanu prawnego, wśród którego żyje dzisiejsza ludność włościańska. Dawało to rezultaty w postaci szeregu przepisów administracyjnych, które nie zawsze oddziaływały dodatnio, ale przeciwnie odczuwane były dość często, jako wielkie przeszkody w działalności [1]). Zgódźmy się przecież na to, że ogólna ich tendencya jest dobra, lecz tylko stosunki włościańskie niezawsze do nich przystosowane. Po za niemi stoi dostarczanie włościanom taniego i dogodnego kredytu, niewątpliwie jeden z najważniejszych sposobów poprawy doli włościańskiéj. Jak się już powiedziało, nie jest on wystarczającym, skoro się nie wskaże włościaninowi użytkowania pożyczki w sposób produkcyjny. Ograniczanie praw do rozporządzania własnością krępuje swobodę jednostek, które do inicyatywy pobudzićbyśmy chcieli, a po za tém, jak to staraliśmy się wykazać, jest w istniejących stosunkach prawie niemożliwém.

Wszystkie te reformy ustawodawcze stoją, że tak powiemy po za włościaninem. Mogą mu ewentualnie wytworzyć łatwiejsze warunki pracy, ale nie oddziaływują bezpośrednio na samą tę pracę. Zadanie to spełnić są w stanie tylko reformy gospodarcze, skierowane wprost do podniesienia wydajności gospodarstw, a zatém: nauczanie nowych sposobów uprawy gruntu, rozpowszechnianie wiadomości o najwłaściwszéj dla drobnych gospodarstw kulturze, (zdaniem naszém ogrodniczéj), dostarczanie nasion, sadzonek, szczepków, wyszukiwanie miejsc zbytu, budowanie dróg żelaznych i wodnych, które stanowiłyby niezbędne środki komunikacyi, wreszcie ułatwianie i pouczanie o stronie handlowéj przedsiębiorstw. Przy każdéj z tych reform powinnaby być przedewszystkiém brana pod uwagę szeroka masa włościaństwa, które dzisiaj ginie ekonomicznie i dziczeje w odosobnieniu. Reformy administracyjne i gospodarcze mu-

[1]) Dość przypomnieć przepisy sanitarne o świadectwach dla bydła, po które o parę mil nieraz chodzić trzeba.

siałyby tedy współdziałać ze sobą, a przedewszystkiém mieć wytyczną postępowania:

Wskazać odpowiedni kierunek gospodarstwa, przy którym wzrosłaby szybko jego wydajność, zająć wszystkie ręce odpowiednią i nie odbiegającą od dzisiejszego sposobu życia pracą, pobudzić inicyatywę i energię przez pouczanie, a umożliwić przeobrażenie przez dostarczanie środków pieniężnych i ułatwianie zbytu produktów, oto jak się zdaje, kierunek, w jakim postępować muszą reformy ustawodawcze ręka w rękę z gospodarczemi, a dodajmy i kulturalnemi, bo oświecony włościanin łatwiéj pojmie korzyść własną.

Ani rząd, ani instytucye autonomiczne, jak sejm i ciało wykonawcze, Wydział krajowy, nie podjęło w tym kierunku szerokiéj, a poważnéj akcyi. Panuje na tém polu wszechwładny system oszczędności: jakaś szkoła parobków lub uprawy lnu, ani parę szkół rolniczych, czy ogrodnicza jedyna szkoła w Tarnowie, nie podołają takim zadaniom. Rozwiniętą być musi jednolita akcya, podjęta przez niewielki, a energiczny zarząd, złożony z kilku ludzi fachowych, których działanie poprze znaczny (krociowy) kredyt. Kreślenie programu nie leży w założeniu pracy niniejszéj, ale obowiązkiem jéj autorki było zwrócić uwagę na pierwszorzędne znaczenie téj sprawy, gdyż od jéj trafnego rozstrzygnięcia zależy dobrobyt milionów.

Kraków, dnia 25/II 1899.

Dr. Zofia Golińska.



Terytoryum dawnej ziemi Brzeskiej.

Sed fugit, interea fugit irreparabile tempus. Vergl. Georg. 3 284.

Brześć Litewski, pierwej Berestie, wchodził w skład Podlasia, Podlachii, t. j. szmatu ziemi, graniczącej z Lachami, czyli województwami rdzennie polskiemi, jak utrzymuje N. Daszkiewicz [1]). Podlasie to utworzyło się z następujących miast ze swojemi powiatami lub ziemiami: Brześć, Bielsk, Drohiczyn, Kobryń, Kamieniec (naturalnie t. z. Litewski) i Mielnik. Najdawniejsze z tych wszystkich miast jest zapewne Brześć, wspominany już w XI wieku w t. z. Ławr. Kronice, a mianowicie pod rokiem 1019 przy opisie walki Wołodimierowiczów, Swiatopełka z Jarosławem [2]) w ziemi Jadźwingów, której granice nie dadzą się teraz dokładnie określić.

W XIII stuleciu ziemie te należały, jak wiadomo, do posiadłości książąt wołyńskich z rodu Romana Mścisławowicza, ale stanowiły osobną całość, mającą swoje osobne dążenia i ideały polityczne, punktem zaś centralnym tych miejscowości był właśnie Brześć [3]). W takiej postaci zostały te ziemie zawojowane przez Gedymina [4]) i odtąd datuje się doba litewska w dziejach tych krajów. Jak wia-

---

[1]) cfr. Zametki po istorii Lito.-rus. gosudarstwa, Kijów 1885.

[2]) Law. Letp. 62, 114.

[3]) cfr. Ipatv. Letp. Petersburg 1871, p. 599 et seq.

[4]) cfr. Antonowicza, očerk istorii velik. kniaž. litow. p. 64, 65.

domo także, ziemie te oddał Gedymin (z wyjątkiem Kobrynia) Kiejstutowi, jako dodatek do księstwa Trockiego a następnie, przeszły one do Witołda; lecz gdy ten książe w 1390 r. został stronnikiem krzyżaków i stracił, czasowo, swoje posiadłości, od tej chwili zaczyna się rozdrobienie Podlasia, w obszerném tego słowa znaczeniu, na kilka drobnych i od siebie już niezależnych części i wtedy to wykazuje się osobna odrębność ziemi Brzeskiej, która niewiele wspólnego już miała z Podlasiem i innemi jego częściami, których tu uwzględniać nie będziemy, ponieważ nie wchodzą teraz w zakres naszego opisu. Nazwa „ziemi berestejskiej" ściąga się potém już tylko do znacznie mniejszego terytoryum, znajdującego się następnie w granicach województwa Trockiego; to terytoryum zarządzane było przez osobnego namiestnika, tworząc osobny okrąg sądowo-administracyjny a ten namiestnik niezależny był prawie od wojewody w Trokach, nosząc od r. 1507 nazwę starosty Brzeskiego [1]. Takich namiestników-starostów wylicza Boniecki [2]) od r. 1441 do końca XVI w. (1591) czternastu, zaczynając od Naczki, a kończąc na Janie Kiszce.

W drugiej połowie szesnastego stulecia (1566) utworzone zostało województwo Brzeskie, na sposób polskich urządzeń tego rodzaju, które zaliczono do Litwy, stąd i nazwa Brześć-Litewski. Województwo nasze składało się z dwóch powiatów - ziem: brzeskiego i pińskiego. Nas tu wyłącznie zajmuje terytoryum dawnej ziemi Brzeskiej, wygląd jej i granice przeważnie w XVI stuleciu.

Obszar dawnej ziemi Brzeskiej obejmował nietylko prawie cały teraźniejszy powiat tej nazwy w gubernii [3]) Grodnieńskiej (z wyjątkiem północno-wschodniej jego części t. j. Kamieńca-Litewskiego z okolicami, co stanowiło dawny powiat Kamieniecki), ale także prawie dwa całe powiaty gubernii Siedleckiej, Włodawski i Bialski, z małemi kawałeczkami powiatów sąsiednich tejże gubernii [4]). Miejscowości tego obszaru, znane już w XV—XVI stuleciu, mogą być wytycznemi punktami całego terytoryum dawnej ziemi Brzeskiej i dlatego te miejscowości szczególnie uwzględnić należy.

---

[1]) cfr. Wolff, Senatorowie i dygnitarze W. X. L. Krak. 1885, p. 9.

[2]) cfr. Poczet rodów Litewskich p. XXVI.

[3]) cfr. M. Lubawski, Obłastnoje dělenie i městnoje upravlenie litovs. rus gosudarstva, Moskwa, 1892, p. 181 et seq.

[4]) Konstantynowski, Radzymyński.

Zaczynamy od osad w teraźniejszej gubernii Grodzieńskiej w powiecie Brzeskim, naturalnie nie wyliczamy wszystkich, lecz tylko bardziej znane i ważniejsze [1]).

Czelejów albo Czelejewo na północ od Lśny (alias Leśny), niedaleko od jej połączenia się z Bugiem; bliższych szczegółów o tej miejscowości nieznamy.

Czerniawczyce albo Czarnawczyce należały do Nemera Wołczkiewicza, a przez zamianę, przed rokiem 1477, dostały się Iwaszce Iliniczowi [2]), od których przeszły do Radziwiłów, jak utrzymuje „Słownik geograficzny“.

Dobroniż, zwany niekiedy Dobronieżem, niedaleko od koryta Bugu; w XVII wieku posiadłość Sapiehów [3]).

Milejczyce, miasteczko w północnej powiatu Brzeskiego części, dawniej rozległa włość bardzo, w obszarze której miał sobie nadaną posiadłość w 1510 r. przez króla Zygmunta Andrzej Łozko, tak powiada Lubawski (p. 181), a na innem miejscu (p. 587) twierdzi, że Andrzej Łozko w 1510 r. kupił Milejczyce (może jaką inną część) od niemca Hanusza Hejnisza.

Ród Łozków niebardzo znany dokładnie; nawet niewiadomo, jakim pieczętowali się herbem. Boniecki, l. c. mówi, że przy końcu XV w. żył Borys Łozko, mający dwóch synów—Jura i Andryja; ten ostatni był leśniczym brzeskim, a potem wojskim, więc należał do osiadłej szlachty tamtejszej. Wiadomo także, że Łozkowie mieli innych przedstawicieli i inne dobra w tej ziemi, np. Rohacze, albo Rogacze (teraz powiat Brzeski, w gminie tejże nazwy)—a oprócz tego jeszcze inne, z któremi się spotkamy. Ów Andrzej Łozko w 1534 r. już nie żył, zostawiwszy syna Wasyla i córkę Hannę. Tyle Boniecki. Jeszcze trochę mamy szczegółów o tej rodzinie u Wolffa [4]): powiedziano tam, iż Wasyl Michajłowicz Sanguszko, z linii Kowelskiej żonaty był z Zofią, córką Andrzeja Borysowicza Łozki, wojskiego brzeskiego (mogłaby to być druga córka Andrzeja, który, podobno miał nawet jeszcze trzecią), wdową po Piotrze Bohowitynie Szumbarskim. Wasyl Sanguszko umarł r. 1558, nie zostawiwszy potomstwa z Łozczanki; wyżej zaś wzmiankowana córka Andrzeja Łozki, Hanna, była 1-voto za Lwem Potejewiczem, — protoplastą głośnej ro-

---

[1]) Wyliczamy te miejscowości, trzymając się dzieła Lubawskiego, l. c., który czerpał o tem wiadomości bezpośrednio z Metryki litewskiej.

[2]) cfr. Archiwum Sławuckie I, 73.

[3]) cfr. Monografia o Sapiehach III p. 138.

[4]) Kniaziowie Litewsko-Ruscy, p. 450.

dziny Pociejów, i matką znakomitego następnie metropolity Kijowskiego Adama-Hipacego Pocieja (żonatego z Anną Hołownianką-Ostrożecką), — a 2-voto za Dominikiem Pacem, kasztelanem Smoleńskim, podkomorzym brzeskim [1]).

Pechów czy Piechów nad Lśną. O tej miejscowości wspomina tylko Lubawski.

Pożeżenin albo Pożeżyn nad Rytą nadany także wyżej wspomnianemu Andrzejowi Łozce. W powiecie Brzeskim są dwie miejscowości tej nazwy; nieumiemy powiedzieć, o której tu mowa. Jeden Pożeżyn niedaleko od stacyi Aleksandryi, kolei żelaznej Brzesko-Kijowskiej.

Radowanicze nad Rytą, teraz Radwanicze Kościelne o cztery mile od Brześcia. W XVII w. posiadłość Gosiewskich; z tych Maciej, stolnik Nowogr. Siewiers., otrzymawszy ten majątek od Teresy z Gosiewskich Sapieżyny, przedał g 1708 r. Kazimierzowi Sapieże, a ten w parę lat później—Jakóbowi Flemıngowi [2]) a od Flemmingów dobra te przeszły do Czartoryskich [3]).

Terebuń nad Lśną; naprzód były te dobra w posiadaniu owego słynnego starosty Czerkaskiego i Kaniowskiego, Ostafiego Daszka, † 1535, a w następnym roku nadane zostały Iwanowi Dymitrowiczowi kniaziowi Szujskiemu.

Kniaziowie Szujscy, potomkowie książąt Suzdalskich, nazwę swoją wzięli od miasta Szui, obecnie w gubernii Włodzimierskiej; jeden z nich, Iwan Dymitrowicz, wyemigrował, jednocześnie z kniaziem Szymonem Bielskim i Iwanem Lackim, na Litwę i tam otrzymał od króla w kwietniu 1536 r. Terebuń w ziemi Brzeskiej; żoną jego była Maryna Bohdanówna Bohowitynówna (Bohdan, syn Lwa, cześnik litw. 1501). Kniaź Iwan musiał umrzeć około 1560 r. żona zaś

---

[1]) cfr. Boniecki l. c. p. 246 i Wolffa Pacowie p. 33.

[2]) Flemmingowie, rodzina pomorska, do Polski zawitała dopiero z Sasami. Jakób F., koniuszy W. L., żonaty z Franciszką Sapieżanką, córką Franciszka i Anny Lubomirskiej, potężny wpływ wywierał przy Auguście II. Z Sapieżanką się rozwiódł i ożenił się z Teklą Radziwiłłówną; umarł bezpotomnie i ta linia, starsza hrabiowska, wygasła, w 1772, po mieczu, lecz została młodsza, podskarbiowska, z której był ów głośny Jerzy, Podskarbi W. L, 1699 — 1771, potem wojewoda pomorski, żonaty z dwiema Czartoryskiemi, córkami Michała, kanclerza W. L.; jedyna jego córka, Izabella, wyszła za Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Jerzy, przyjąwszy katolicyzm, rezydował zwykle w Terespolu nad Bugiem. Ojciec zaś Jakóba Flm., także Jerzy żonaty był z Agnieszką Flemg, matką hrabiny Waldstein, a tej córka Eleonora, wyszła za Michała Czartor. cfr. Żychliński XI p. 92.

[3]) cfr. Sapiehowie II 201, 202, 205.

jego w 1563, wdowa, nazwana także dziedziczką Koroszczyna (także w Brzeskiem). Około r. 1580 wymieniona jako właścicielka Terebunia Hanna z Irzykiewiczów Szujska, żona Manuiła Iwanowicza. Syn ich Jan, piastujący różne w tej ziemi urzędy, który † ok. 1610 r., uposażył cerkiew w Koroszczynie (Słow. Geog. nazywa go Piotrem). Ten Jan zostawił kilku synów, którzy w XVII w. przyjęli katolicyzm i zarzucili tytuł kniaziowski, trzymali się jednakże swego gniazda w ziemi Brzeskiej. Jeden z nich, także Jan chorąży Brzeski, dziedzic Terebunia umarł 1643 r., a później te dobra były w ręku Konstantego - Jana, pisarza Brzeskiego, 1666; ten Szujski był żonaty, 1-voto, z Zofią Brzozowską, która mu wniosła Jasnohorodkę w Kijowskiém. Syn ich Dominik-Jan zeszedł z tego świata 1720 r., zostawiwszy syna Dominika-Ignacego, pana na Terebuniu i Janowie w Brzeskiem i na Jasnohorodce i Chabnem w Kijowskiém. Córka ich Aniela poślubiła Wojciecha Szujskiego, z innej linii tegoż rodu, szambelana Stanisława Augusta; oboje pomarli przy końcu zeszłego stulecia, a po nich zostały trzy córki tylko, które wniosły majątki Szujskich, przez kądziel, w inne familie [1]).

T r y s z y n nad Muchawcem w XVI w. dobra pisarza Fedora Januszkowicza podług Lubawskiego; miejscowość ta leży na wschód od Brześcia o parę kilometrów,

Bonicki zna ród Januszkowiczów albo Januszkiewiczów hrb. Lubicz; z tych ów Fedor pisarzem był koło 1505 r., a umarł około 1508; był także starostą łuckim i marszałkiem ziem wołyńskich.

T u r n a czyli Turnie o kilka kilometrów od Czerniawczyc, losy których dzieliła następnie, należała także do Radziwiłłów, a teraz do hr. Grabowskich (Słow. Geogr).

W a h a n o w e, w gminie wysokolitewskiéj, jest gniazdem rodziny Wahanowskich, pieczętujących się Gozdawą i Syrokomlą. Fedor Michajłowicz Wahanowski, wojski kamieniecki, otrzymał od króla Zygmunta 1535 r. pozwolenie na założenie tu miasta [2]), jak twierdzi Lubawski.

W XVII w. dobra w Brzeskiem Wychanowo należały do Witkowskich hrb. Poraj; z tych Tomasz, chorąży mielnicki, zapisał te

---

[1]) cfr. Wolffa, Kniaziowie Litewsko-Ruscy p. 520 et 199.

[2]) Fedor Michaj. Wahanowski był wojskim 1533 — 1541; na potrzeby wojenne dawał 19 koni; Aleksander W. marszał. i pisarz krl. 1569, cfr. Boniecki. Ojcem owego Fedora może był Michał Hrehorowicz, koniuszy Wileński, którego córka, Olena, była żoną Fedora Fedorowicza kniazia Konopli-Sokolińskiego, cfr. Wolff. l. c. p. 169.

dobra—i Swiatycze albo Switycze—żonie swojéj, Zofii Konopackiéj, kasztelance chełmińskiéj; chorąży mielnicki † 1675 r., a żona jego poszła powtórnie za Konstantego-Jana Szujskiego, pisarza brzeskiego (była drugą jego małżonką) podług Wolffa [1]).

Późniéj o te dobra—Wyhanów i Switycze—prowadzono liczne procesa, aż nakoniec w 1758 Sapiehowie, którzy od r. 1686 rościli sobie prawa do tych posiadłości, spłaciwszy innych pretendentów, ostatecznie zostali panami tych majątków, a mianowicie Aleksander-Józef Sapieha, wojewoda Połocki [2]).

Słow. Geogr. nie zna Wahanowa w powiecie Brzeskim, ale wymienia tam Wyganowo albo Wyhanowo w gminie Wysokolitewskiéj, dodając, że ta wieś razem z wielu innemi okolicznemi, należała do dóbr Sapiehów na Wysokiém-Litewskiém; Lubawski umieszcza swoje Wahanowo także w gminie Wysokolitewskiéj, więc prawdopodobnie jest to taż sama miejscowość.

W i e l e n a albo Wielona, na granicy z powiatem Kobryńskim, gdzie W. X. L. Kazimierz nadał Nasucie „szereszowe łowiszcza”. Boniecki wspomina o Nasutach: Janie, namiestniku brzeskim 1475 i Mikołaju Nasucie-Szeinparcie, który otrzymał od Witołda 1380 r. Szereszewo w Kamienieckiéj włości; a Kojałowicz (Herold Polski I, p. 252) mówi pod herbem Rawicz, że Wołmińscy, używający tego herbu, są z domu Nasutów.

W i s t y c z e nad Lśną w XV w. także dobra Nasutów, z których Jan zbudował tu kościół w 1471 roku i uposażył gruntami plebanię [3]). Następnie ta posiadłość, jak się zdaje, przeszła do kniaziów Massalskich (potomków książąt Czerniehowskich) z linii na Drui, do nich właśnie należał Buczeml (o kilkanaście jakich kilometrów odległy od Wistycz, z którémi stanowił jedną całość). Kniaź Wasyl Iwanowicz Massalski, Pan na Buczemlu, Drui, Podbiałéj etc. podkomorzy Brasławski, † 1623 (Żychliński), zostawiwszy czterech synów; zapewne jeden z nich sprowadził Cystersów do Buczemla r. 1665 r. [4]). Lubawski twierdzi, że jakiś czas Wistycze należały do Iliniczów, zapewne przed Massalskimi w XVI stuleciu, a po Massalskich w posiadaniu Tyszkiewiczów i Eustachy Tyszkiewicz,

---

[1]) Wolff l. c. p. 527.

[2]) Sapiehowie, III, 369, 370.

[3]) Wizyty kanoniczne, w kopii w ręku piszącego, z r. 1803, 1818, 1820, kościoła w Wistyczach nazywają fundatora kościoła wojewodą trockim, ale był on, o ile wiadomo, tylko namiestnikiem brzeskim.

[4]) cfr. Wizyty kościoła w Wistyczach.

podkomorzy Brzeski, żonaty z Izabellą Daniłłowiczówną, właściciel Wistycz, przeniósł Cystersów z Buczemla do Wistycz, ostatecznie ich tam uposażywszy w 1678 roku. Podkomorzy zeszedł z tego świata bezpotomnie; sprowadzeni przez niego O.O. Cystersi byli w Wistyczach do roku 1832.

Wołczyn, miasteczko nad Pulwą, jak się zdaje już w XV w. należał do Sołtanów. Na początku XVI stulecia dziedzicem Wołczyna nazywa Lubawski Aleksandra Sołtanowicza.

Sołtanowie lub Sołtanowicze przyd. Pereświt hrb. Syrokomla odm. głośni są bardzo i znani w XV w. Ów Aleksander w 1515 r. był marszałkiem królewskim, żonaty z kniażną Bujnicką (Bujniccy, potomkowie książąt połocko-witebskich, nazwę wzięli od Bujnic w Mohylewskiem), nieznaną z imienia, lecz córką Lwa, wspominanego w 1495 — 1506 r. [1]); na potrzeby wojenne dawał 37 koni (Boniecki). Syn Aleksandra, Iwan, miał za żonę kniażnę Maryę Sołomerecką (Sołomereccy są potomkami książąt Smoleńskich), córkę Wasyla Iwanowicza i Anny Władyczanki, i był jéj drugim mężem (pierwszy Włodzimierz Jurewicz Holszański-Dubrowicki, potomek książąt litewskich przed Gedyminem, † 1545). Iwan Aleksandrowicz Sołtan zostawił bardzo liczne potomstwo; jeden z jego synów, Jarosław, starosta Ostryński, z żoną swoją Maryą w 1586 r. uczynił zapis na cerkiew w Wołczynie [2]) pod wezw. św. Mikołaja i Hieronima. Syn ich nazywał się Hieronim; są o nim wzmianki w 1604 r.

W XVII stuleciu Wołczyn jest w ręku Gosiewskich albo Gąsiewskich, hrb. Ślepowron; z tych Teresa, córka Wincentego, 1-voto Józefowa Słuszczyna, kasztelanowa Wileńska, hetmanowa p. L., wyszła powtórnie za mąż za Kazimierza Sapiehę, wojewodę Wileńskiego i zapisała mu Wołczyn (z folwarkami Szczytniki, Hrymiacze, Luta, Siehniewicze etc.) w 1708 r. i sama prędko po tém przeniosła się do lepszego świata, a wojewoda we dwa lata późniéj, przedał te dobra Jakóbowi Flemmingowi, koniuszemu W. L. i jego małżonce Franciszce Sapieżance. Od Flemmingów przeszła ta posiadłość do Czartoryskich, a od nich do Poniatowskich (tu się téż rodził d. 17 stycznia 1732 Stanisław August), lecz 1744 r. Poniatowski odprzedał je znowu Czartoryskim, od których nabyli, na krótko, Pusłowscy, a potém poszło to w inne ręce [3]).

---

[1]) Wolff l. c. p. 13, 494.

[2]) cfr. Dzieje Dobroczynności III p. 283; w tym dokumencie są bardzo ciekawe szczegóły.

[3]) cfr. Monografia o Sapiehach. Petersburg 1890 — 1894, II 201, 205, III 74, 147, 171, 301.

Wyłoczki nad Muchawcem; wspomina o nich tylko Lubawski; nieznana zresztą bliżej miejscowość.

Telatycze, na południe od Milejczyc, teraz w gminie Rohaczewskiej, nadane w 1502 r. szlachcicowi Lewszy (Lubawski).

O tym Lewszy czytamy u Bonieckiego, że był dworzaninem Aleksandra Jagiellończyka; syn jego, Mikołaj, ciwun wileński 1507, otrzymał potwierdzenie tego nadania od króla Zygmunta. Jestto gniazdo rodziny Lewszów-Telatyckich hrb. Bielina, o których wspomina Borkowski w swoim spisie nazwisk szlachty polskiej. W XVII wieku należały Telatycze do Sapiehów z Wysokiego-Litewskiego, które nabył Paweł Sapieha, wojewoda wileński w 1647 r. od Andrzeja Wojny, a które przedtem było w posiadaniu Jodkiewiczów i Pietkiewiczów [1]).

Kajałowicz wspomina w 1587 roku w województwie Brzeskiém Jana Telatyckiego i kilku innych [2])

Zbunin nad Bugiem. Jest miejscowość téj nazwy o milę od Domaszewa, na północ, i jest Zbunin wchodzący niegdyś w skład dóbr Kodeńskich; czyby to było toż samo — nie możemy rozstrzygnąć.

Żyrowica i Kamienica nad Zahorzem dobra Iwaszki Litawora Chreptowicza na początku XVI stulecia, a może i wcześniej.

Chreptowiczowie hrb. Odrowąż, z tych Jan, *vulgo* Iwaszka, był synem Bohdana,—podskarbi, namiestnik nowogrodzki, uciański etc., poseł do Moskwy, — po potyczce nad Wiedroszą dostał się do niewoli, z której dopiero powrócił w 1508 r.; miał on bardzo wiele nadań od królów polskich i W. X. litewskich, zaczynając już od r. 1487, w różnych miejscach, lecz przeważnie na Polesiu. Zygmunt I osobnym przywilejem potwierdził mu na wieczność wszystkie te dobra (w powiecie drohickim, nowogródzkim, słonimskim, pod Trokami, a pomiędzy niemi i w Brzeskiém dwór i miasto Żyrawica i Kamieniec, zwany także i Kamienicią, a nawet Kamionką). Podskarbi umarł koło 1517 r. (niektórzy mniemają r. 1513), a ponieważ syn jego, Kazimierz, prędko żyć przestał, córki więc Anna i Zofia, wniosły dobra ojcowskie w inne domy (Ostyków i Oborskich). Podskarbi był żonaty z księżniczką Holszańską, córką Aleksandra i Zofii Sudymontowiczówny, a siostrą rodzoną Pawła, biskupa Wileńskiego, niewiastą charakteru niespokojnego, chciwą

---

[1]) cfr. Sapiehowie II p. 80.

[2]) Herold Polski I. 24.

władzy, procesującą się i warcholącą ze wszystkimi, nawet z własnemi córkami i zięciami; umarła ona przed rokiem 1541, darowawszy swoją schedę z posiadłości mężowskich królowéj Bonie i sporządziwszy ten testament na kilka lat przed śmiercią.

Na opiece tych Chreptowiczów był Aleksander Sołtan, o którym wyżéj była mowa, pan na Wołczynie; przyszedłszy do pełnoletności, rozpoczął on proces z Chreptowiczami (o tém procesowaniu się wspomina także Boniecki, które się skończyło po śmierci już Iwanki Chreptowicza na korzyść Sołtana; otóż z przebiegu tego procesu widać, że do tego Aleksandra Sołtana należał także Nieśwież, czemu autor artykułu o Nieświeżu w Słowniku geograficznym zaprzecza, cytując jednakże przytém bezimienną broszurę wydaną w 1862 roku p. t. „Aleksander Sołtan, szambelan Karola Zuchwałego, w któréj jest także mowa o władaniu Nieświeża przez tego Aleksandra Sołtana i wogóle Sołtanów.

Teraz, miejscowość ta nazywa się Żyrawicka Kamienica i dobra te należą do Tokarskich [1]).

Miejscowości dawnéj ziemi Brzeskiéj w teraźniejszéj gubernii Siedleckiéj.

P o l u b i c z e, teraz w powiecie włodawskim, nadane w 1503 r. kniaziowi Wasylowi Andrejewiczowi Połubieńskiemu herbu Połubieńczyk albo Jastrzębiec odmienny, dworzaninowi królewskiemu [2]). Pochodzenie kniaziów Połubieńskich niewiadome. Autor znakomitego dzieła o litewsko-ruskich kniaziach twierdzi [3]), że nazwę swoją otrzymali albo od Połubieńska pod Lidą albo od owych Polubicz podlaskich i dodaje, iż może to byli potomkowie jakich książąt litewskich. Ten kniaź Wasyl był potém marszałkiem hospodarskim, starostą mścisławskim etc. i umarł 4 marca 1550 r., zostawiwszy dwóch synów i córkę; od brata zaś Wasyla poszło znowu pięć oddzielnych gałęzi tego rodu.

S o s z n o, teraz Suszno, nad Bugiem w powiecie także włodawskim, darowane przez króla Kazimierza Sanguszkom, Aleksandrowi i Michałowi [4]).

Kniaź Sanguszko Fedkowicz—Fedko zaś był jednym z synów Fedora Olgierdowicza, miał czterech synów; dwaj z nich wcześnie

---

[1]) cfr. Pamiętnik rodu Chreptowiczów, drukowany w „Kronice Rodzinnéj" 1890, Wolff, l. c. p. 105, Słownik Geograficzny.

[2]) cfr. Lubawski l. c. 337.

[3]) cfr. Wolff l. c. p. 369.

[4]) cfr. Archiwum Sławuckie I № XCVI.

żyć przestali, a Aleksander i Michał, wyżéj wzmiankowani, są protoplastami tego rodu, który się podzielił z czasem na trzy linie: na Niesuchoiżach, pochodzącą właśnie od Aleksandra i syna jego Andrzeja, i ostatnim jéj przedstawicielem był Roman (także niekiedy Fedorem zwany) Romanowicz, wojewodzic Bracławski, † przy końcu 1591 r., bezpotomnie i bezżennie; na Koszersku prowadzoną przez Michała, syna Aleksandra, wygasłą w osobie Adama-Aleksandra, wojewody wołyńskiego, † 1613, pochowanego w kolegiacie Pułtuskiéj; i na Kowlu, idącą od Michała Sanguszkowicza (Kowel nadany im od W. K. L. Aleksandra, ale w 1543 r. zamieniany z królową Boną na Obole, Horwol, Smolany etc., lecz nazwa Kowelskich pozostała nadal przy téj linii) i istniejącą jeszcze.

Bracia Sanguszkowicze, Aleksander i Michał, tak się podzielili dobrami, że Soszno wział Aleksander razem z Włodawą [1]) i innemi w tamtych stronach posiadłościami. Soszno, jak się zdaje, pozostało w posiadaniu linii na Niesuchoiżach [2]).

Sołowiatycze, teraz Sławatycze nad Bugiem w powiecie Włodawskim (Słow. Geogrf. pow. bialski) nadane w 1499 r., Wołoszynowi Urszulowi, który w r. 1516 zapisał tę posiadłość Bohuszowi Bohowitynowiczowi, podług Lubawskiego.

Boniecki zna ród Wołoszynów: Wasyla, co miał otrzymać od Aleksandra Jagiellończyka Czernsko w ziemi Brzeskiéj, późniéj przez Zygmunta potwierdzone jego synowi Iwanowi; wymienia jeszcze dwóch z tego rodu, ale wyżéj wyrażonego dziedzica Sławatycz nie cytuje.

Ród zaś Bohowitynów *alias* Bohowitynowiczów herbu Korczak, już w XV stuleciu niejednokrotnie się spotyka. Protoplastą ich jest Bohowityn, mający dwóch synów Lwa i Bohusza, namiestnika przełajskiego, który umarł na początku XVI w., zostawiając kilku synów, z których jeden nazywał się Bohusz-Michał, † 1530 (zdaje się, że powyższy zapis uczyniony był Bohuszowi I), podskarbi ziemski, marszałek hospodarski (zwany zwykle Bohuszem Bohowitynowiczem), sporządził w 1529 r. testament, mocą którego żonie swojéj,

---

[1]) Włodawy, która leżała także w województwie Brzeskiem, przy ujściu Włodawki do Buga, Lubawski nie zalicza do terytoryum dawnej ziemi Brzeskiej, ani o milę od niej leżącej Rożanki, sławnej siedziby Paców, chociaż, jakby się zdawało. obie te miejscowości mogły się znajdować także w dawnéj ziemi Brzeskiej.

[2]) cfr. Wolff l. c. o Sanguszkach.

Fedorze Andrejewnie Sanguszkównie z linii na Niesuchoiżach, zapisał 1000 kóp groszy, ubezpieczając tę sumę na Sławatyczach, Dołhoborodach i innych swoich dobrach podlaskich. Z tego małżeństwa były tylko córki, które te dobra w inne przeniosły rody. Brat rodzony podskarbiego, Iwan, marszałek także hospodarski, żonaty powtórnie z Anną Kopciówną, kupił potém od brata swego stryjecznego, także Iwana, Wortel (o czém niżéj) i umarł w 1551 r. starostą krzemienieckim. Lew zaś, rodzony brat Bohusza I, cześnik litewski 1501 r., miał 3 synów: Iwana na Wortelu, Bohdana (córka jego Maryna za Szujskim), który nabył Koroszczyn, i Bohowityna II. Przez kądziel przeszły Sławatycze do Leszczyńskich i Radziwiłłów [1]).

K a m p l i n o s y, teraz Kapłonosy, w powiecie włodawskim, które Kazimierz Jagiellończyk nadał jakiemuś Chodzce Liskowi i Ondruszce, bliżéj nieznanym.

K o r o s z c z y n, powiat bialski; o nim pierwszą napotykamy wzmiankę w 1500 r. pomiędzy nadaniami Mikołajowi Jundziłłowi [2]); potém te dobra — Koroszczyno, a niekiedy Koroszczyce zwane, zostają w ręku Tworyana Dremlika, wojskiego-brzeskiego [3]), który je, z braćmi, w 1516 r. sprzedał Hrehoremu Ościkowi, krajczemu litewskiemu, panu bardzo majętnemu, wystawiającemu na potrzeby wojenne 116 koni, kasztelanowi potem wileńskiemu, a ten, w 1525 r., zbywa tę posiadłość Bohowitynowi, którego córka wnosi ją w dom Szujskich, jakieśmy to już wyżéj mówili. Do końca XVIII w., dobra te były w ręku Szujskich [4]).

D ł u g o b r o d y alias Dołhobrody, w powiecie bialskim, w gminie Sławatyckiéj, w 1500 r. należały do tegoż M. Jundziłła, potém w posiadaniu Bohowitynów, o czém było już wyżéj [5]).

H a j n a, teraz Hanna, nad Bugiem w powiecie bialskim, jakoby jedna z najstarszych nad tą rzeką osad, a także B e r e ś c i e, bliżéj nie znane, nadane przez Aleksandra Jagiellończyka temuż M. Jundziłłowi, podług Lubawskiego.

Protoplastą zaś Jundziłłów herbu Łabędź, miał być Raczko, ten miał syna Jundziłła (Jundiła), który znowu zostawił czterech synów: Mikołaja, Jana, Pawła, Szymka. Mikołaj, kuchmistrz Hele-

---

[1]) cfr. Boniecki l. c. p. 10 et syg. i Słow. Geogrf.

[2]) cfr. Boniecki p. 112, Lubowski 154.

[3]) cfr. Boniecki p. 50.

[4]) Słow. Geograf.

[5]) Słow. Geograf., Boniecki l. c.

ny W. K. L., otrzymał właśnie wszystkie wyżéj cytowane nadania, ale potomstwa nie miał, dobra więc owe, przynajmniéj niektóre, musiały przejść na braci, z których jednakże Jan tylko i Szymon doczekali się potomków [1]).

Pole, teraz Opole w powiecie włodawskim, nadane Tworyanowi Dremlikowi w 1510 r., ale już w 1511 r. wznowiona tu erekcya cerkwi przez Wasyla Kopcia, w rodzinie którego te dobra miały zostawać do XVIII w., a potém przeszły do Sierakowskich [2]).

Kopciowie, ród senatorski herbu Kroje odm. (tuż są także herbu Lubicz), dzielili się na dwie gałęzie: smoleńską i witebską. Wasyl Iwanowicz, ze Smoleńskiéj, miał nadania w ziemi smoleńskiéj od Kazimierza Jagielończyka, zostawił syna Michała-Kopota, który, po stracie dóbr smoleńskich, otrzymał posiadłości w Brasławszczyźnie; był pisarzem litewskim 1506 i marszałkiem hospodarskim, żonaty z Kroszyńską Maryą [3]); córka ich Fedja była za kniaziem Iwanem Połubieńskim; (taż sama, w inném miejscu nazwana Rainą); w 1541 r. ten kniaź procesował się ze szwagrem swoim, Fedorem Kopciem, o Opole i Rusiły [4]). W r. 1643 fundował tu kościół Aleksander-Ludwik Kopeć, kasztelanic Brzeski [5]).

Kijowiec nad Zelwą w powiecie bialskim, gdzie Zygmunt August erygował cerkiew; w XVII stuleciu królewszczyzna [6]).

Łomazy także nad Zelwą, powiat bialski; w 1447 roku odłączone od starostwa Parczowskiego i przyłączono do Litwy; Zygmunt August nadał temu miastu prawo magdeburskie [7]).

Kodeń w powiecie bialskim znany od bardzo dawnych czasów, jak to powszechnie wiadomo; w posiadaniu Sapiehów od początków XVI stulecia prawie do początku niniejszego. T. zw. Iwaszko Sopieżyc, który nabył wiele majątków w Brzeskiém, kupił

---

[1]) Boniecki p. 112.

[2]) Słownik geogr.

[3]) Kniaziowie Kroszyńscy, herbu Widła, nieznanego są pochodzenia; z tych Konstanty Fedorowicz, skarbnik smoleński, utraciwszy w Smoleńszczyznie swoje dobra, przeniósł się na Litwę i w Grodzieńskiém Dubno otrzymał w 1506 r.; żonaty był z Anną, córką Iwana Koszki; ich córka Marya była żoną Kopcia Wasylewicza, zmarłego 1531 roku, a który był także dzierżawcą Miednickim i Przewalskim. Synéw jego, znanych trzech: Fedor, Iwan, Wasyl, córka zaś Fedja, niekiedy zwana Rainą, ale może to jej siostra. Cfr. Wolff p. 188, 374.

[4]) cfr. Boniecki l. c.

[5]) Słow. Geograf. i Pacowie p. 88.

[6]) Słow. Geograf., Sapiehowie III p. 31.

[7]) Słow. Geograf.

także od braci Ruszczyców *alias* Romczyców miejscowość nad brzegiem Bugu, zwaną Toden, późniejszy Kodeń, i, przyłączywszy do tego niektóre okoliczne wioski, otrzymał w 1511 roku, przywiléj na założenie w Kodniu miasta, gdzie zbudował zamek, następnie murowany, otoczył go murem i uczynił tam swoją rezydencyę, w któréj wiele jego rodu pokoleń przesiedziało; dzieje Kodnia jednakże dobrze są znane, więc dłużéj o tém się nie rozwodzimy [1]).

Dobryń nad Zelwą, powiat bialski, zwany niekiedy Dobrzyniem; w XVIII w. należał także do Sapiehów [2]).

Neple nad Bugiem, powiat Konstantynowski, w XVI w. dobra Lwa Bohowitynowicza, cześnika litewskiego, o którym było wyżéj. Potém należały do Skaszewskich, następnie do Niemcewiczów [3]).

Wortel, teraz Ortel, nad Zelwą, powiat bialski, w 1501 r. nadany Lewkowi Bohowitynowiczowi, który w 1487 r. był klucznikiem Brzeskim i miał trzech synów, z tych Iwan sprzedał tę posiadłość bratu stryjecznemu, jakieśmy o tém już wyżéj mówili. Na początku XVII stulecia nabył te dobra Lew Sapieha (od Jana Bohowityna Kozieradzkiego [4]).

Cecebor, teraz Cicibor, w powiecie bialskim, nadanie Kazimierza Jagiellończyka dwóm braciom Juszce i Orłaszkowi, zkądinąd wcale nie znanym; mówi o tém tylko Lubawski l. c.

Wohin, Wohyń, niegdyś Woin, istniejący już, jakoby, w XIII wieku [5]); Lubawski umieszcza go w powiecie Włodawskim, a Słownik geograf. w Radzyńskim; od XVII stulecia zaliczony do Litwy.

Horbów *alias* Horbowo nad Zelwą w powiecie bialskim; Lubawski powiada, że Kazimierz Jagiellończyk nadał tę posiadłość Daszce Barsobiczowi—osobistości zresztą nieznanéj.

Horbów jest gniazdem rodziny Zaranków herbu Korczak, a potém Horbowskich, ziemian brzeskich i drohickich. W r. 1519 Jan Horbowski procesuje się o równy dział na Horbowie z synowcami [6]). Kościół tu fundowany w 1516 r. [7]).

---

1) cfr. Sapiehowie I p. 13.
2) Lubowski l. c. i Sapiehowie III, 102.
3) cfr. Lubowski l. c. i Słow. geograf.
4) cfr. Sapiehowie I p. 163, Boniecki, Lubawski l. c.
5) Barsow, Istoriczeskaja geografia, Warszawa 1885.
6) cfr. Boniecki p. 85.
7) cfr. Słownik geograf.

Do roku 1600 Horbowo było w ręku Horbowskich i dopiéro Andrzej Sapieha, wojewoda połocki, 1601 r., kupuje tę posiadłość od Przecława Horbowskiego, pisarza grodzkiego brzeskiego i żony jego Katarzyny z Bohowitynów Kozieradzkich [1]). Następnie Horbowo przeszło do Czartoryskich [2]).

Biała, teraz miasto powiatowe w guberni siedleckiéj, należała na początku XVI stulecia do Jura Iwanowicza Ilinicza, tak twierdzi Lubawski. Toby potwierdzało, poniekąd, mniemanie Bartoszewicza, który, opierając się na podaniu, cytuje jakiegoś Ilinicza, wojewodę brzeskiego, nieznanego zresztą w historyi, i nazywanego ostatnim dziedzicem Białéj z tego rodu („Zamek w Białéj"), nie dopuszczając przytém dziedzictwa na Białéj Kiszków. Słownik zaś Geograficzny utrzymuje, że założycielem téj miejscowości był Piotr Janowicz, zwany Białym; jednakże takie przezwisko dają jednemu z Kiszków i Piotrowi Janowiczowi Mondygirdowiczowi, wojewodzie trockiemu 1491 r., hetmanowi etc., który miał się przenieść do wieczności w 1497 r. [3]). Córka jego była za Stanisławem Kiszką, zmarłym około 1514 r., a syn, Piotr, ożeniony z Hanną Jurówną Iliniczówną, wojewoda połocki, † 1535 r. [4]). Koligacye więc i związki pokrewieństwa pomiędzy tymi rodami były. „Starożytna Polska" podaje wiadomość, że Biała od Iliniczów przeszła do Radziwiłłów, mianowicie po bezpotomnéj śmierci Jerzego Ilinicza, syna Feliksa, ożenionego z Zofią Radziwiłłówną (córką Jana II Brodacza i Kiszczanki), † 1541 r.; panem na Białéj, pisał się Mikołaj-Krysztof Sierotka, 1549—1616, pierwszy ordynat na Nieświeżu, syn Mikołaja Czarnego i Elżbiety Szydłowieckiéj. Ale tu znowu zachodzi kwestya: Feliksa Ilinicza nie zna Boniecki, chociaż go podaje Żychliński (Złota księga XI p. 167). Ponieważ nie mamy wyczerpującéj monografii rodu Iliniczów, przeto nie możemy nic stanowczego wyrzec w téj sprawie [5]).

---

[1]) Sapiehowie I p. 133.

[2]) Słownik geograficzny.

[3]) cfr. Senatorowie i Dygn. W. Ks. L.

[4]) cfr. Boniecki l. c.

[5]) To, co wiemy o Iliniczach z Niesieckiego — nie wystarcza; Boniecki podał nam stosunkowo, więcej o nich wiadomości.

Ilinicze, podług niego, pochodzą z Mohylowskiego; pieczętują się Korczakiem; protoplastą tego rodu był Ilia, żyjący za czasów Witolda; dzieci tego Ilii przyjęły rodową nazwę Iliniczów; z tych historycznie znany Iwaszko 1475 r., namiestnik drohicki, potem witebski i smoleński w późniejszych czasach. Tego Iwaszki dwóch synów dzieje wspominają: Mikołaja i Jura, oraz jedną córę. Mikołaj,

Granice więc ziemi Berestejskiéj — mniéj więcéj dałyby się w ten sposób określić: na południu terytoryum tego obszaru zaczęłoby się trochę daléj na zachód od Wohyna i, zostawiwszy Parczów koronny na stronie, ciągnęłoby się aż do Suszna; granica zachodnia byłaby na północ od Wohyna, mijając Międzyrzec (w ziemi Mielnickiéj, w prostéj prawie linii przez Białę do Wołczyna, (daléj na zachód—ziemi Drohicka, klinem wchodząca na terytoryum brzeskie); północna granica rozpoczynałaby się gdzieś około Milejczyc i szłaby do Wahanowa (daléj na wschód już dawny powiat Kamieniecki); wschodnia, półkolem, przez Wahanów, Wielonę, Radwanowicze, Pożeżenin dążyłaby do Suszna.

Marek Gozdawa.



---

namiestnik miński, marszałek hospodarski, na początku XVI w., zostawił syna także Mikołaja i kilka córek; Jur zaś Iwanowicz, starosta brzeski, † 1527 r., żonaty był z Zabrzezińską, wojewodzianką trocką, przez którę Szereszów Ilinicze otrzymali; Jur miał zostawić czterech synów i dwie córy, lecz losy ich—nie znane. Ilinicze posiadali dość obszerne włości, nietylko na Podlasiu, ale i w innych województwach, w trockiém, mścisławskiem i t. d. Jerzego Ilinicza nazywa Kojałowicz hrabią na Mirze; czyby to była identyczna osoba z owym Jurem Iwanowiczem—stanowczo twierdzić nie możemy. Cfr. Boniecki p. 96, Herold polski, I. p. 93.

Z LITERATURY POLEMICZNÉJ

XVI wieku.

Niedalecy bylibyśmy od prawdy, nazwawszy XVI wiek naszéj literatury epoką polemiki religijno-społecznéj. Niewiele można odnaleźć jednostek, które na modłę Horacyuszowską *procul negotiis* drapują się w klasyczną togę stoika, usunąwszy się od życia politycznego: takim jest Kochanowski, Szymonowicz, takim byłby może Sęp Szarzyński, „by był doszedł do lat swoich".

Zresztą, począwszy od Reja a skończywszy na Skardze, przez całe pół stulecia polemika bujnie rozkwita we wszystkich dziedzinach naszéj myśli. Weźmy takiego Orzechowskiego, to postać psychologicznie i społecznie typowa i ze wszech miar godna uwagi, największy krzykacz i warchoł w całéj naszéj literaturze ówczesnéj, ale zarazem najzdolniejszy publicysta. Ten jest nieodrodném dziecięciem swego wieku, czy w szlacheckiéj bucie i samowoli opluwa paszkwilami rodzinę królewską, czy piorunuje na księży, niewypełniających swych ślubów, czy jak Bellerofon nowy wyjeżdża na harc ze Stankarem - Chimerą, czy gromi protestantów, usiłujących zachwiać sztuczną budową jego quincunxa, rozgorączkowany, pełen

sprzeczności i fałszów, prawdziwy mistrz w paradoksie. Jego animusz rycerski nigdy nie opuści; wypowie fałszywą zasadę bez zająknienia, wesprze ją całym szeregiem argumentów, nie zawsze przekonywających, ale wypowiedzianych z wielką siłą przekonania, napiętrzy gmach bez pomocy pionu - logiki — chyli się i trzeszczy cała struktura — nic to! jemu to wystarcza, a o poklask tłumów nie trudno.

A Rej? to postać odmienna nieco, ale również typowa. Ten nie bawi się w subtelności dyalektyczne, bo téż tego genialnego samouka nie stać na cytaty, argumenta, rozumowania, teorye. Już bo w teoryi plącze się najfatalniéj, nie mogąc się wywikłać ze sprzeczności, o co go zresztą głowa nie boli: nie umie pogodzić kalwińskiego dogmatu „przejrzenia", t. j. predestynacyi, z nauką o wolnéj woli, téj ostatniéj ze wszechmocą Bożą, téj znów z astrologicznemi bredniami o wpływie gwiazd na charakter i losy ludzi, a wszystkiego tego z teoryą „gołéj tabliczki", jak nazwał duszę ludzką na 100 lat przed Lock'em nasz domorosły filozof.

Że to wszystko wikła się i kłóci, nic to dziwnego, ale Reja nie wytrąca to bynajmniéj z równowagi i nie pozbawia dobrego humoru. Gdzie mu zaś do filozofii? skalpelem logiki badać zagadki bytu i myśli i ważyć na czułych ważkach krytycyzmu! nasz Rej ma na to za ciężką głowę i za ciężką rękę. To też rąbać tylko potrafi, ale jak rąbie! pleban tłusty, chciwy a gnuśny, mnich „ponury, jak Kartuz", szlachcic strojny a butny, istna „szara pycha", opiły i obżarty, „pani duszka", trwoniąca pieniądze na stroje zbytkowne, głupiec nadęty, gbur nieobyczajny wszystkim dostają się uczciwe cięcia, a nasz satyryk ręki nie żałuje.

Doniosłość obyczajowa dzieł Reja zbyt jest znaną, by się nad nią rozwodzić; dość powiedzieć, że cała niemal działalność pisarska autora „Wizerunku" od „Krótkiéj rozprawy" do „Zwierciadła" nosi charakter polemiki żywéj, gorącéj, nie przebierającéj w wyrazach, w rubasznéj, zgruba ciosanéj formie: czy chodzi o dogmaty religijne, czy o śmiesznostki szlacheckie, Réj zawsze kuflem trąci. Ale, że obok tego jest śmiałym w wytykaniu wad tych nawet, których Klonowicz pod lwią skórą nie śmiał zaczepiać, że jest dowcipnym przy całéj swéj rubaszności, że jest obserwatorem tak bystrym, jakich mało, że ma wielki talent satyryka karykaturzysty, umiejącego kilku sztrychami nakreślić postać w pełni ruchu i werwy komizmu, przeto nigdy nie staje się płaskim i trywialnym, jak epigonowie jego z wieku XVII, autorowie brudnych i cuchnących paszkwili w rodza-

ju „Testamentu luterskiego” lub „Listu o kozakach polskich do D. Martyn Luter”.

A Skarga—czyż to nie wielki polemista? Prawda, iż przyświeca mu wzniosły ideał miłości i dobra kraju rodzinnego, prawda, że skupiło się w nim całe gorzkie doświadczenie epoki walki o egzekucyę, wyrywając mu z ust proroctwa Danielowe, prawda, że rozum polityczny, a zwłaszcza uczucie polityczne dochodzi w nim do zenitu, ale bądź co bądź góruje u niego ton polemiki nie tylko przeciw tym, których uważał za wrogów porządku społecznego, ale także przeciw tym, którzy w rzeczach wiary myślą inaczéj; stąd narzekania na akt tolerancyi religijnéj z roku 1573, stąd podobna, jak i u Orzechowskiego, skłonność do wyprowadzenia logicznych wniosków z fałszywych przesłanek w tych kazaniach, w których przemawia z kaznodziei bardziéj mnich-jezuita, aniżeli Polak-obywatel.

Nazwaliśmy barwę literatury XVI wieku tonem polemiki religijno-społecznéj. W saméj rzeczy dwa te pojęcia w owym czasie w dziwny na pozór, a w saméj rzeczy w łatwy do wytłomaczenia sposób zespoliły się jak najzupełniéj. A pochodzi to stąd, iż w owéj epoce sprawy „egzekucyi” od sprawy reformacyi nie odłączano zupełnie; jedna i druga miały jednakowo społeczny charakter. Kto więc zabierał głos w rzeczach, dotyczących religii, musiał mimowoli potknąć się i o kościół narodowy, i stanowisko duchowieństwa w państwie szlacheckiém, i dziesięcinę, i świętopietrze, i jurysdykcyę duchowną i t. d.,— i odwrotnie.

Polemika ta nie przebierała w środkach — wszystkie drogi były dla niéj dobre, wszystkie formy — równouprawnione: ulotne broszurki, pisemka, wierszyki, poematy, traktaty polityczne lub obyczajowe, nawet dyalogi.

Forma dyalogowana zwłaszcza była ulubioną. Używał jéj Rej w „Krótkiéj rozprawie”, „Warwasie“ i w „Kupcu”, Orzechowski w „Dyalogu około egzekucyi“ i w „Quincunxie“, Górnicki w „Rozmowie Polaka z Włochem“, Kochanowski we „Wróżkach“. Wygodna to forma, gdyż pozwala na przytoczenie wszystkich kontrargumentów, przynajmniéj łatwiejszych do zwalczenia, i zwycięskie ich obalenie.

Do tegoż odłamu literatury należą „Rozmowy polskie“ Wita Korczewskiego (1553 r.), stające w obronie katolicyzmu i duchowieństwa, jak również i bezimienne dyalogi „Komedya o mięsopuście” i „Prostych ludzi w wierze nauka“, nie mówiąc już o takim wstrętnym paszkwilu na katolicyzm i papieża, jak „Tragedya o mszy”.

Wszystkie te dyalogi mają jedną wspólną cechę, wyróżniającą je np. od komedyi rybałtowskiéj, t. j. że poza samą formą dyalogu niema w nich nic, coby przypominało dramat i scenę; bo téż i nie dla sceny były one pisane: ani węzła dramatycznego, ani akcyi, ani charakteryzacyi osób—słowem dramatu tu jeszcze mniéj, niż w „Józefie“ Rejowym lub w „Dyalogu Częstochowskim“.

Do tych dyalogów polemicznych przybyły nam obecnie trzy, wydane przez d-ra Zygmunta Celichowskiego z egzemplarzy biblioteki Kórnickiéj (Poznań, nakładem Biblioteki Kórnickiéj, 1899). Zostały one odnalezione w okładce téj saméj „Postyli" Seklucyana, z któréj w zeszłym roku dr. Celichowski wydobył „Kupca" Rejowego i litewski przekład pieśni *Te Deum laudamus*, uskuteczniony przez M. Moswida w roku 1549, oraz polski przekład tejże pieśni. Cenna to okładka dla dziejów naszego piśmiennictwa!

Według przypuszczenia wydawcy, wszystkie trzy dyalogi pochodzą z jednego czasu (około r. 1549) i wyszły z jednéj drukarni (może Jana Weinreicha w Królewcu).

Pierwszy z dyalogów wydawca zatytułował „Rozprawa krotka a prosta o niektorich Ceremoniach a Ustawach kościelnych", odnalazłszy taki tytuł w spisie utworów Jana Seklucyana u Jerzego Krzysztofa Pisańskiego w jego *Entwurf einer preussischen Literargeschichte* (Królewiec, 1886). „Jest to satyra — pisze Pisański—na zabobonne ceremonie papiestwa w rozmowie między studentem, wracającym z Wittenbergi do ojczyzny, do Polski, a między jego rodzicami, księdzem miejscowym i innemi osobami".

W założeniu więc dyalog ten przypomina pierwszą „Rozmowę polską" Wita Korczewskiego; bo też prawdopodobnie ta ostatnia jest odpowiedzią na nasz dyalog ze strony obozu katolickiego. Chociaż przechował się tylko fragment z naszego dyalogu, zdaje się nie ulegać najmniejszéj wątpliwości, że to właśnie pisemko miał na myśli Pisański.

Na ogłoszony przez d-ra Celichowskiego urywek składa się utarczka słowna między Studentem, który powrócił właśnie z Wittenbergi, przywiózłszy pełną głowę „nowinek" a miejscowém duchowieństwem katolickiém, Plebanem, Kacermistrzem, Gwardyanem, Altarystami i Prebendarzami. Młody zwolennik Lutra i Melanchtona z łatwością pokonywa swych przeciwników, prawiąc wymownie o adoracyi świętych, o postach, mszy, eucharystyi, klątwie i mnichach; tylko o czyśćcu nie chce się rozwodzić:

O czyścu się ja nie pytam,
W ewangelii tego nie mam.

Tém łatwiéj mu przychodzi wygrana, że księża wcale się nie bronią, przyznając się otwarcie do nieuctwa:

Jaciem bibliej nie czytał,
Jeden ze sta bodaj ją znał.
Co też umiem, to powiadam,
A pismem się nie zabawiam.
Tak my sobie przepisujem
Sexterniki, z których każem,

mówi Pleban, tłomacząc się tem samem, co i ów pleban z dyalogu „Prostych ludzi w wierze nauka", — brakiem środków.

Wtrąca się do rozmowy i Gospodarz, skarżąc się na chciwość księży: są i tacy, co komunii chłopu nie udzielą, póki nie zapłaci kolędy i świętopietrza, chociaż w chacie u niego nędza okrutna.

„Ubogim, nie mam czem płacić,
„Musiałbych dziecię zastawić" —

tłomaczy się biedak napróżno!

Jeden tylko Klecha nie przyjmuje udziału w dyspucie, nie dbając o jéj rezultat: nie ma *beneficia*, nie ma więc nic do stracenia, pozostaje też od początku do końca rozmowy obojętnym i bezstronnym. To najbardziéj wypukła i dramatyczna figura w całym dyalogu.

Kończy rozmowę Ojciec studenta, przyznając mu słuszność, a zarazem błędność dotychczasowych swych wierzeń, Matka zaś spłaca dług wdzięczności księżom za trud poniesiony:

I my też wam dziękujemy
Żeście syna nauczali.

Dr. Celichowski rzuca przypuszczenie, że może autorem niniejszego dyalogn jest Rej, Seklucyan zaś tylko wydawcą. W całém atoli dziełku prócz jawnéj niechęci ku duchowieństwu katolickiemu niema absolutnie nic, coby przypominało rubasznego twórcę „Zwierciadła". Przypuszczenie to podlega więc wielkiéj wątpliwości.

To samo można powiedzieć o fragmencie następnego dyalogu, zatytułowanego dowolnie przez wydawcę: „Pokusy szatańskie". Jest to rzecz jeszcze suchsza i bezbarwniejsza, niż poprzednia; w rozmowie przyjmują udział Szatan i Grzesznik. W saméj rzeczy jest

to traktat teologiczny, podzielony na rozdziały, (zatytułowane pokusy), jak zwykle tego rodzaju utwory. W ocalałym fragmencie przechowały się: koniec rozdziału trzeciego, cały czwarty i część piątego. Rzecz cała polega na tém, iż Szatan stara się wykrętami dyalektycznemi zachwiać w Grzeszniku równowagę jego wierzeń, ten jednak trzyma się odpornie i nie daje się uwieść pozornéj prawdziwości dowodzeń kusiciela, powołującego się nawet na Pismo św. Najciekawszy jest rozdział piąty, w którym czart „kusi mszą, aby ją najmował a w niej nadzieję pokładał, świeczki stawiał, pielgrzymował a z czyśca dusze wybawiał”; jest to, jak widzimy, krytyka obrządków kościoła katolickiego i duchowieństwa, które kupczyło świętościami na swoją korzyść. Kończy się karykaturalnym obrazkiem procesyi i uczty księży po odprawieniu nabożeństwa, zupełnie w stylu Rejowym.

Ten ostatni ustęp naprowadza nas na mniemanie, że rzeczywiście Rej jest autorem tego dyalogu, ale scholastyczny układ dziełka, bezbarwność języka, niedołężne rymy, a wreszcie postawienie pod zarzutem dogmatu „przemierzenia Bożego” (predestynacyi), którego Rej gdzieindziéj bronił z uporem, każe nam raczéj przypuścić, że autorem niniejszego dziełka jest ktoś, co znał „Krótką rozprawę” Reja i przeniósł z niéj żywcem niemal scenę odpustu do swego dyalogu.

Trzeci dyalog — to dysputa teologiczna między Księdzem rzymskim a ruskim, w którym ten ostatni pokonywa swego interlokutora. Myliłby się jednak, ktoby sądził, iż chodzi tu o stosunek obu kościołów. Autor nie stoi bynajmniéj na stanowisku Kościoła Wschodniego; jest on protestantem i tylko przez nienawiść do katolicyzmu daje palmę zwycięstwa stronie przeciwnéj. Ta sama tu więc krytyka komunii pod postacią chleba, bezżeństwa duchowieństwa, spowiedzi usznéj, dogmatu o czyśćcu; podaje się wreszcie w wątpliwość tradycya o założeniu biskupstwa rzymskiego przez św. Piotra. Wyróżnia się ten dyalog od poprzednich i formą: gdy tamte pisane są średniowiecznym 8-zgłoskowym wierszem, ten składa się ze strof 5-wierszowych szematu: 8 a + 8 a + 8 a + 8 b + 6 b. Rymy o wiele staranniejsze i gładsze.

W przedmowie do tego dyalogu wydawca z większą już śmiałością stawia hypotezę o autorstwie Reja, raz dla prowincyonalizmów czerwonoruskich: obiednia, przaśnica, nożny, a powtóre dla niektórych właściwych Rejowi wyrażeń, jak: łuczyć, kłusać, puścić

na szrot, dubiel, stoi za jaje. Nie chcemy téj kwestyi przesądzać, tembardziéj, iż ogłoszony egzemplarz dyalogu niniejszego jest bez początku i bez końca, a więc bez karty tytułowéj, przedmowy i t. d. Zastrzegamy się tylko, że kilka oddzielnych wyrazów, będących zresztą w mowie potocznéj u całéj szlachty, nic jeszcze dowodzić nie może.

Henryk Galle.



Rozbiory i Sprawozdania.

Maciej Wierzbiński. Nowelle, z przedmową Teodora Jeske-Choińskiego. (Biblioteka dzieł wyborowych № 90). Warszawa, 1899.

Nazwisko p. Wierzbińskiego względnie mało znaném jest naszéj publiczności. Przyczyną tego warunki życia młodego autora. Pochłonięty przez pracę zawodową kupiecką, musiał przezwyciężać w sobie żyłkę pisarską, a odcięty od kraju i społeczeństwa od lat wielu, nie mógł dać się poznać swym ziomkom. P. Wierzbiński przebywa obecnie od dłuższego czasu w Londynie, zżył się z tamtejszém społeczeństwem do tego stopnia, iż nawet zaczął pisać po angielsku, od lat dwu dopiero zaczął drukować i po polsku korespondencye, sprawozdania i nowelle. Niniejszy zbiorek jest pierwszą książką jego, wydaną w kraju.

Nic więc dziwnego, że wobec takich warunków, utwory pana Wierzbińskiego są dla nas tak dalekie, tak obce. My nie znamy ani tego życia, ani tych warunków, ani tych ludzi, jakich nam autor w swych obrazkach maluje. Mogą więc one zająć polskiego czytelnika tylko o tyle, o ile strona artystyczna w nich odpowiada wszelkim wymaganiom.

„Nowelle" niniejsze są po większej części portretami, w których wysuwa się na pierwszy plan jedna tylko postać, tło zaś zostaje zaledwie zaznaczone.

Takim jest np. „Błazen", sięgający do ciemnych tajników kulisów cyrkowych. Biedny clown Jack pod śmieszną szminką i bła-

zeńskim strojem kryje serce czułe i kochające; miłość jego zwraca się ku dwum istotom: karemu kucykowi Fifi i pięknéj konnojezdce cyrkowej, zwanej „*la belle Clotilde*". Ale urocza Klotylda oddaje swe serce oficerowi jazdy belgijskiéj, Jacka zaś tyranizuje, smaga szpicrutą i wyłudza ostatnie pieniądze—dla tamtego. W chwilę po téj scenie widzimy Jacka na arenie, wykonywającego szalony skok przez dziesięć koni i padającego bez życia. Samobójstwo czy przypadek? to jedno trochę niejasne — zresztą nowelka ta — jedna z lepszych.

Portretem jest również „Przekupień gazet i myśli". Stary Andrzej, wystający codziennie bez względu na pogodę obok dworca kolei Charing Cross na Strandzie w Londynie, sprzedaje nie tylko gazety, ale i tematy do oryginalnych obrazów — snać nie prostym jest on przekupniem, i kiedyś może... ale o przeszłości swojej nigdy nie mówi. Mógłby być zamożnym, bo malarze, chorujący na bezpłodność myśli, wynagradzali go sowicie, cóż kiedy wszystko rozdawał biedniejszym od siebie, na swoje potrzeby zostawiając bardzo niewiele. Wreszcie umiera, a po śmierci jego z zatartego napisu na ryngrafie, który nieboszczyk nosił na piersi, okazuje się, że był on Polakiem, emigrantem, może człowiek wielki duchem, a na poniewierkę skazany.

Takim samym portretem jest obrazek p. t. „Gentleman John" drukowany w r. z. w „Ateneum". Przedstawia on człowieka, wytrąconego ze swojéj skromnéj sfery i przez to prawdziwie nieszczęśliwego, pomimo że dobrobyt ma zapewniony.

Nowelka pod tytułem „Ironie życia" to obrazek na temat, jak świat, stary sprzeczności teoryi z praktyką. Mis Florence Williams jest kobietą postępową, sekretarką klubu kobiet postępowych, pisze nawet traktat w sprawie wyzwolenia kobiet, cóż kiedy jej spokój i równowagę zakłóca widok, jaki przedstawia się jej w przeciwległém oknie. Jest to mieszkanie młodego śpiewaka Jerzego Oswalda, który naznacza tam schadzkę swéj narzeczonej. Sercem sekretarki klubu kobiet postępowych miotają najsprzeczniejsze uczucia; gniew, oburzenie, chęć ocalenia dziewczyny i chęć odwetu nad mężczyzną — może zazdrość. A wreszcie, przekonawszy się, że młoda para połączyła się węzłem małżeńskim, szepce znękana: „zbankrutowałam"...

Tymczasom „wieczór zapadł, i głęboki cień smutku osiadł na licach staréj panny."

Ostatnia, najdłuższa nowelka p. t. „Dora" jest zarazem i najsłabszą. Tu znowu wprowadza nas autor za kulisy operowe i przedstawia

miłość śpiewaczki do jakiegoś Polaka, zabłąkanego do stolicy mgły i spleenu. Miłość smutno się kończy, gdyż śpiewaczka truje się — niewiadomo tylko poco i dlaczego. Okrasza obrazek, pisany jakby bez planu, zdawkowy sarkazm Montegiusza Montego, kantorzysty, filozofa - sceptyka i szekspirologa zarazem, jednego z nieodrodnych synów Hamleta.

W „Nowelkach“ p. Wierzbińskiego jest więc kilka udatnych obserwacyi, kilka dobrze pochwyconych typów. *H. Galle.*

Wilhelm Feldman. „Sądy Boże“ dramat w 4-ch aktach z życia żydowskiego. Warszawa, nakładem Jana Fiszera, 1899.

Laury „Małki Szwarcenkopff“ stały się bodźcem dla kilku autorów do wystąpienia w dziedzinie dramatycznéj. Nadzwyczajne powodzenie owéj pierwszéj próby wprowadzenia na scenę życia, obyczajów i typów żydowskich, zachęciło dramaturgów i przedsiębiorców teatralnych do eksploatacyi téj bogatéj pod każdym względem kopalni.

Jedném z ostatnich usiłowań w tym kierunku jest dramat p. Feldmana p. t. „Sądy Boże“, grywany w obecnym sezonie na jednéj ze scen ogródkowych, podobno z wielkiém powodzeniem.

Rzecz się dzieje w małém miasteczku w Galicyi. Do bogatego kupca Manesa przyjeżdża syn jego Józef, który dopiero co ukończył studya lekarskie w Krakowie. Przyjeżdża w wilię święta kuczek i odrazu natrafia na skandal, który pachnie kryminałem: ojciec jego bowiem wziął w depozyt od szanowanego w całem miasteczku talmudysty Jochai 8000 gul., kiedy ten wyjeżdżał do Palestyny; z téj sumy oddał 800, reszty zapiera się. Rewers zaginął, nie ma sposobu dowiedzenia mu przestępstwa.

Józef więc znajduje się w takiém samém położeniu, jak syn „Marcina Łuby“ w dramacie Sewera, tylko, że działa zupełnie inaczéj. Wprawdzie z początku oburza się na postępowanie swego ojca, grozi mu nawet, że stanie po stronie starego Jochai, ale w końcu staje się wspólnikiem ojca, chociaż serce jego brzydzi się tego rodzaju sprawkami. Przyczyną téj zmiany są czarne oczy sąsiadki jego, o dwa lata starszéj od niego Rózi Eisenówny, którą znał jeszcze z czasów dzieciństwa. Nie kocha ona wprawdzie Józefa, ale gotowa wyjść za niego, byle zrobić karyerę; wie doskonale o sprawkach starego Manesa, a gdy się one odkryją, jéj przyszły teść straci pieniądze, stanowisko i znaczenie w miasteczku — trzeba więc temu zaradzić.

Manes gotów jest popełnić krzywoprzysięstwo, że 8000 nie otrzymał, gdy wtém w ostatecznéj chwili przybiega Józef z rewersem w ręku, który znalazł w książce, pożyczonéj od zięcia Jochai (nie miał w téj chwili nic lepszego do roboty, gdy ojciec jego składa krzywą przysięgę, jak wertować stare książki), ale w czas przybywa i Rózia, by wymódz na nim ów nieszczęsny papier — obietnicą małżeństwa. Manes składa uroczystą przysięgę przed Torą, a Jochaja, dowiedziawszy się o téj nowéj zbrodni, pada rażony apopleksyą. W następnym, i zarazem ostatnim akcie Manes dostaje pomieszania zmysłów na grobie swego skrzywdzonego wierzyciela.

Akcya to zbyt szczupła na 4 akty. To też technika dramatyczna pod pewnemi względami pozostawia wiele do życzenia. Najbardziéj scenicznym jest akt II przed kuczką — żywa i dramatyczna utarczka pomiędzy Manesem a Jochają wobec zgromadzonego na uroczystość całego tłumu żydowskiego. Akt I — to przydługa trochę ekspozycya, III — prócz wysoce niesmacznéj sceny między Józefem i Rózią składa się z samych prawie monologów; IV akt wreszcie, na cmentarzu żydowskim, jest również mało scenicznym, gdyż wobec tego, iż w III wyczerpuje się właściwa akcya, jest on tylko rodzajem epilogu, wypełnieniem „Sądów Bożych" na ziemi.

Sceniczność więc niniejszego dramatu polega nie tyle na zręcznie przeprowadzonéj akcyi, ile na wiernem odtworzeniu scen zbiorowych z ruchliwym i wrzaskliwym tłumem żydowskim. Autor zna życie hasydów, zna je, o ile możemy sądzić, wybornie, dał więc wiele scen i obrazów rodzajowych z téj mało znanéj nam dziedziny. Czy przedstawia traktament, który Manes wyprawia dla kapotowéj hałastry w swéj kuczce, czy wprowadza nas do synagogi i pokazuje obrządek składania wielkiéj przysięgi, czy wreszcie daje obraz cmentarza żydowskiego o tle ponurém i smutném, jak zawodzenia płaczek na hasyckich pogrzebach, zawsze wzbudza zainteresowanie w widzu czy czytelniku.

Materyał obserwacyi, którym rozporządza p. Feldman, pozwala mu kreślić udatne sylwetki typowych postaci drugorzędnych, wyrwanych wprost z tłumu żydowskiego, taką jest np. żona Manesa, istota bierna, zahukana przez męża aż do zupełnéj utraty samodzielności, uroczysty dajon, zastępca rabina, i ruchliwy Mendel, posługacz synagogi, wiecznie narzekający na biedę i ciężkie czasy, ciężkie dla wszystkich, a najbardziéj dla niego.

Za to postacie główne znacznie mniéj udały się autorowi. Jeszcze Manes, zacięty i gwałtowny cały pochłonięty, przez żyłkę spekulacyi, doprowadzającéj go do zbrodni i krzywoprzysięstwa, jeszcze

Jochaja, czczony przez całą gminę starzec, wielkiéj wiedzy talmudycznéj i gołębiego serca, byliby nieźli, gdyby nie melodramatyczne trochę przedstawienie ich końca, świadczącego o wielkiéj delikatności ich nerwów. Ale dwoje młodych, Józef i Rózia, ci są naszém zdaniem zupełnie chybieni: on bez woli, bez energii, dramatycznie załamujący dłonie nad torturami, które mu los stawia, a dający się powodować w chwili stanowczéj przywiędłéj piękności z przeciwka, ona — choć niby wyższa od swego otoczenia, ale w saméj rzeczy ohydniejsza od innych, w swej chęci zrobienia dobréj partyi nie cofająca się przed żadnemi środkami.

Autor „Sądów Bożych“ ma jak widzimy pewne warunki na autora dramatycznego: duży zmysł obserwacyjny i ruchliwość w scenach zbiorowych, ale powinien udoskonalić jeszcze swą technikę sceniczną i bardziej uzasadniać psychologię postaci, pomiędzy któremi nawiązuje intrygę. *H. G.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Skończyły się żniwa, a wraz z niemi ustaje w dziennikach długa, a bardzo zajmująca dyskusya o wychodźtwie robotnika polskiego do Niemiec.

Jest to jedna z tych kwestyi, do których przystępować się powinno ze świadomością, iż każdém poruszaniem pióra można zadrasnąć tak silne i draźliwe uczucie, jakiém jest troska o chléb dla swoich, troska o gniazdo rodzinne.

Chłop chce mieć na zimę ciepłą strawę. Idzie więc na ciężką pracę tam, gdzie widzi zyskowniejszy zarobek. Myśl wzdryga się przeciw wszelkiemu zatrzymywaniu go przemocą. Ale z drugiéj strony obszary wielkiéj własności nie mają rąk do zbiérania plonów. Gazeta pisze o wolności zarobkowania, a tam w polu giną kłosy. Tém większa odpowiedzialność piszącego, tém trudniéj o bezstronność.

Jak o nią trudno, przekonać się można z głosów, które od czasu do czasu odzywają się w prasie. Wszak pracę na roli niemieckiéj nazwano już nawet hańbą narodową! Rzecz dziwna zaiste, że nikt jeszcze nie nazwał hańbą wysłania do Niemiec transportu pszenicy, która tam ma karmić hakatystowskie żołądki! Spotykaliśmy się z szyderczemi uwagami o tombakowym zegarku emigranta, tak jak gdyby kupienie zegarka w Niemczech przestawało być czynem niemoralnym dopiero wówczas, gdy to jest zegarek złoty.

Ci, co na emigracyę nie patrzą niechętnie, zwracają przedewszystkiém uwagę na znaczny napływ pieniędzy, przysyłanych i przywożonych przez wychodźców do kraju. Posłuchajmy co mówi o tem w „Gazecie Warszawskiéj“ p. J. Chr., znający widocznie te sprawy z bezpośredniéj obserwacyi: „Przed rozkwitem emigracyi letniéj do dzisiejszych rozmiarów, od roku 1893 przez jedną tylko stacyę pocztową w Słupcy przechodziło rocznie do osób niehandlujących przeszło 100,000 rubli. Lwią część tego stanowiły sumy ze Stanów Zjednoczonych; obecnie prąd emigracyjny zmienił się o tyle, że wychodźtwo kieruje się na czas letni raczéj do Niemiec, niż za ocean. Codziennie, począwszy od maja, wszystkie stacye pocztowe w pasie 4-miliowym (mniéj więcéj) od granicy odbierają po kilka a nawet kilkanaście listów pieniężnych z markami niemieckiemi, adresowanych do włościan tutejszych, głównie do kobiet: to mężowie obieżysasi przesyłają po 20 — 30 marek, a ku końcowi lata po 100 i wyżéj. A ileż pieniędzy omija pocztę! Przypuszczam że w najniższym rachunku obieżysasi z pięciu pogranicznych powiatów gub. Kaliskiéj zarabiają w lecie za granicą do 2,000,000 rubli i połowę tego przysyłają lub przywożą do kraju. Oto jest źródło bytu ludności małorolnéj w Królestwie Polskiém, pokrywające deficyty roczne, działy spadkowe, klęski gospodarcze i stałego robaka — lichwę wiejską”.

Do analogicznych wniosków dochodzi w „Gazecie Polskiéj” ziemianin w gubernii Piotrkowskiéj, mówiąc o emigracyi do Niemiec co następuje:

„Głównym zyskiem w Niemczech jest różnica ceny, bo dziewczyna lub wyrostek zarabiają po 44 kop. dziennie. Większa część po kilku latach pracy spłaca długi, dokupuje ziemię i oddaje się najmilszemu zajęciu—pracy na własnym zagonie. Ani namowy agentów, ani ciekawość i chęć szukania przygód, ale potrzeba zarobku, chęć poprawy bytu i zyskanie swobody są powodem wychodźtwa ze wsi”.

Autor, podpisujący się inicyałami *St. S.* powiada w przytoczonym artykule:

„Wychodźtwo ze wsi, wywołane jest nie namowami agentów, ani ciekawością naszego ludu, jak wielu twierdzi, lecz głównie potrzebą zarobku dla poprawienia swego bytu.

„Mieszkając przez długie lata w nadgranicznym powiecie, gdzie ruch emigracyjny na szeroką skalę się rozwinął, obecnie osiedliwszy się w promieniu wielkiego ogniska fabrycznego, miałem i mam sposobność dokładnie obeznać się z temi nowemi prądami, zaznaczy-

ły się one bardzo dotkliwie na mojéj kieszeni, a jednak doszedłem do przekonania, że przynoszą znaczne korzyści krajowi".

Również i na wpływ emigracyi pod względem moralnym nie wszyscy zapatrują się rozpaczliwie. P. J. Chr., któregośmy już cytowali, powiada:

„Obieżysas uczy się bardzo wiele i sam o siebie dbać musi. Nawyka do ogromnego rygoru i ładu, do poszanowania własności prywatnéj i publicznéj, widzi wzorowe gospodarstwa dworskie i chłopskie. Opowiadają po powrocie, że np. na Szląsku Dolnym wszystkie drogi wysadzone owocem, którego nikt nie niszczy i nikt nie pilnuje; że tam narzędzia rolne, całe wozy z uprzężą zostawia się w polu i na noc, a nikt ci nic nie ukradnie.

„Regulamin policyjny co do porządku i czystości, co do jazdy nocnéj z latarką, przestrzegania prawéj strony drogi, kara za wykroczenie każde, np. za pozostawienie woza z końmi bez dozoru na drodze, za pasanie bydła i koni w nocy choćby na własnéj roli, z początku go gniewa, lecz następnie widzi w tém rzecz zbawienną".

Z innego ustępu w bardzo sumiennym elaboracie tego samego autora widzimy, że nawet nad losem dziewcząt, idących na zarobek, nie zawsze trzeba biadać. Oto jego słowa:

„Poszła do Prus z braćmi 18-letnia dziewczyna. Zaopatrzyła się dostatnio w garderobę, niby ekonomowa, albo gospodyni z folwarku, opłaciła podróż w obie strony, pasport roboczy kosztował 3 rub. z kop., faktor rubla i zostało się w gotowiznie *180 marek* (około 83 rubli). W roku bieżącym wybiera się znowu w to samo miejsce, a w r. 1900 dostanie zasobnego gospodarskiego syna za męża w swéj własnéj parafii. Że to nie fantazya, podaję nazwisko i miejscowość: Franciszka Bajdkówna z Rosochy w powiecie Konińskim, gub. Kaliskiéj".

Pesymiści widzą przedewszystkiém niezmiernie małą różnicę między zarobkami u nas, a w Niemczech, następnie zaś stwierdzają wielce demoralizujący wpływ, jaki wędrówki wywierają na lud. Lekarstwo upatrują głównie w przymusowém powstrzymaniu emigracyi. Robotnik korzysta dziś z pewnych ulg przy przekroczeniu granicy. Należy go więc tych ulg częściowo pozbawić.

Już w numerze „Gazety Polskiéj" z dnia 8 marca mówi p. J. K., że „jako środek niezbędny, a konieczny i pilny, pożądane jest bezwarunkowe wzbronienie wydawania kart emigracyjnych nieletnim.

W dwa miesiące potém bo 16 maja r. b. powtarza tę radę pan B. G. w „Gazecie Warszawskiéj”, wołając że siłą należy powstrzymać owe 30,000 wychodźtwa.

Najdokładniéj sformował tę myśl p. A. D. dnia 16 sierpnia w „Słowie” mówiąc:

„Wniosek nasz tedy taki, że robotnikom, mającym już cokolwiek więcéj roztropności, przyznane ulgi pozostawić należy, dając im możność zwiększenia zarobków. Natomiast tłumnéj włóczędze niedorostków koniec położyć należy przez odpowiednie przepisy, względnie odjęcie ulg nadzwyczajnych, robotnikom wogóle przyznanych. Nie pójdziemy chyba za daleko, jeżeli jako granicę postawimy pełnoletność. Wobec nieletnich społeczeństwo ma prawo stosowania środków pedagogicznych, bo oni potrzebują wychowania”.

Środek ten byłby niewątpliwie środkiem skutecznym. Zewsząd słyszymy, że do Niemiec wychodzi przedewszystkiém młodzież. Gdy dziewucha wyjdzie za mąż, traci ochotę do wędrówki. Powstrzymanie wszystkich, którzy nie doszli pełnoletności złamałoby z pewnością prąd emigracyjny, ale czy wraz z tém, wszystko niłoby się na lepsze?

Smutny jest niewątpliwie obraz moralności w gromadzie wychodźców, odmalowany barwnie piórem p. Donimirskiego w „Słowie” ale czy moralność wielkiéj rzeszy robotniczéj, pozostającéj w kraju jest wyższa? Mamy wszelkie powody twierdzić, że nie.

Nie wiem, czy są jakiekolwiek wskazówki, iż ziemianie, biadający nad ubytkiem rąk roboczych, doczekają się częściowego zamknięcia granicy dla robotnika polskiego, szukającego zarobku w Prusach. O ile wnosić można z dotychczasowego systemu polityki agrarnéj w naszym kraju, wielce jest nieprawdopodobném, iżby wzgląd na żądania właścicieli majątków większych wywołał rozporządzenie tak dotkliwe dla ludności roboczéj. Przypuśćmy atoli, że życzeniom tym stanie się zadość. Jakiż byłby tego skutek? Przedewszystkiém cena robotnika w naszym kraju zniży się znakomicie. Ucierpią na tém nietylko ci, co dziś wychodzą na zarobek do Prus, ale i ci, co obecnie zostają w domu. Zapłata zmaleje na całéj linii. Zamiast licytacyi *in plus* zacznie się licytacya *in minus*. Widmo niedostatku, które z niejednéj chałupy ustąpiło w okresie wyższych zarobków, zawita do niéj znowu.

Ale nie skończyłoby się na tém. Jednym z dobroczynnych skutków emigracyi jest niewątpliwie baczniejsza uwaga, jaką ziemiaństwo nasze zwraca na położenie materyalne téj ludności robo-

czéj, która się z rąk wymyka, a którą każdy ziemianin, dbały o przyszłość własnego zagona i własnéj rodziny, stara się na miejscu zatrzymać. Lękamy się, żeby nagłe obniżenie ceny robotnika nie oziębiło w niejednéj okolicy tych filantropijnych zapędów. Bolejemy nad demoralizacyą jaką zauważono między naszymi robotnikami w Niemczech; ale niech nam wolno będzie zapytać się, co robimy w kraju, ażeby zapobiedz takiéj saméj, lub gorszéj demoralizacyi w wielkich ogniskach pracy, w zbiorowiskach ludu roboczego po miastach, na plantacyach buraków, przy budowlach. Chcemy, żeby niedorostek nie chodził zagranicę? Zobaczmyż, co go czeka, gdy szuka zarobku w Warszawie.

Oto, jak człowiek fachowy opisuje los chłopaka wiejskiego, zajętego przy mularce w Warszawie:

„Mając powierzony sobie dozór nad robotami mularskiemi, zauważyłem, że chłopcy noszą wapno, ważące razem z szaflikiem około 40—50 funt., wyłącznie na lewém ramieniu.

„Pracują tak przez dzień cały, to jest 10 godzin

„Zaproponowałem jednemu z nich, żeby nosił kolejno na obu ramionach, sądząc, że łatwiéj mu będzie wykonywać tę robotę. Odpowiedział mi, że nie jest przywyczajony do dźwigania na prawém ramieniu.

„Obok stojący mularz potwierdził jego słowa i jął mi tłómaczyć to w ten mniéj więcéj sposób:

„Nim się chłopiec przyzwyczai do dźwigania takiego ciężaru upływa parę tygodni. Z początku idzie mu to trudno: trudno mu utrzymać równowagę: odgniata sobie obojczyk, skórę na ramieniu przeciera sobie do czerwoności, do krwi nieraz... Ale zczasem skóra na ramieniu robi się twarda, jak na dłoni, kości się przyzwyczajają — i pracuje chłopiec lepiéj, niż dorosły, bo jest lekki, zwinny, wdrapuje się po rusztowaniu, gdzie trzeba. Stary nie dałby temu rady".

„Miejcież litość nad nimi — rzekłem. — Przyprawiacie o kalectwo te dzieci.

„Prawda — odparł. — One są przepracowane, zachudzone, zabiédzone, nigdy dobrze nie wyrastają, i w wieku dojrzałym prawa łopatka zawsze jest wyżéj podniesiona od lewéj. Za to taki dzieciak zarabia po 45 kop. dziennie. Dawniéj, jeszcze przed laty 5—6 tego nie było. Taki sam szaflik z wapnem nosiło na drążku dwóch chłopców. Zarabiali po 30 kop. Odkąd zaś w Warszawie zaczęło się budować dużo domów—jeden, drugi majster powiada: „Noś sam —zarobisz 45 kop." Głupie to, małe, złakomiło się — i teraz już prawie wszędzie ten obyczaj się praktykuje".

„Dla 15 kop. zwyżki biedne te dzieci przepracowywują się, nieświadome ciężkiéj krzywdy, jaką sobie wyrządzają!”

I my się dziwimy, że lud mając wolny wybór, idzie do Prus.

A przypatrzmy się stosunkom wiejskim. Zobaczmy, jak robotnik tam mieszka. Cesarz Wilhelm powiedział niedawno, że we wschodnich prowincyach Prus robotnicy rolni mają mieszkania gorsze od chlewów. A u nas? Czy niejedna rodzina nie zazdrości tym robotnikom pruskim?

Nie wyobrażajmy sobie zresztą, że jesteśmy wyspą na oceanie bezbrzeżnym. Emigracya do Niemiec znana jest i w Galicyi. Przybrała tam rozmiary tak wielkie, że namiestnik zarządził szczegółowe zbadanie téj sprawy. Obecnie wydział krajowy ogłasza obszerne sprawozdanie, posiłkując się danemi, dostarczonemi przez namiestnictwo.

Cyfry odnoszące się do emigracyi robotniczéj z Galicyi do Niemiec, są bardzo niedokładne. Z lat 1896, 1897 i 1898 tylko pewna część powiatów, jest wykazami objęta. Za rok 1899 wykazuje rząd 26,283 czasowych wychodźców z 21 powiatów.

Przyczyną tego zwiększonego ruchu jest większy popyt w Niemczech za galicyjskim robotnikiem z powodu jego taniości, z drugiéj strony korzystne doświadczenia, jakie robotnicy galicyjscy poczynili za granicą, znalazłszy tam oprócz dobrego utrzymania, zarobek prawie dwa razy większy, niż w kraju. Przykład tych robotników którzy wracając do domu, przynoszą z sobą zarobione pieniądze, umożliwiające utrzymanie rodziny przez zimę i na przednówku, działa zachęcająco w szerokich kołach ludności, która też nawet co raz częściéj obywa się bez pośrednictwa biur stręczeń i agentów.

Emigracyę do Niemiec uważa namiestnictwo galicyjskie wogóle za objaw dodatni.

O tém zaś, jak chłop polski zapatruje się na emigracyę, świadczy rozmowa korespondenta „Gazety Polskiéj”, p. B. Świdy, z deputowanym Jakóbem Bojką:

„Ale przecież ziemianie wasi skarżą się na brak rąk roboczych.

„Tak, i słusznie, odpowiada Bojko.—Ale wychodźtwo jest usprawiedliwione ekonomicznie, różnica płac bowiem jest tak znaczna, że chłopi nasi oszczędzają dużo i oszczędności te do kraju przywożą. Nie mam w téj chwili pod ręką cyfr ogólniejszych, ale mogę panu służyć danemi z mojéj gminy i sąsiedniéj. W Gręboszewie, na pocztę w ostatnich 2½ miesiącach przyszło około 11.000 złr. od obieżysasów, którzy nie czekając powrotu i pamiętając o rodzinach, zasilają

je swemi oszczędnościami. W gminie Jadownikach Mokrych wychodźcy przynoszą co rok około 8 — 10,000 zł., oprócz ubrania, naczyń itp. Są to cyfry bynajmniéj nie wyjątkowe. Wszędzie tam, gdzie istnieje wychodźtwo, odbywa się ten przypływ pieniędzy, obracany w następstwie na zakup ziemi i inwentarza, ulepszenia gospodarskie, wznoszenie budowli itp. Można ubolewać nad większą własnością ziemską, ale nie nad krajem, który tymczasem z wychodźtwa czasowego ciągnie korzyści.

„Z powodu tegorocznéj, szczególnie ożywionéj w Królestwie emigracyi włościan do Niemiec; dużo mówiono o demoralizowaniu się naszych włościan na obczyźnie. Co pan o tém sądzi?

„Żadnéj „demoralizacyi" nie spostrzegłem. Przeciwnie, chłop nasz przynosi z sobą pewne umiejętności gospodarcze, którychby na miejscu nabyć nie mógł, mianowicie: nietylko nowe metody rolnicze, ale również umiejętność pracy, rozumną oszczędność, przedsiębiorczość, pojęcie o znaczeniu kapitału i nakładów w gospodarstwie. A rozszerzenie widnokręgów umysłowych również jest coś warte".

Jest to jednostronne — zgoda! Ale dopiero z zestawienia zdań jednostronnych można wysnuwać wnioski.

A teraz pomyślmy co za ogrom goryczy nagromadziłby się w tych umysłach, gdyby po kraju gruchnęła wieść, że panowie chcą biédnym ludziom utrudniać zarobek, który im tak jest potrzebny i miły.

Jeżeli więc siłą powstrzymać robotnika się nie da, cóż zrobić, by większą własność ochronić od braku sił roboczych?

Na pytanie to daje nam między innymi odpowiedź p. Franciszek Górski w „Kraju". Artykuł ten zbliżony biegiem rozumowania do artykułów p. J. Chr. w „Gazecie Warszawskiéj", ma dla nas tém większe znaczenie, iż, nie rozszerzając zbytecznie zakresu reform, szuka środków leczniczych w saméj sferze gospodarstw dworskich.

Autor nie mówi o ograniczeniu wolności szukania zarobku. „*Glebae adscripti* dziś już Bogu dzięki nie istnieją, jedynym zatem sposobem zatrzymania i przywiązania ich do majątku, jest zrozumienie słusznych ich potrzeb i zadosyćczynienie tym potrzebom. Rodziny u nas są liczne, mogą dostarczyć znacznéj ilości robotnika, trzeba jednak, aby znalazły warunki odpowiednie: żeby syn i córka nie potrzebowali gdzieindziéj zarobku szukać, ale mogli stale zarabiać w majątku, w którym ojciec jest w obowiązku".

Nie owijając myśli w bawełnę, występuje autor do walki z egoizmem kastowym, mówiąc: „Jeżeli właściciel ziemski tylko swoją

egoistyczną korzyść ma na celu, stara się z ziemi i z pracy ludności wiejskiéj wydusić tyle zysku, ile tylko się da, o obowiązki, ze swém stanowiskiem złączone, nie dba, to pytam, czém się różni od spekulanta i aferzysty, który goni za groszem wszędzie, gdzie go znajdzie, byle się tylko z paragrafem kodeksu karnego nie spotkał?"

Z wielką siłą przekonania mówi autor o potrzebie mieszkań dla służby dworskiéj. Z talentem prawdziwego belletrysty opisuje dzisiejsze wnętrze izby mieszkalnéj i wytwarzające się tam stosunki. Nadmienić by zaś można, że bywają wypadki, w których w izbie takiéj mieści się chwilowo po dwie i trzy rodziny. Tylko, że chwila taka trwa nieraz niesłychanie długo.

P. Górski nie poprzestaje na tém. „Oprócz tego, — mówi — nadzwyczaj ważną jest sprawa — przyznaję, że bardzo trudna — o któréj lud nasz mało myśli, ale my, pracodawcy, i wszystkie oświecone klasy społeczeństwa myśleć powinni, to jest zabezpieczenie na starość i wypadek kalectwa. Sprawa ta musi być uregulowaną; gdy nie będzie uregulowaną dobrowolnie przez chlebodawców, to z pewnością przyjdzie czas, może blizki, że będzie uregulowaną w drodze przymusowéj, prawodawczéj. Inaczéj być nie może, bo korzystać z sił człowieka, póki pracować może, a jak się stanie do pracy niezdatnym, puścić go w świat szeroki, to jest straszny wyzysk, którego żadne cywilizowane społeczeństwo tolerować nie może. Że robotnik powinien, a często może zaoszczędzić, to prawda; ale jak nie zaoszczędzi? czyż wówczas wzbogaciwszy innych swoją pracą, ma na starość z głodu ginąć?"

„Tyle obecnie majątków przechodzi w ręce spekulantów, aferzystów parcelacyjnych i t. d. Cóż ich obchodzi los starych i niedołężnych sług i robotników wiejskich? Temu młocarnia rękę urwała, temu drzewo nogę zgruchotało; cała ta spracowana i niedołężna ludność z niczém, z torbami wychodzi".

Głos prezesa Stowarzyszenia siedleckiego dodaje otuchy. Wyznaję, że nie wierzę ani w przyszłe wydanie przepisów, utrudniających emigracyę, ani w zbyt wielkie takich przepisów skutki. Ustałaby wprawdzie emigracya, ale zmniejszenie zarobków nie podziałałoby z pewnością umoralniająco na lud, w sercu chłopa pozostałby silny żal do tych, którzy prosili o obostrzenia, a te same objawy niemoralności, które dziś widzimy między ludem polskim w Niemczech, widzielibyśmy między zgłodniałym tłumem proletaryatu wiejskiego, cisnącym się po zarobek do miast.

Natomiast wierzę, że emigracyę jedno tylko jest w stanie zmniejszyć na stałe, a mianowicie zrównoważenie korzyści, jakie

nasz robotnik widzi za granicą, innemi korzyściami, ofiarowanemi mu w kraju. Tę drogę wskazuje rolnikom p. Fr. Górski, ciernista to droga, ale wiedzie do postępu.

A któż zaprzeczy, że postępujemy? Gdyby wszystko zawiodło, gdyby los nie dopisał żadnemu przedsięwzięciu, to nawet i w takim razie za dowód postępu będziemy uważali nieustanną ewolucyę naszéj myśli społecznéj, nieustanne pogłębianie się naszych sądów o sobie samych, nieustanny, acz powolny wzrost zdrowego krytycyzmu.

Co za przemiana! Nie zdajemy sobie z niéj sprawy, gdyż odbywa się zwolna, niepostrzeżenie, wśród częstego cofania się wstecz. Jak dziecko, dopiero gdy przywdzieje zeszłoroczne sukienki, spostrzega, że urosło, tak my, dopiero przypomniawszy sobie nasze własne sądy z przed lat kilku, widzimy, co się z nami stało.

Gdzież się podziało to błogie zadowolenie z własnych cnót, z własnego męstwa, z własnéj doskonałości, to błogie upajanie się własnemi zaletami, w którém tonęliśmy jeszcze tak niedawno. Przejrzyjmy pisma wszelkich odcieni, wszelkich przekonań i obozów, a zdumiejemy się, widząc ile tam się mieści prawdziwéj chęci zbadania własnych chorób, zanalizowania własnych przywar i ułomności. Zdania, za które lat temu dziesięć palonoby gazetę na stosie, przyjmowane są, jako wolny wyraz przekonań, których nikt nie jest obowiązany taić.

Nic nie może dorównać pogardzie, z jaką szlachcic polski patrzał na łokieć i miarkę. Demokracya nasza w wieku bieżącym wyparła się oczywiście téj pogardy, a jednak bezwiednie przejęła jéj w spadku niezmiernie wiele. O handlarskich plemionach Zachodu mówiono u nas z obrzydzeniem, połączoném z przymieszką politowania. Nuta ta odzywa się bardzo często w naszéj literaturze romantycznéj. Gdy następnie wypadło samemu stanąć za ladą kupiecką, lub pójść pracować w fabryce, wyobrażaliśmy sobie, że wnosimy tam niesłychany zapas przymiotów, nieznanych gdzie indziéj. Wydawało się nam to rzeczą całkiem naturalną, że skoro raczymy się zniżyć do tak plugawych zajęć, to będziemy się wśród ludów europejskich wyróżniali, jak merynosy wśród owiec Niepodobieństwem było pomyśleć, żeby słowność, rzetelność, punktualność nie były zaletami polskiego kupca lub przemysłowca. Wszak jeszcze parę lat temu powtarzaliśmy z namaszczeniem, że nawet w pozytywizmie kupieckim „zaznacza się rdzenna różnica między zachodnimi Europejczykami, a krwią słowiańską". Różnica ta wychodzi oczywiście nam na korzyść, bo „kto się kończy na ski albo wicz,

nie może włożyć w pieniądze całéj duszy i na tém wyłącznie poprzestać". Miałby się był z pyszna, ktoby śmiał zaprzeczyć.

I cóż się stało?

Oto właśnie w ciągu ostatnich tygodni pisano wiele o moralnéj stronie stosunków handlowych w naszym kraju. Kupiectwo nasze spolszczyło się do niepoznania. Przemysł wszedł na drogę ku spolszczeniu i czyni na niéj postępy. Czy rzeczywiście nasze cnoty rodowe zajaśniały tak, jak się spodziewano? Niestety, czytając pisma nasze, nie możemy dojść do takiego wniosku.

Same skargi i skargi. Nie dotrzymujemy słowa, gonimy za zyskiem nadmiernym, stronimy od rzetelnéj roboty, zbywamy odbiorców fuszerką, nie chce nam się odpowiadać na listy! Doprawdy szereg grzechów niemały. A skargi te nie płyną z jakiegoś ciasnego kółka, z jakiejś koteryi lub kliki. Spotykamy je równie w „Kraju", jak w „Głosie". Naród czyta to i nie obraża się. Czy przejmie się temi morałami, nie wiemy. Sądzimy, że bądź, co bądź, zacznie nad tém rozmyślać, a to jest pierwszym i niezbędnym warunkiem zmiany na lepsze.

Bo trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że wraz z legendą o naszych cnotach, nieznanych innym narodom, żyło w społeczeństwie silne przekonanie, że właśnie te nasze cnoty są powodem naszych niepowodzeń ekonomicznych. Dziadunio, który, korzystając z zaprowadzenia hypoteki, obdłużył czémprędzéj wioskę dziedziczną, mawiał nieustannie, że szlachtę muszą wziąć dyabli, bo dziś tylko szachrajom dobrze na świecie; Tatulo, który hypotekę wyrównał po brzegi, powtarzał do śmierci, że w dzisiejszych czasach, kto kraść nie umié, musi umrzeć z głodu. I jakże się tu dziwić, że wnuk, który się tego nasłuchał od dziecka, a dziś ciężką pracą w kantorze lub fabryce na chléb zarabia, nie jest odrazu wzorem sumienności i ścisłości kupieckiéj.

Wnukowi zwolna otwierają się oczy. Porównywa to, co go otacza, z tém co widzi za granicą, i przekonywa się, że go źle uczono. Dziadek nie dlatego wpadl w długi, że się nie nauczył szachrować, ale dlatego, że za wiele polował. Ojciec nie dlatego wyleciał ze wsi, że był człowiekiem uczciwym, ale dlatego, że miał zanadto dobrego kucharza. Przypatrując się tym, którzy po krótkiem powodzeniu runęli w przepaść, i tym, którzy pewnym krokiem wznoszą się zwolna, lecz stale ze szczebla na szczebel, powiada sobie ostatecznie, że etyka praw swych nie zmieniła, że szachrajom nie zawsze się wiedzie i że chcąc uniknąć śmierci głodowej, nie potrzeba być koniecznie rozbójnikiem.

Nie szacherką i okpiszem dźwignęły się wielkie ogniska przemysłu i bogactwa. Nie szacherką doszła Anglia do swéj niezrównanéj potęgi, i nie wydrwigroszom zawdzięcza Paryż swe stanowisko na kontynencie. To samo powtarza się wszędzie, bo jednostka może się czasem wyłamać z pod ogólnego prawidła, ale całe społeczeństwo nigdy.

Bylibyśmy nieuleczalni, gdybyśmy woleli żyć w kalectwie, niż jawnie się przyznać do choroby. Kalectwo nie uszłoby oka ludzkiego. Skoro więc zataić go nie można, lepiéj, że głośno radzimy o poprawie. Niewątpliwie bardzo jest wiele goryczy w słowach „Głosu”, gdy mówiąc o nierzetelnych przemysłowcach, powiada: „Byli to Polacy niekiedy powołujący się na znaczne pochodzenie rodowe, ludzie przeważnie szanowni, lecz wyobrażający sobie, że handel polega na szwindlu; postępowali oni tak, jakgdyby po każdym załatwionym interesie miał nastąpić potop; co będzie jutro, czy klient wróci — o to nie troszczyli się zgoła”... ale za to najzupełniejsza prawda mieści się w słowach, że w społeczeństwie cywilizowaném i zdrowém tylko samobójcy posiłkują się szacherką i niesumiennością.

Brak zalet kupieckich nie jest jedyną wadą, którą ostatniemi czasy — zbyt późno niestety — odkryto. Odwaga, z jaką ośmielamy się mówić rodakom prawdę w oczy, dochodzi do tego, że dzienniki zdobyły się nareszcie na wytknięcie Warszawiakom braku dobrego wychowania. I ziemia mimo to nie wykoleiła się z właściwego toru! Gdyby tak, ubiegłemi laty, ktoś się ośmielił bryznąć Paryżanom północy podobnym zarzutem w oczy! Dziś, jak widzimy, ustala się przekonanie, że nie posiadamy należytych form towarzyskich, przekonanie najzupełniéj słuszne.

„Tygodnik Illustrowany“ żali się na pewną część towarzystwa za zachowywanie się w Dolinie Szwajcarskiéj — „Głos“ gani brak grzeczności dla kobiet w wagonach tramwaju, „Gazeta Warszawska“ wspominała niedawno o brzydkim zwyczaju zwracania się z przesadném ugrzecznieniem do jednych, a z lekceważeniem do drugich, w tym samym zaś artykule jest również mowa o niegrzeczności, arogancyi i pyszałkowatości w zetknięciu się ludzi obcych czy to w cukierni, czy to w teatrze, czy przy oglądaniu mieszkań, czy na ulicy wreszcie, przyczém powstają nieraz przykre zajścia niejednokrotnie z groźnemi następstwami. Podobne utyskiwania spotkaliśmy niedawno w odcinku „Słowa”.

Czy ci, co tak dotkliwie ranią naszą próżność w punkcie niezmiernie drażliwym, mają słuszność? Niewątpliwie.

Po co okłamywać siebie samych, kiedy jest rzeczą oczywistą, że pod względem form towarzyskich. Jakieś zdziczenie rozpościera się na naszych zebraniach, na miejscach publicznych, na zabawach, naradach i widowiskach.

I gdybyż przynajmniéj na usprawiedliwienie nasze można było powiedzieć, że wychowani do pracy, nie czujemy potrzeby ogłady; gdybyż można było zasłonić się przynajmniéj nieświadomością! Ale nie! Nasza niegrzeczność to nie jest owo bezwiedne, mimowolne prostactwo, z jakiém spotykamy się naprzykład w niemieckich kantonach Szwajcaryi. Nasza szorstkość, nasza opryskliwość, nasze „pozwalanie sobie” wynikają w połowie wypadków ze śmiesznéj i głupiéj chęci imponowania innym, zadzierania nosa, pokazywania otoczeniu, że je lekceważymy.

Rzecz oczywista, że nie działoby się to, gdybyśmy ogładę towarzyską uważali nie za ciężką pańszczyznę, któréj ulegamy szemrając, ale za niezbędną potrzebę, bez któréj tak samo żyć nie można, jak bez powietrza i wody. Widocznie zbyt wielu między nami jest takich, dla których uprzejmość bywa tylko nieznośnym przymusem, utrapieniem, narzuconém przez społeczeństwo.

O ileż życie byłoby dla nas znośniejsze, gdybyśmy się oduczyli tego nieszczęsnego, parafiańskiego nadrabiania miną i przybierania tonów, gdybyśmy oduczyli się udawania przed ludźmi, że tylko przypadkiem zabłąkaliśmy się między nich i że, przyzwyczajeni do oddychania inném powietrzem, dusimy się w ich atmosferze.

Są jeszcze pewne szczególne powody, dla których to arogan-ckie nadawanie sobie tonów zdarza się w jednych ogniskach życia towarzyskiego częściéj niż w drugich. Słabości téj ulegają przede-wszystkiém dwie kategorye ludzi: ci co pragną przekonać wszystkich, że są dzisiaj jeszcze tém samém, czém byli wczoraj, i ci, którzy chcą, żeby świat wierzył, że są już dzisiaj tém, czém mają nadzieję zostać dopiéro jutro. Warszawa, która jednych wynosi, a drugich miele na proch, która równocześnie zjada i stwarza fortuny, obfituje w przedstawicieli obu tych kategoryi. Ani jedni, ani drudzy nie podnoszą poziomu naszéj uprzejmości towarzyskiéj.

Widzimy to na każdym kroku. Wchodzimy do teatru i zajmujemy miejsce w krzesłach. Po lewéj ręce mamy rodzinę, która — ach! — jeszcze pół roku temu chodziła tylko do loży, a dziś poczytuje sobie za obowiązek pokazywania sąsiadom, że gdyby nie smutna konieczność, z pewnościąby się tu nie znalazła. Ależ téż za

to po prawéj mamy rodzinę, która dotąd bywała tylko na paradyzie, a teraz wysila się, aby nam pokazać, że krzesła nic a nic jéj nie imponują. Miło jest w takim razie znaleźć się wsamym środku, między młotem i kowadłem.

Cóż na to, poradzić? Rada byłaby łatwa, gdybyśmy posiadali tę zdolność grupowania się, któréj wynikiem w drobnych wypadkach jest przyzwoitość towarzyska, a w ważnych opinia publiczna. Gdyby każdy, kto się zachowa brutalnie wobec kobiety, wiedział, że przeciw niemu zgrupuje się natychmiast cała publiczność, gdyby każdy komu przyjdzie fantazya zabawiania się głośną rozmową podczas przedstawienia, wiedział, że będzie miał przeciw sobie całą salę teatralną, z pewnością wszelkie wybryki zdarzałyby się rzadziéj, zachowywanoby się przyzwoiciéj.

To samo da się powiedzieć o solidarném występowaniu przeciw większym zdrożnościom. Mówiliśmy wyżéj o braku rzetelności kupieckiéj. I to możnaby poskromić solidarném zachowaniem się wobec niepoprawnych. Gdyby rzemieślnik, kupiec lub fabrykant, nielubiący dotrzymywać słowa, wiedział, że opinia publiczna napiętnuje go solidarnie jako człowieka niesumiennego, przecież by się może poprawił.

Tylko pamiętać trzeba, że opinia publiczna, a plotkarstwo pokątne: to dwie rzeczy różne. Plotką, choćby najdowcipniejszą, najdokuczliwszą, najzjadliwszą, nie naprawia się charakterów. Powiemy więcéj. Plotka i opinia publiczna: są to czynniki wyłączające się wzajemnie. I może właśnie dlatego jest u nas tak mało téj ostatniéj, że tak wiele jest tamtych. Plotka szarpie po kolei wszystkich. Nikt jéj ostatecznie nie wierzy, nikt się z nią nie liczy, a po jakimś czasie nikt się jéj nawet nie boi. W społeczeństwie, nad którém rozpostarła rządy, występek śmieléj podnosi głowę. Gdzie nikt nie jest pewien, czy jego dobre imię nie będzie jutro przez złe języki kalane, tam człowiek, który się dopuścił złego uczynku, pociesza się myślą, że w najgorszym razie spotka go to samo, co spotyka codzień ludzi zupełnie czystych. On się głosów ludzkich nie lęka, bo któż tam dojdzie, że między dziesięciu zelżonymi znajdował się jeden, którego sponiewierano słusznie.

Co innego opinia publiczna. Ta nie skrada się chyłkiem po pod płoty, lecz wytacza sprawę w biały dzień — jawnie, na forum, dociera do dna; skoro zaś nareszcie wyrok ostateczny wyda, ma dosyć siły i powagi, by wyroku tego bronić, a powstrzymać wszelkie pokątne przeciw niemu protesty. Opinia publiczna to umiejętność

solidarnego wydawania sądu; plotkarstwo to bezładna ruchawka, w której każdy wyrokuje wedle własnego widzimisię.

Czy ta prawdziwa opinia publiczna wytworzy się kiedyś w naszym kraju? Nie wątpimy o tém ani na chwilę. Skargi i narzekania, któreśmy dopiero co przytoczyli, dowodzą, że ogół za nią już zatęsknił. To pierwszy warunek poprawy, pierwszy krok ku reformie obyczajów.

Tad. Smarzewski.



Korespondencya.

Spółpracownik nasz, pan Włostowski nadesłał nam pismo następujące:

Na żądanie Redakcyi „Ateneum", gdyż inaczéj nie zwróciłbym na to uwagi, oświadczam, że przypisane *mi* w „Tygodniku ilustrowanym" (Nr. 32, str. 632,) w artykule p. t. „Protest", słowa z „Testamentu" Słowackiego, należą do Słowackiego, nie do mnie, jak o tém przekonać się można z książki Méyeta, o któréj w kwietniowym zeszycie „Ateneum" pisałem — i dziwię się tylko, że zachodziła pod tym względem jakakolwiek wątpliwość.

Kazimierz Włostowski.

Sprostowanie.

W zeszycie lipcowym „Ateneum" w artykule p. Julii Krzymuskiéj (str. 172 w. 15 od góry) zamiast Maryi Konopnickiéj powinno być Maryi Komornickiéj.



Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktorowie: ***Wł. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

Дозволено Цензурою. Варшава 17 Августа 1899 года.

Bezpłatny
corocznie
52 tomy
Darmo.
dodatek.